

BOHDAN PIĘTKA
TYLKO 8% UKRAIŃCÓW
ŹŁE OCENIA OUN I UPA**KRZYSZTOF WASILEWSKI**
POLITYKA HISTORYCZNA
– OSIEM LAT REGRESU**POLSKA REKORDZISTKĄ**
„ROZWODÓW KOŚCIELNYCH”**SYBERIA**
JACKA PAŁKIEWICZA

Cały naród odrabia zadania domowe

SZKOŁO, DAJ ŻYĆ!



ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

ISSN 1509 3115

48 >



9 771509 311300

XXXI TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

ZAMEK KRÓLEWSKI W WARSZAWIE – MUZEUM
ARKADY KUBICKIEGO

www.historiaikultura.pl

WSTĘP WOLNY

Wystawcy z całej Polski • Największa oferta książek historycznych
Konferencje i spotkania z autorami • Salon Książki Muzealnej

30.11-3.12.2023 r.



**29 EDYCJA
NAGRODY KLIO**

WYŁĄCZNY MECENAT NAD NAGRODĄ:



PARTNERZY NAGRODY KLIO
W KATEGORII VARSAVIANA



Narodowy
Instytut
Muzeów



INSTYTUT
PAMIĘCI
NARODOWEJ



Minister
Spraw Zagranicznych



Ministerstwo Kultury
i Dziedzictwa Narodowego



Prezydent
miasta stołecznego
Warszawy

ORGANIZATORZY TARGÓW

PATRONI HONOROWI



PATRONI



ALE
HISTORIA

HISTORIA



DZIEJE.PL

RZECZY

HISTORIA



Rynek-Książki.pl

Biblioteka Analiz

wydawca.com



eprasa.pl 691be831df

W NUMERZE

KRAJ

- 8 Szkoło, daj żyć!**
Mniej zadawania do domu
- 12 Prace domowe tak, ale sensownie**
– rozmowa z Radosławem Potracem
- 16 Odbudować prestiż urzędu**
Monika Horna-Cieślak
na rzecznickę praw dziecka
- 19 Lajki w prokuraturze**
Elity odpowiedzą za hejt
- 22 Czy Tusk zapłaci nad wdowami?**
Renta wdowia testem dla rządu
- 24 Zapomniani urzędnicy**
Co dalej ze służbą cywilną
- 28 Uciekający państwo młodzi**
Polska rekordzistką „rozwodów kościelnych”

GLOBALNY PUNKT WIDZENIA

- 30 Co Niemcy zrozumieli z Holocaustu?**
– rozmowa
z Sandersem Isaakiem Bernsteinem

ZAGRANICA

- 32 Ustawa amnezyjna**
Problemy Pedra Sáncheza
- 36 Prywatyzować, co się da**
Szaleństwa prezydenta Argentyny
- 54 Neapol – rozkwit kulturowy**
mafijnego miasta
Zasługa filmów i seriali

HISTORIA

- 40 Nazwać zbrodnie po imieniu**
Tylko 8% Ukraińców źle ocenia OUN i UPA

OPINIE

- 44 Krzysztof Wasilewski**
Dlaczego polityka historyczna
zbankrutowała?

KULTURA

- 48 Uśmiech losu jest zawsze szczerbaty**
– rozmowa z Andrzejem Jakimowskim
- 52 Kulturalia**
- 53 Śpiewanie to dla mnie konieczność**
– rozmowa ze Sławą Przybylską
- 66 Entuzjastki, siłaczki, bojowniczk.**
Kobiety Mazowsza 1863-1918

ZDROWIE

- 57 Diabetycy na rynku pracy**
Kosztowna choroba

OBSERWACJE

- 59 Jacek Pałkiewicz**
Syberyjskie wędrówki

FELIETONY I KOMENTARZE

- 3 Jerzy Domański**
Polityka to twarda gra
- 27 Jan Widacki**
Gwałt najważniejszy?
- 35 Andrzej Szahaj**
Zbiorowy obłęd antypodatkowy
- 39 Roman Kurkiewicz**
Cały ten koronny trud (smród)
- 43 Tomasz Jastrun**
Burzliwy czas przejściowy
- 51 Wojciech Kuczok**
Muzyka na ciemny czas



ODBUDOWAĆ PRESTIŻ URZĘDU

Monika Horna-Cieślak na rzecznickę praw dziecka



DIABETYCY NA RYNKU PRACY

Kosztowna choroba



JACEK PAŁKIEWICZ

Syberyjskie wędrówki

Projekt okładki: Iza Mierzejewska

FOT. SHUTTERSTOCK

epresa.pl 691be831df





Polityka to twarda gra

Gdziekolwiek jestem, najczęściej słyszę pytania o rozliczenia. Wiadomo, kto pyta. Wiadomo też, dlaczego. Jest wiele konkretnych powodów, dla których większość Polek i Polaków chce powrotu na ścieżkę prawa i sprawiedliwości. PiS, mimo ośmiu lat starań, nie udało się pogrzebać sensu tych dwóch słów. Czas przywrócić im pierwotne znaczenie. Jeśli miliony wyborców żądają rozliczeń, dla polityków sprawa jest oczywista. Uchylenie się od przyjętych na siebie zobowiązań to najkrótsza droga do utraty poparcia, które nie jest przecież bezwarunkowe.

Fala zaufania była i ciągle jest ogromna. Ale nie na tyle, by darować mazgajstwo, kunktatorstwo czy – co gorsza – układanie się ze starą, do cna skompromitowaną ekipą. A że takie próby będą, i nawet już są, to oczywiste. Tłuste koty zgromadziły na trudne czasy duże zasoby finansowe. Mają umowy z dobrymi kancelariami prawnymi, które będą ich bronić nawet w sprawach beznadziejnych.

Z budowli Kaczyńskiego wyłazi naga prawda. Ponure informacje o bezczelności i nadużyciach, których ludzki rozum nie ogarnia. Co szafa, to wypadający z niej szkielet.

Po 1918 r. nigdy czegoś takiego nie było. Takiej hucpy, na taką skalę, nie przewidywali najwięksi pesymiści. Odchodzący będą kłamać i zaprzeczać najbardziej oczywistym faktom. Złapani za rękę, będą krzyczeć, że to nie ich ręka.

Jeśli Polsce ma jeszcze zaświecić nadzieja na normalność, uczciwość, porządek i podmiotowe traktowanie każdego obywatela, to tę stajnię Augiasza trzeba bez skrupułów wyczyścić.

A jeśli ma się skończyć na Trybunale Stanu, to nikt nie uwierzy, że ta papierowa, bezzębna konstrukcja coś znaczy.

Przez sześć tygodni, które minęły od wyborów, ochroniarzowi PiS, czyli prezydentowi Dudzie, udało się utrzymać w grze przegraną ekipę. Wiemy, jaki był tego cel. Dał swojemu obozowi politycznemu dwa miesiące na szwindle, rozprowadzanie pociołków, pompowanie pieniędzy do wymyślanych ad hoc nowych instytucji.

Jacyż są w tym pomysły! Jak bezczelni w liczeniu na bezkarność. Co spojrzę na kogoś z nich, to widzę kierownika szatni z „Misia” i słyszę: „Nie mamy pańskiego płaszcza i co pan nam zrobi?”. Pełną odpowiedzialność za ten stan rzeczy ponosi prezydent Duda. Taki ma widocznie pomysł na Polskę. I swoją karierę polityczną.

I co? Wszyscy widzimy, jak można pogrywać z wyborcami. Grać na czas. Pleść androny. I liczyć, że tę naturalną złość ludzi jakoś rozmasuje TVPiS.

Rozliczanie ma być na miękko. To jakiś absurd. Na miękko to można sobie zrobić jajko na śniadanie. Polityka to twarda gra. Nie dla ludzi, którzy do robienia porządków chcą się zabrać z miotełką.

BAKOWSKI



**Bądź z nami na Targach
Książki Historycznej
w Warszawie**
30.11-3.12.2023 r. (czwartek-niedziela)

PRZEGLĄD
serdecznie zaprasza na nasze
stoisko nr 36 w Arkadach
Kubickiego na Zamku Królewskim
Czekamy
z nowymi książkami
i rabatami targowymi!

Spotkaj się
z naszymi autorami
Wstęp wolny



Więcej informacji
na s. 47



✉ Emerytury 70-latek

Jesteśmy z żoną wiernymi, długoletnimi czytelnikami PRZEGŁADU, dlatego zwracamy się z prośbą o nagłośnienie problemu emerytur kobiet z rocznika 1953. Kobiety te zostały oszukane przy obliczaniu wymiaru emerytury. Pan senator Borowski obiecywał przed wyborami, że postara się pomóc w rozwiązaniu problemu. Nic nie wskórał. Z mejla Michała Dworczyka wypłynęło, że sprawę tę przekazał do Trybunału Konstytucyjnego z zaleceniem, aby Julia Przyłębska ją przetrzymała. W dodatku Trybunał nie działa. Podobno w 2019 r. był problem z finansowaniem tych wypłat, ale ostatnio premier Morawiecki pieniądze rozdawał na lewo i prawo, twierdząc, że na wszystko wystarczy. Skoro ZUS źle wyliczył emerytury (oszukał), to ZUS może to również naprawić. Sprawa dotyczy dużej grupy osób.

Andrzej Pyrkosz, Olesno

f Zabójcze sankcje cnotliwego Zachodu

Sankcje zawsze nakładają politycy będący u władzy, bo wiedzą doskonale, że ich bezpośrednio one nie dotkną. Kiedy Stany Zjednoczone z sojusznikami nałożyły sankcje na Irak i z tego powodu zmarło tam kilka tysięcy dzieci, była sekretarz stanu USA Madeleine Albright powiedziała, że było warto. Dla tych, którzy nakładają sankcje, nie ma żadnego znaczenia, jakie będą skutki po drugiej stronie. Dzieje się to od dekad. USA i na nasz kraj nałożyły kiedyś sankcje, ale wielu o tym nie pamięta.

Obecnie takim ludziom wydaje się, że zawsze będzie tak samo, a nie widzą, że okoliczności się zmieniły. To, co zrobiono obecnie, dotyka bardzo mocno gospodarki poszczególnych państw, które

nakładały sankcje. USA i Europa są w trudnej sytuacji, a inne państwa patrzą już nie na Zachód, tylko na Południe. Ci na pewno pomogą. Oby tak się stało!

Andrzej Kościński

f Kto powinien stanąć przed Trybunałem Stanu?

Bardzo źle zapisał się w pamięci społecznej minister edukacji narodowej, czyli były wojewoda lubelski, który pompował jedyny słuszny światopogląd w sposób inwazyjny. Szkolnictwo publiczne to nie jest katolicki folwark.

Damian Paweł Strączyk

Żaden Trybunał Stanu, normalny sąd karny byłby znacznie dotkliwszy.

Kazimierz Sasuła



✉ Gdzie Chopin, a gdzie TVP Kultura

Niezbyt często oglądam kanał TVP noszący dumną nazwę Kultura. Bo nie nadaje muzyki. Tej, którą ja określam tym mianem. Widzę oto reklamę jakiegoś produktu o nazwie „Doppelgänger”, ale niestety nie jest to „Doppelgänger” Schuberta-Heinego, genialna pieśń, bo pieśni solowej w TVP nie ma. Ani muzyki kameralnej. Ani recitali. Bywały np. transmisje z Royal Albert Hall. Bywały. A teraz doznaję wstrząsu. Propagowanie muzyki Chopina. Oglądam. I słucham (?). Widzę oto fortepian i oprócz tego jakąś pseudoludową kapelę ze śpiewającymi (?) dziewczętami. Muzyki Chopina – brak. Bo Chopin to fortepian. Czy Schumann, słuchając tych produkcji, krzyknąłby jak ongiś w Wiedniu: „To geniusz!”? To nie była popularyzacja muzyki Chopina, to była jej profanacja.

Jacek Jaroński, Kielce

ZDJĘCIE TYGODNIA

W Chan Junus pochowano w masowym grobie palestyńskie ofiary bombardowań. Przechowywane przez władze izraelskie ciała zostały wydane władzom w Gazie za pośrednictwem Czerwonego Krzyża. 22 listopada 2023 r.



Nowy Sejm zaczął działać od projektu refundacji in vitro. Pogram ma kosztować minimum 500 mln zł rocznie, a szczegółowy przedstawi nowe kierownictwo Ministerstwa Zdrowia.

Robert Telus, minister rolnictwa, mimo licznych zapowiedzi **nie zrobił nic, by ustalić listę firm, które sprowadzały z Ukrainy zboże, zwłaszcza techniczne.** Nie wystąpił nawet do szefa Krajowej Administracji Skarbowej o zwolnienie z tajemnicy celno-skarbowej. Ustalenia NIK są dla Telusa druzgocące.

Tomasz Kaczmarek, znany jako agent Tomek, związany z CBA były poseł PiS, zeznał, że na polecenie Mariusza Kamińskiego i Macieja Wąsika przekazywał tajne materiały pracownikom mediów związanych z PiS. Wśród odbiorców są **Cezary Gmyz, Tomasz Sakiewicz, Dorota Kania, Anita Gargas, Katarzyna Hejke, Samuel Pereira, Maciej Marosz.** Zapowiada się największa w powojennej Polsce afera kryminalna w mediach.

Koncern farmaceutyczny Pfizer pozwał Polskę za niewywiązanie się z umowy w sprawie szczepionek, za które nie zapłacono, i których nie odebrano, powołując się na siłę wyższą. Czekają nas negocjacje na temat tych roszczeń.

Wraca dyskusja nad pracą handlu w niedziele. Niestety, pomija się inne grupy zawodowe pracujące w dni świąteczne, m.in. pracowników transportu, energetyki, ochrony zdrowia, policji i gastroonomii. Dlatego sensowny jest postulat ujednolicenia

przepisów dla wszystkich pracujących w tym trybie. I np. dwuipółkrotnie wyższe wynagrodzenie za pracę w te dni.

KRS, choć była neo, politykom PiS dawała dobrze zarobić. W 2022 r. **Bartosz Kownacki zarobił tam 138 tys. zł, Kazimierz Smoliński – 125 tys. zł, Arkadiusz Mularczyk – 113 tys. zł, a Marek Ast – 108 tys. zł.**

Anna Goc, dziennikarka „Tygodnika Powszechnego”, została **laureatką Nagrody im. Beaty Pawlak**, przyznawanej autorom publikacji o innych religiach, kulturach i cywilizacji.

Klaudiusz Chrostowski za film „Ultima Thule” otrzymał **Nagrodę Filmową „Perspektywa” im. Janusza „Kuby” Morgensterna**, przyznaną dziełom filmowców startujących w zawodzie.

Łukasz Barys, 26-letni poeta i prozaik, za dramat „Szwaczka” został wyróżniony w Gliwicach **Nagrodą Dramaturgiczną im. Tadeusza Różewicza.**

Lucjan Brudzyński został powołany przez premiera Morawieckiego na komisarza Sopotu. W 2010 r. poparło go w wyborach 37 mieszkańców miasta, ale dla PiS ma zasługi, bo wpłacał na partię duże kwoty.

Hazard uprawia ponad 37% Polaków powyżej 15. roku życia. Około 48 tys. Polaków to patologiczni hazardziści (badanie EZOP II).

Koszty wypadków i kolizji drogowych sięgają rocznie ponad 39 mld zł. (1,5% PKB).

PRZEBŁYSKI

Ustawka u Springera

Widomo powszechnie, że Morawiecki to zgrzywus. Dla publiki robi wszystko. I każdemu powie, co ten chce usłyszeć. Poszedł nawet do Springerowskiego „Faktu”. Tabloid wydawany przez Ringier Axel Springer Polska reklamował wywiad z premierem jako rozmowę ekskluzywną. Chwalił się, że jest pierwszą redakcją, z którą premier spotkał się po wyborach. Morawiecki poszedł do „Faktu”, ale hicior to nie był. Premierowi nie zadano żadnego trudnego pytania. Ani słowa o 6 bln reparacji od Niemiec. Nic o niemieckim chamstwie. O tym, jak Niemcy chcą nas skolonizować, też nic.

Typowa ustawka odchodzącego premiera z nowym szefem „Faktu”.



Senator Golba w Dżakarcie

Ach, ta Dżakarta. Tajemnicza i egzotyczna kusiela. Nie oparł się jej nawet piłkarski baron Podkarpacia. A imię jego Mieczysław Golba. Senator PiS. Modelowy działacz tej partii, człowiek o jasno określonych patriotycznych priorytetach. Jak myślicie, co Golba robił w dniu, gdy senatorowie składali ślubowanie? Senator Golba poleciał do Indonezji na Mistrzostwa Świata Juniorów do lat 17. Polacy dostali tam baty, a na dodatek kilku jeszcze przed turniejem popiło sobie i odesłano ich do Polski.

Może zapytali się na działaczy PZPN, którzy wyjazdy z reprezentacją traktują jako okazję do wypitki? Pili nawet w samolotach, którymi lecieli z piłkarzami. A puenta? Im więcej PiS w PZPN, tym więcej tam działo się.

Sen w autobusie

Z gazet dowiedzieliśmy się, że po Warszawie chodzi Tomasz Sygut i zapowiada, że będzie prezesem TVP albo przynajmniej TVP Info. Znaczący się, praca w Miejskich Zakładach Autobusowych już mu nie odpowiada.

Nie dziwi nas, że Sygut chodzi za posadą. Zawsze tak robił. Ale dziwi, że są ludzie zdolni uwierzyć, że człowiek, który był prawą ręką Przemysława Orchołskiego, a potem topił TVP Info i projekt Nova TV, może do czegośkolwiek w mediach się nadawać.

Półki pełne raportów

Pisaliśmy już o Andrzeju Gerlachu, historyku Kościoła, który na Facebooku ujawnia, co odkrywa w małopolskim Instytucie Pamięci Narodowej. W Wieliczce są tysiące raportów kapłanów, którzy współpracowali ze służbami. Tysiące raportów nie oznacza, że aż tylu było donosicieli. Najpracowitsi produkowali ich przecież wiele. W diecezji krakowskiej tajnych współpracowników było jednak tylu, że teraz można porównywać, co na siebie pisali. Jeśli ich informacje się pokrywają, to znaczy, że raporty były rzetelne. Są w nich nazwiska kochanków i kochanek księży oraz dzieci, których ojcami byli księża. Są też szczegółowe opisy konfliktów między biskupami i ich zabiegi o awanse. Możemy się dowiedzieć, co w czasie obiadów lub kolacji mówił prymas Wyszyński. Nikogo nie oszczędzano.

Jak to się ma do mitu o heroicznej postawie kleru w PRL? Garstka faktycznie była w kontrze do systemu. Ale większość robiła to, o czym można przeczytać w Wieliczce.





PYTANIE TYGODNIA | Społeczeństwo jest za możliwością aborcji, politycy są przeciw. Skąd ta różnica?

PROF. MAGDALENA ŚRODA,
filozofka, UW

Politycy zwracają się ku wyborcom głównie w czasie wyborów, a potem, posiadając mandat, wchodzą w inny świat. Tu nie obowiązuje myślenie w kategoriach zdrowego rozsądku, oparte na doświadczeniu, tylko liczy się „myślenie polityczne”, czyli wyższy poziom wnioskowania. Wyrażając jakąś opinię, często słyszymy zarzut, że wprawdzie „mamy rację”, ale „nie myślimy politycznie”. Bo myśleć politycznie to kombinować między wieloma czynnikami: jak się zachowa konkurencja? Co zyska partia? Wreszcie: co na to Kościół? W przypadku aborcji to najważniejszy czynnik powodujący rozmijanie się zdroworozsądkowych opinii z deklaracjami politycznymi. Bo nie uwierzę, że przykościelnym politykom zależy na ratowaniu embryonów. Kościół ma w Polsce ciągle dużą władzę – może wspierać polityków, może odrzucać. Polityczne posłuszeństwo Kościołowi może być też związane z potrzebą uzyskania zbawienia, choć wątpię, by ci, którzy idą do polityki, na nie liczyli.

DR JOWITA RADZIŃSKA,
socjolożka, Uniwersytet SWPS

Po pierwsze, chodzi o prowadzenie pewnej gry politycznej. Do tej pory politykom opłacało się poświęcać sprawy kobiet w imię dobrych relacji z Kościołem czy środowiskami konserwatywnymi. A jeśli coś opłacało się przez ponad 30 lat, to dłużej

nie spróbować znowu. Po drugie, całe pokolenia wyrosły w dyskursie chronienia życia i stawiania znaku równości między życiem płodu a życiem kobiety. Jesteśmy przesiąknięci językiem, w którym mówi się o „dziecku nienarodzone”. To oddala społeczeństwo od rzetelnej rozmowy, w której widać, że po drugiej stronie mamy człowieka, kobietę, która jak każdy ma prawo do integralności cielesnej i decydowania o sobie. Praw człowieka nie przegłosowuje się w referendum. To konsekwencje 30 lat uprzedmiotawiania kobiet.

MARTA LEMPART,
Strajk Kobiet

Wbrew pozorom polityczki i politycy strony demokratycznej nie są przeciw legalizacji aborcji. Parlamentarzystki i parlamentarzyści Koalicji Obywatelskiej i Lewicy są za legalizacją. Również część osób z Trzeciej Drogi popiera prawo do aborcji. Niestety, nie dotyczy to jej dwóch liderów, którzy np. kłamali w rozmowach koalicyjnych, że ich ugrupowania są w całości przeciwko aborcji. Oczywiście mamy też stronę antydemokratyczną, która na poziomie politycznym jest przeciwko legalizacji – PiS i Konfederację. Jednocześnie ponad 70% Polek i Polaków jest za legalizacją aborcji. Liderzy Trzeciej Drogi, mówiąc o „sporze” o aborcję, najwyraźniej mówią o sporze, w którym po jednej stronie jest większość społeczeństwa, a po drugiej – elektorat PiS, ich dwóch i chory z nienawiści do kobiet polski Kościół.

Rozmawiał Kornel Wawrzyniak

SZKOŁO, DAJ ŻYĆ!

Cały naród odrabia zadania domowe



Kornel Wawrzyniak

– W dniu debaty wyborczej w TVP Hołownia rzucił, że usunie prace domowe. Popatrzyliśmy z żoną na siebie i wybuchnęliśmy śmiechem, mówiąc, że właśnie nas przekonał, żeby zagłosować na kogoś z Trzeciej Drogi. Oczywiście były to żarty, bo nie jest nam do marszałka Sejmu specjalnie blisko, jeśli chodzi o poglądy. Ale mamy dwójkę dzieci w wieku szkolnym, które „konsultują” z nami swoje zadania domowe non stop – opowiada 37-letni Albert. I dodaje: – Problemem nie są jednak lekcje odrabiane w domu, ale liczba kuriozalnych problemów, które generuje sama instytucja szkoły.

Posmak kielbasy wyborczej

Zarówno przedstawiciele Trzeciej Drogi, jak i Koalicja Obywatelska

(partia ogłosiła to w „100 konkretnych na pierwsze 100 dni rządów”) zapowiadały w czasie kampanii wyborczej, że całkowicie usuną zadania domowe ze szkolnego krajobrazu. Pomysł ten spotkał się z ogromnym zainteresowaniem i uczniów, i rodziców. Można nawet powiedzieć, że ci drudzy byli taką perspektywą zainteresowani najbardziej. Od lat słyszymy bowiem w mediach i w prywatnych rozmowach z rodzicami, że mnogość zadań domowych przeciąża dzieci bez wymiernych korzyści. Jest mniej czasu na rozwijanie zainteresowań, a odrabianie lekcji po kilka godzin dziennie bardzo często nie wpływa na lepsze oceny.

Całkowita rezygnacja z zadań domowych nie jest jednak dobrym pomysłem, jeśli nie będzie jej towarzyszyć rewolucja w systemie oświaty, który jest nie tylko przestarzały, ale jeszcze po wybrzykach ministra Czarnka stał się jednym wielkim chaosem.

Co więcej, jeśli natychmiast wprowadzi się zakaz prac domowych, bez nowego, diametralnie różnego podejścia do programu nauczania, system szkolnictwa bardzo szybko runie. Od lat polska szkoła stoi bowiem pracą domową. Pytanie więc, czy politycy demokratycznej koalicji nie wykorzystali zadań domowych jako smaczkowej kielbasy wyborczej. Zobaczmy, że ostra retoryka Tuska dotycząca nowoczesnej szkoły bez zadań domowych, którą mogliśmy zauważyć podczas kampanii wyborczej, złagodniała, gdy przyszło do konkretów. W umowie koalicyjnej czytamy: „Ograniczymy obowiązki związane z zadawaniem prac domowych, tak by czas po szkole był przeznaczony tylko dla rodziny i rozwijania swoich pasji”. Nauczyciele nie kryją, że odetchnęli z ulgą. – Nie gasi się pożarów, wycinając wszystkie lasy – stwierdził w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” Jacek Staniszewski,

nauczyciel, dyrektor szkoły i współtwórca kampanii „Zadaję z sensem”.

Za, a nawet przeciw

Rodzice dostrzegają, że ze szkołą coś jest nie tak. W badaniu CBOS „Polskie szkoły 2022” aż 38% ankietowanych wskazało, że jedną z największych bolączek edukacji jest „za dużo nauki pamięciowej, za mało przydatnych umiejętności”. Z kolei 28% pytanym rodziców uważa, że „nauczanie nastawione jest na rozwiązywanie testów, uczenie pod testy”. Nie jest to jedyny głos w dyskusji, który zarzuca szkole, że uczy wyłącznie zakuwania i odtworczości. Wielu uczniów, właściwie w każdym wieku, narzeka, że na lekcjach przepisuje treść podręczników do zeszytu.

– Moja nauczycielka od geografii sprawdzała ostatnio, co to jest mapa turystyczna, bo „zapomniała”. Byłam załamana, bo geografia to jedyny przedmiot, jakiego ta pani uczy w szkole. Przepisywanie treści podręcznika to na lekcjach geografii zresztą norma – opowiada załamana 12-letnia Ania, córka Alberta. Ojciec dziewczynki również jest w szoku. – Uczyłem się w innym mieście, w innych czasach, a opowieści córki wyglądają jak z moich własnych lekcji geografii, gdzie też przepisywaliśmy beznamytnie podręcznik. Jest to dla mnie głęboko szokujące doświadczenie – opowiada mężczyzna.

Instytut badawczy OSKKO na zlecenie Związku Miast Polskich przeprowadził w maju badanie, ile czasu dziennie dzieci spędzają nad lekcjami. Można powiedzieć, że wyniki są szokujące. W wyższych klasach podstawówki przeciętny uczeń na pracę z materiałem w szkole i w domu poświęca nawet 50 godz. To o 10 godz. więcej, niż wynosi etat dorosłego człowieka. Na same prace domowe przeznaczają 3,6 godz. dziennie. W klasach I-III to 2,6 godz. dziennie. Z tego wynika, że dzieciom zostaje ok. 10 godz. tygodniowo na rozwijanie pasji i talentów.

– Zajmowanie uczniom czasu odpoczynku, czasu na rozwijanie zainteresowań, czasu rodzinnych,

koleżeńskich spotkań, jest niehumanizującym traktowaniem młodych ludzi. Prace domowe czy korepetycje są protezami nieudolnej szkoły. Szkoły, której celem jest wynik – stopień. Szkoły, w której króluje rywalizacja i potrzeba bycia lepszym od innych. Zakaz prac domowych nie rozwiąże jednak problemów, tylko je pogłębi. Uczenie się jest procesem, wymagającym czasu i indywidualnego podejścia. Wspiera je współpraca, poczucie sensu, docenienia starań – podkreśla nauczycielka i autorka książek z dziedziny edukacji Anna Szulc.

Bardziej niż dzieci zadań domowych nie lubią chyba tylko rodzice. Psycholożka dziecięca Agnieszka Stein wskazuje, że zadania domowe są sposobem, w jaki szkoła wchodzi w obszar relacji rodzinnych. – Siłą rzeczy rodzic, jeśli chce „dopilnować” dziecka, przyjmuje rolę korepetytora i nadzorcy, która wcale

proponowane – wyjaśnia dyrektorka kaliskiej podstawówki Katarzyna Garnuszewska.

Na początku 2018 r. szkoła poszła jeszcze o krok dalej i wprowadziła dużą dowolność w odrabianiu zadań domowych. Okazało się, że nie wszystkim uczniom taka zmiana wyszła na dobre. Dlatego władze szkoły zarządziły, że uczniowie klas IV–VIII mają odrobić przynajmniej trzy prace domowe z każdego przedmiotu w ciągu roku szkolnego. Nadal pozostawiono uczniom dowolność przy ich wyborze. – Dzieci nie muszą odrabiać wszystkich prac domowych, a to zmniejszyło poziom szkolnego stresu. I o to nam chodziło. Teraz uczniowie sami sięgają po te prace domowe, które pozwalają im rozwijać zainteresowania. Aby młody człowiek nauczył się odpowiedzialności, musi mieć możliwość dokonywania wyboru – zaznacza Katarzyna Garnuszewska.

Plusy odejścia od obowiązkowych zadań domowych dostrzegają psychologowie i edukatorzy.

mu nie odpowiada. Jest motywowany do pracy, bo dziecko często nie radzi sobie z zadaniami domowymi, a uczeń dostaje dobre lub złe oceny za pracę rodzica (...). To rodzic ma prawo decydować, jak jego dziecko spędza swój wolny czas. Czy bawi się i odpoczywa, czy pomaga mu w domu, czy może razem z bliskimi rozwija swoje zainteresowania lub pielęgnuje rodzinne relacje. Nauczyciel decyduje o tym, jaki materiał jest opracowywany w szkole, a sprawy domowe powinien pozostawić rodzicom – opisuje psycholożka.

Eksperyment z odejściem od prac domowych rozpoczęła już pod koniec 2017 r. dyrekcja Szkoły Podstawowej nr 3 w Kaliszu. – Wprowadziliśmy zadania typu „AiR – aktywność i rozwój”, mające pobudzać działanie i kreatywność. Ustaliliśmy też, że w dzienniku elektronicznym będziemy zamieszczać informacje o zadaniach dla chętnych uczniów. W ten sposób rodzic może w każdej chwili sprawdzić, czy i jakie zadania są dzieciom

Dyrekcja podkreśla, że nie są to prace polegające na przepisywaniu podręczników, lecz zadania kreatywne i wszechstronnie rozwijające. Jednocześnie w kaliskiej trójce zadania domowe obowiązują w najmłodszych klasach. Mają bowiem na celu doskonalenie pisania, czytania i liczenia.

– Na bieżąco uważnie śledzimy efekty szkolnej innowacji. Dyskutujemy, konsultujemy i podsumowujemy, zbieramy wnioski. Regularnie też pytamy rodziców, jaki realny wpływ mają te zmiany na ich dzieci. Jedno jest pewne: obowiązkowe, codzienne prace domowe do naszej szkoły nie wrócą. Ciągłe też dbamy o to, aby ocena była dla ucznia informacją, motywowała i dawała satysfakcję z osiągnięć, a nie była rodzajem kary – mówi dyrektorka Szkoły Podstawowej nr 3 w Kaliszu.

Widać, że w Kaliszu zrealizowano kompleksowy pomysł na cały proces nauczania. Nawet kiedy popełniono kilka błędów, to proces przemian był ▶

► cały czas konsultowany ze społecznością szkolną.

Prawda zawsze jest gdzieś pośrodku

Plusy odejścia od obowiązkowych zadań domowych dostrzegają psychologowie i edukatorzy. Nikt nie wskazuje jednak, że całkowite skasowanie zadań domowych wniesie coś konkretnego.

– Kiedy nie ma obowiązkowych zadań do odrobienia, dzieci dużo chętniej chodzą do szkoły, rozwijają zainteresowania, przygotowują się do lekcji. Chętniej też zajmują się zadaniami, które są propozycją odszukania informacji, dokonania obserwacji czy sprawdzenia w życiu codziennym wiedzy zdobytej na lekcjach. Chętniej czytają, pomagają rodzicom i dłużej śpią – stwierdza psycholożka Agnieszka Stein.

Podobnego zdania jest Anna Szulc, która wskazuje jednak, że zadania domowe mogą stanowić sensowny element w intelektualnym rozwoju dziecka.

– Jeżeli uczeń ma w sferze zainteresowań np. matematykę, to nie mogę mu zabronić uczyć się po szkole, bo to jest jego wybór. Ta dodatkowa nauka nie ma być jednak wynikiem

dążenia do zdobycia lepszych stopni, lecz elementem rozwoju dziecka i jego pasji, jego zainteresowań. W szkole też się zdarza, że wraz z innymi uczniami pracuje się na zajęciach nad różnymi projektami. Takie aktywności wymagają współpracy na lekcji, ale czasem trzeba również wyjść gdzieś na zewnątrz lub spotkać się u jednego z uczniów w domu. Tego rodzaju zadania są angażujące i uczą współpracy. Takiej formy nauki nie ma sensu zakazywać. Domyślam się jednak, skąd pomysł na usunięcie prac domowych. Szkoła ciągle opiera się na tym, że coś się nakazuje lub czegoś zakazuje i wtedy to działa. Ale takie rozwiązanie wynika z tej samej retoryki, która jest powodem kłopotów, jakie ma instytucja szkoły. Dopóki nie zrozumiemy, na czym polega proces uczenia, że celem edukacji nie jest wypracowanie wymagań i groźących konsekwencji, a raczej chodzi w niej o rozwój jednostki, zdobywanie wiedzy i umiejętności, szkoła nie wjedzie na właściwe tory – tłumaczy Anna Szulc.

Czas skończyć z folwarkiem

Donald Tusk mówił podczas kampanii wyborczej, że będzie chciał zastosować model, jaki wprowadził

w szkołach prezydent Wodzisławia Śląskiego. Założenia rewolucji, jaka tam się odbywa, to m.in. odejście od 45-minutowych lekcji, czterodniowy tydzień nauki, ograniczenie testów i klasówek oraz brak dzwonek w szkołach. Dokument dotyczący tej transformacji liczy aż 117 stron. Jednocześnie dyrektorka Zespołu Szkół nr 1 w Wodzisławiu Śląskim Urszula Marus przekonywała w mediach, że nie należy kasować zadań domowych, trzeba zmienić sposób myślenia o nich. Można nawet powiedzieć, że usunięcie zadań domowych przy obecnej podstawie programowej jest dla polskiej edukacji zagrożeniem, ponieważ nauczyciele nie nadążają z realizacją programu.

– Widzę dwa scenariusze, jeśli zakaze się zadań domowych bez większych zmian w całości edukacji. Pierwszy jest taki, że wszystko bardzo szybko wysiadzie, będzie to kolejny powód do niepodejmowania konstruktywnych działań, a za to do poszukiwania strategii, jak zakazy ominąć. Wszyscy, zarówno nauczyciele, uczniowie, jak i rodzice, są już zmęczeni. Jeśli dojdzie do takiej sytuacji, to z edukacji zostaną zgłiszczą. Drugi scenariusz to pogłębienie obecnych kłopotów szkoły. Dlatego

MODEL FIŃSKI

Pomysł rezygnacji z zadań domowych zaczerpnięto z Finlandii. Nie ma jednak drogi na skróty. Reforma edukacji trwała tam 40 lat

W fińskich szkołach jest wiele miejsca na popełnianie błędów i poszukiwanie nowych rozwiązań. Dotyczy to zarówno uczniów, jak i nauczycieli. Pomyłki się nie piętnuje, lecz traktuje jako kolejną okazję do nauki. Placówki oświatowe mają ogromną dowolność i autonomię działań dzięki decentralizacji nauczania. Co nie oznacza, że szkoły nie trzymają się spójnego programu edukacji.

Najważniejszym elementem fińskiego systemu edukacji są relacje międzyludzkie. Wystarczy wspomnieć, że w większości szkół uczniowie mówią do nauczycieli po imieniu. Relacje z rodzicami również są dużo bardziej partnerskie. Ma to bezpośredni związek z tym, że fiński model wychowania nazywa się nieautorytarnym. Można

powiedzieć, że edukacja w Finlandii opiera się na zaufaniu, szacunku i elastyczności.

Legendarny już brak prac domowych jest tymczasem mitem. Uczniowie wracają ze szkoły z zadaniami. Mają one jednak inny cel i wymiar niż te znane z polskich szkół. Wpływają m.in. na kreatywność i samodzielność. Ważniejszą kwestią jest inne podejście do oceniania, w którym nacisk kładzie się nie na oceny i rankingi, ale na indywidualny rozwój ucznia. Dzieci nie rywalizują między sobą. Obowiązuje opisowy system oceniania postępów ucznia. Każdy rozwija się w swoim tempie.

Program nauczania opiera się na zasadzie „mniej znaczy więcej”. System kształcenia na poziomie

czas zacząć sięgać po rozwiązania, które dziś są na wyciągnięcie ręki. W Polsce, i nie tylko, naprawdę jest wiele osób, które robią sensowne rzeczy wokół edukacji. Dziś mamy dostępne osiągnięcia neurodydaktyki, która podpowiada, jak pracuje mózg i w jaki sposób wykorzystać efektywnie czas lekcji, aby szkoła kreowała absolwentów gotowych funkcjonować we współczesnym

pomagają w procesie uczenia się”, a zamiast tego mogą „doprowadzić do wzrostu zniechęcenia uczniów i pogłębienia się nierówności społecznych”.

Organizatorzy akcji dotarli też do sedna problemu, niestety na razie nieosiągalnego dla przestarzałego pruskiego systemu edukacji, którego retoryka nadal odciska piętno na polskiej szkole.

Prace domowe czy korepetycje są protezami nieudolnej szkoły.

świecie, a wybór zajęć po szkole był suwerenną decyzją ucznia – wylicza Anna Szulc.

Większość specjalistów i praktyków wskazuje, że polskiej edukacji potrzebna jest głęboka i natychmiastowa przemiana. Rzecznik Praw Obywatelskich oraz kilka organizacji pozarządowych ogłosił w 2019 r. akcję #zadaNIEdomowe. Na stronie akcji można przeczytać: „Nadmierne obciążenie uczniów obowiązkami szkolnymi ma negatywny wpływ na życie całych rodzin, jest też niezgodne z nowoczesnymi trendami edukacyjnymi”. Dodatkowo według specjalistów skupionych wokół akcji: „zadania domowe nie zawsze

Propozycja ekipy zebranej przez prof. Adama Bodnara była w gruncie rzeczy prosta – szkoły powinny ustalić zasady zadawania prac domowych. W dyskusji powinny uczestniczyć zaś wszystkie strony, czyli nauczyciele, dzieci i rodzice. Potrzebna jest nie tylko zmiana programu nauczania, ale też zmiana myślenia o relacjach panujących w polskim systemie edukacji. Niestety, przed nami długa droga, na którą jako społeczeństwo przestajemy mieć czas.

Prof. Janusz Hryniewicz, socjolog i znawca teorii zarządzania z Uniwersytetu Warszawskiego, ocenia, że 75% polskich korporacji, małych firm, ale też urzędów jest

odwzorowaniem „kultury średnio-wiecznego folwarku”. Ta diagnoza zdaje się dotyczyć również zależności panujących w większości szkół. W miejscach opisywanych przez prof. Hryniewicza komunikacja odbywa się zwykle jednokierunkowo i tylko w dół. Popatrzmy, jak to zwykle wygląda w polskiej szkole: dyrektorzy dociskają swoich podwładnych, a nauczyciele przenoszą ten model niżej i wymagają od uczniów. A jak wiadomo, „dzieci i ryby głosu nie mają”, więc wszelkie zastrzeżenia wobec pracy nauczycieli są karane przede wszystkim uwagami.

Z jednej strony, mamy nieograniczoną władzę i dystans, z drugiej – pełne posłuszeństwo i aparat opresji. Problem w tym, że współczesna szkoła, jakiej potrzebujemy, wymyka się od dawna tym kategoriom. Jeśli nie zaczniemy traktować dzieci po partnersku, ucierpi na tym całe społeczeństwo. „Udogodnienia” takie jak e-podręczniki czy usunięcie prac domowych nie zastąpią dialogu, który młodym ludziom potrzebny jest do rozwoju jak powietrze do życia.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

podstawowym nastawiony jest na poszukiwanie zainteresowań uczniów i wyposażenie dzieci w narzędzia do zgłębiania tych zagadnień. W konsekwencji uczniowie spędzają mniej czasu w szkole niż rówieśnicy z innych krajów. To zaś sprzyja podtrzymywaniu zapалу do nauki. Współcześnie neurobiolodzy wskazują, że nowe połączenia neuronalne w mózgu powstają wtedy, kiedy z nauki czerpie się przyjemność, a przedmiot jest interesujący.

Jeśli polskiemu społeczeństwu marzy się fińska szkoła, warto zdać sobie sprawę, że tutaj nie ma drogi na skróty. Nie wystarczy doklejenie kilku najciekawszych nowoczesnych elementów do przestarzałego i autorytarnego pruskiego systemu opresji. Reforma edukacji trwała w Finlandii 40 lat i była efektem konsensusu wypracowanego przez wszystkie partie polityczne. Takiej ciągłości zmian nie uda się w Polsce osiągnąć, póki szkoła nie stanie się apolityczna i tym samym nie przestanie być elementem politycznych rozgrywek.

Wątpliwe jednak, aby ten postulat udało się szybko zrealizować, gdyż wiecznie żywa jest zasada, którą nie wprost wypowiedział niemiecki filozof Hans-Georg Gadamer: kto decyduje o treściach w edukacji, ten sprawuje faktyczną władzę nad społeczeństwem. Ostatnie lata konsekwentnego ogłupiania polskich uczniów przez „pomysły” Przemysława Czarnka zdają się potwierdzać tę tezę. *KW*

KILKA FAKTÓW O FIŃSKIM SYSTEMIE EDUKACJI

1. Dzieci zaczynają naukę w wieku 7 lat. Do 16. roku życia nie są w szkole prawie wcale testowane.
2. Zawód nauczyciela jest prestiżowy. To najbardziej oblegany kierunek studiów, tuż po medycynie. Na jedno miejsce na uczelni pedagogicznej przypada ośmioro kandydatów.
3. Płatne korepetycje są zakazane. Każdy uczeń musi otrzymać dodatkową pomoc w nauce w ramach zajęć szkolnych.
4. Prawie wszystkie szkoły, w tym uniwersytety, są instytucjami państwowymi. Prywatne uczelnie stanowią ok. 2% placówek. Jednak nawet tam koszty nauki pokrywa państwo.
5. Rok szkolny rozpoczyna się w połowie sierpnia i trwa do końca maja.
6. Nauczyciel średnio cztery godziny dziennie spędza w klasie. Jest także zobowiązany do rozwijania kompetencji zawodowych przez dwie godziny w tygodniu.

Rozmawia Ewa Smolińska-Borecka

W kampanii przedwyborczej niektóre partie opozycyjne zaproponowały, by w szkołach znieść prace domowe.

– To temat od dawna podejmowany w dyskusjach i przestrzeni publicznej, ale także w domowych pieleszach i pokojach nauczycielskich.

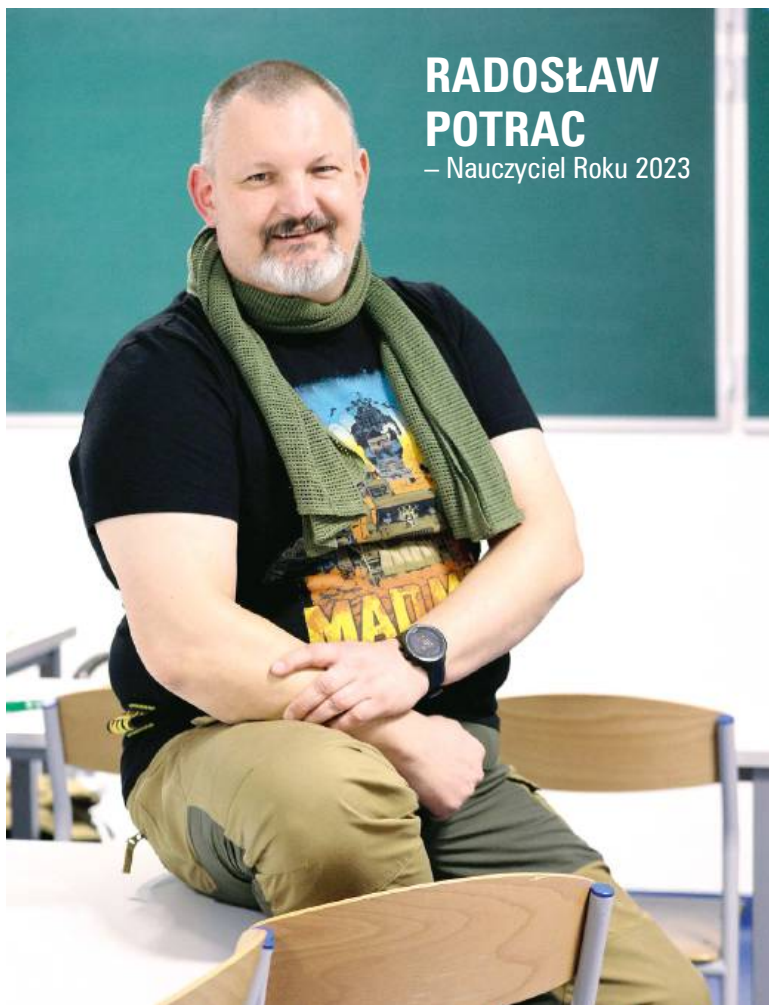
W przypadku pana przedmiotu, czyli historii, to chyba nie ma znaczenia, bo pan i tak pisemnych prac nie zadaje. Jak uczniowie przyjęli tę propozycję?

– Nie wiem, bo nie rozmawialiśmy o tym. Uczniowie niespecjalnie – zwłaszcza w szkole podstawowej – uczestniczą w sporach w przestrzeni publicznej. Ich rodzice już bardziej. Jako nauczyciel historii staram się rozmawiać o faktach, a nie o sprawach, które jeszcze nimi nie są. Pojawienie się w debacie publicznej rozmowy o tym, czy zadawać prace domowe, czy nie, moim zdaniem wynika z tego, że ten temat często jest wykorzystywany przez różne opcje polityczne. Chcą one znaleźć pole do dyskusji i postarać się przedstawić mniej lub bardziej sensowny punkt widzenia, by coś uzyskać. Takie rozmowy toczą się też równolegle w domach i w szkołach – i te dyskusje uważam za bardziej potrzebne.

Żeby zacząć rozmawiać o pracach domowych, trzeba usiąść z nauczycielami i specjalistami choćby od teorii uczenia się i funkcjonowania ludzkiego mózgu. Zastanowić się, gdzie, jak i po co. Moim zdaniem prace domowe – tak, ale sensownie, żeby spełniały swoją funkcję rozwojową i odpowiadały potrzebom młodych ludzi. Praca domowa ma angażować i rozwijać. Ma być również sposobem na utrwalenie wiedzy w sposób samodzielny, tak, by pomoc rodzica nie była konieczna (oczywiście poza początkowym okresem wdrażania do realizacji prac domowych – tutaj rola dorosłego jest nieodzowna).

Prace domowe tak, ale sensownie

Szkoła ma uczyć, nauczyć się musi jednak sam uczeń



**RADOSŁAW
POTRAC**

– Nauczyciel Roku 2023

Radosław Potrac – nauczyciel w Szkole Podstawowej z Oddziałami Integracyjnymi nr 30 im. Powstańców 1863 r. w Warszawie. Tegoroczny zdobywca tytułu Nauczyciela Roku w konkursie organizowanym od 21 lat przez „Głos Nauczycielski” (do 2016 r. wspólnie z Ministerstwem Edukacji Narodowej). Jest pedagogiem specjalnym – terapeutą, nauczycielem wspomagającym proces uczenia się. Uczy historii i wychowania do życia w rodzinie; wychowawca klasy 7c. W szkole przewodniczy zespołowi ds. jej promocji, jest członkiem zespołu zajmującego się stroną internetową i zespołu ds. programu profilaktyczno-wycho-

wawczego. Prowadzi Szkolne Koło Turystyczno-Krajoznawcze „Dreptaki” i zajmuje się Szkolnym Miesięcznikiem Ludzi Pozytywnie Zakręconych Inaczej „Śrubowkręt”. Jest społecznikiem – prezesem Stowarzyszenia Gwara Warszawska, wiceprezesem Zarządu Głównego Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, szefem Inspektoratu Turystyczno-Krajoznawczego Główniej Kwatery ZHP, członkiem Rady Muzeum Warszawy, sekretarzem Oddziału Stołecznego PTTK im. Aleksandra Janowskiego i członkiem Rady Programowej ds. Młodzieży Szkolnej Zarządu Głównego PTTK. Wolontariusz Domu Powstańców Warszawskich na Nowolipiu.

A co na ten temat mówią badania?

– Badania przeprowadzone ostatnio w Wielkiej Brytanii, USA i Unii Europejskiej pokazują, że czas poświęcony na prace domowe powinien wyglądać mniej więcej w ten sposób: dla klas I-III maksymalny czas, który dziecko przeznacza na prace domowe, czyli pisanie literek czy trenowanie czytania itp., powinien wynosić ok. 30 minut dziennie, w klasach IV-VI troszkę więcej – ok. 45 minut, a w klasach VII-VIII – około godziny dziennie. Uczniowie poświęcają na prace domowe o wiele więcej czasu. Z różnych powodów, ale faktem jest znaczna ilość czasu poświęcona na obowiązki pozaszkolne i brak czasu na zabawę, dzieciństwo, zainteresowania – nie te ubrane w masę zajęć pozalekcyjnych – tylko zwyczajne bycie z kolegami, rodziną, bliskimi.

Wciąż kuleje uczenie dzieci uczenia się oraz wyrabianie nawyków pozwalających na samodzielne utrwalanie wiedzy i umiejętności nabytych w szkole. Dzieci potrzebują treningu uczenia się, dopiero potem samego uczenia się. Szkoła nie jest po to, żeby nauczyć, ale żeby uczyć. Nauczyciel jest po to, żeby przekazać wiedzę, ale nauczyć się musi samo dziecko – uzbrojone w odpowiednie narzędzia i przy wsparciu rodziców. Ważny jest podział ról i zrozumienie tego, po co jest szkoła, po co jest uczeń, po co jest rodzic.

Czy warto o zadania domowe pytać samych uczniów?

– Pytanie uczniów o tę sprawę przyniesie jednoznaczny komunikat. Młodzi ludzie w większości będą przeciw pracom domowym. Na palcach jednej ręki policzymy tych, którzy powiedzą: „Tak, chcę się uczyć w domu”. Ale kiedy im pokażemy, do czego służy praca domowa, kiedy tak ją sformułujemy, że będą widzieć jej sens i efekty – wówczas postawy się zmieniają. Zwłaszcza kiedy taka praca jest sprawdzona, doceniona i udzielona jest informacja zwrotna.

W przypadku niektórych przedmiotów prace domowe są konieczne?

– Trudno nie zadawać prac domowych z matematyki, bo w matematyce po pierwsze trzeba rozumieć, ale po drugie powtarzać, gdyż *repetitio est mater studiorum*. Mamy

kalkulatory, które za nas liczą, ale jak pani zapyta w Niemczech, dlaczego cenią pracowników z Polski, to powiedzą wprost: „Polacy potrafią liczyć w pamięci, a Niemcy już nie, bo oni liczą tylko na kalkulatorach”. W rezultacie Polacy znają tabliczkę mnożenia, radzą sobie z dodawaniem całkiem sporych liczb w pamięci itd. To także trening mózgu. Nie oznacza to jednak, że wszystko na pamięć. W dobie informacji dostępnych od ręki mija się to z celem. Jednak podstawy, zwłaszcza te związane z kompetencjami kluczowymi, jak najbardziej tak.

Gdyby jednak nie wkuwać tabliczki mnożenia, dat, które są na wyciągnięcie ręki w internecie, to może dałoby się zrezygnować z zadawania prac domowych?

– W dzisiejszych czasach nasz mózg dostaje ogrom informacji. Jako historyk uwielbiam badanie, które zostało przeprowadzone kilka lat temu. Jego wynik był taki – w średniowieczu w ciągu całego życia mózg człowieka otrzymywał tyle informacji, ile teraz w jeden dzień mózg człowieka, który pójdzie do galerii handlowej.

Odnoszę wrażenie, że przez lata resort edukacji był oderwany od „dołów roboczych”.

Pokazanie tego jest bardzo istotne i ważne do zrozumienia, z czym dzisiaj mierzą się młodzi ludzie. To również klucz do tego, by przyrzeć się na nowo metodom i formom nauczania, dostosować je do potrzeb i możliwości percepcyjnych współczesnej młodzieży. Jako pedagog specjalny rozumiem, że ciągłe bombardowanie bodźcami wywołuje problemy z komunikacją uczuć, relacjami społecznymi, młodzi ludzie wolniej uczą się interpretować myśli i uczucia innych. Zapamiętują masę informacji mechanicznie, ale trudno jest im ich użyć.

Jak się tego nauczyć?

– Wiedzę musimy sobie utrwalać i powtarzać. Ale przecież tak jak w metodzie czytania globalnego wystarczy czasem pokazać tę samą informację w określonym rytmie kilka razy i zgodnie z tym, jak działają białka receptorowe, które pomagają nam zapamiętać, zgodnie z tym, jak

działa mechanizm zapamiętywania, jak funkcjonujemy podczas snu – zapamiętujemy głównie, kiedy śpimy. Dodatkowo, by pamiętać i zapamiętywać, musimy mieć czas na odpoczynek i „niemyślenie”. Czyli musimy dbać m.in. o higienę snu, o czas na regenerację, oddech. Kiedy spojrzemy na sprawę całościowo, zupełnie inaczej widzimy temat zadawania prac domowych.

Moim zdaniem tak, zadawać, ale przede wszystkim mądrze. Tak, zadawać, ale jak w przypadku historii zadawanie pracy domowej nie służy temu, by dziecko zapamiętało daty, lecz przede wszystkim temu, żeby – mając umiejętność poszukiwania informacji – przejrzało kilka faktów, wyciągnęło z nich wniosek, potrafiło go zaprezentować i odnieść się do wniosków. Bo tego uczy historia: wyciągania wniosków, poruszania się w informacjach oraz krytyki źródeł, czyli umiejętności decydowania, czy to, co zobaczyłem, to prawda, czy nie.

Dlatego jako historyk rozmawiam o faktach. A faktem jest, że na razie nikt nie wprowadził żadnej zmiany. Jak ktoś przyjdzie i będzie ją wprowadza-

dział, będziemy rozmawiać: zadawać czy nie zadawać? Tylko wtedy będzie już za późno – ale ja i inni nauczyciele jesteśmy otwarci na dialog. Można z nami rozmawiać i korzystać z naszych doświadczeń. Stronami w takiej dyskusji powinni też być uczniowie i rodzice.

Dialog jest nieodzowny?

– Myślę, że w ogóle w kwestii edukacji trzeba rozmawiać z nauczycielami, czyli z tymi, którym bliski jest ten problem. Także ze środowiskami rodziców i uczniów. Odnoszę wrażenie, że przez lata resort edukacji był oderwany od „dołów roboczych”. Rzeczywiście fajnie jest wprowadzać różne pomysły, projekty, programy, tylko najpierw trzeba by zapytać specjalistów, jak oni w tym się znajdują, czy widzą sens, czy w przeładowanej podstawie programowej warto coś dopychać nogą. Konsultacje społeczne i czas na nie to podstawa. ▶

► Ale wracając do pracy domowej, chciałbym najpierw, i myślę, że moi uczniowie i ich rodzice także, by pojawiły się konkrety, żeby dyskusja nie była ogólnym laniem wody. Nawet jeśli coś się pojawia i zaczynamy rozmawiać, to rodzi się pytanie: „Ale czy na razie mamy o czym rozmawiać?”. No nie. To czy jest sens marnować czas? Oczywiście każdy z nas się zastanawia, jak zadawać pracę domową, w jakiej formie ją zadawać, żeby miała sens. Poruszamy te tematy w gronie nauczycieli klasowych i na forum szkoły. Nie są nam potrzebne ogólnopolskie zawirowania, wynikające z tego, że ktoś proponuje brak pracy domowej, a ktoś inny nie. Najpierw powinna się ustabilizować sytuacja po wyborach. Później siadłmy do rozmów i poszukajmy rozwiązań – niekoniecznie ogólnokrajowych, być może wystarczy nakreślić ogólne zasady i pozwolić specjalistom, aby dostosowali je do swojego podwórka. Każde środowisko jest inne i ma inne potrzeby.

Czy spodziewał się pan tytułu Nauczyciela Roku 2023?

– Trzy lata temu w tym konkursie organizowanym przez „Głos Nauczycielski” otrzymałem jedno z dwóch wyróżnień. Szkoła uzyskała tytuł Szkoły na Medal. Nauczyciel, jeśli nie zdobył wcześniej tytułu Nauczyciela Roku, może być zgłoszony po raz kolejny. Zdecydowanie jednak nie spodziewałem się takiego obrotu sprawy. Konkurs jest tajemnicą i do końca nikt nie wie, co go spotka na gali w Zamku Królewskim. Obok mnie było wielu wspaniałych nauczycieli, innowatorów, młodych, w moim wieku – a każdy z ogromnym dorobkiem i sukcesami wśród młodzieży.

A kto pana zgłosił? Bo to może być szkoła, grono nauczycielskie, rodzice uczniów, organizacje pozarządowe.

– Mnie zgłosiły NGO-sy, PTTK, bo od 20 lat prowadzę w szkole, w której uczę, czyli w Szkole Podstawowej nr 30 w Warszawie, Szkolne Koło Turystyczno-Krajoznawcze „Dreptaki”. Poparcie przyszło ze strony rodziców, ZHP, Towarzystwa Przyjaciół Warszawy, Domu Powstańców Warszawskich, Stowarzyszenia Gwara Warszawska i wielu innych ludzi, nauczycieli, organizacji.

Bardziej bym się spodziewała, że znajdę Nauczyciela Roku w szkole w jakiejś odległej od stolicy gminie niż na warszawskiej Pradze-Północ, a dokładniej na Szmulkach. Ta część Warszawy przez lata nie miała dobrej opinii.

– I to jest ciekawe. Powiem tak, nieskromnie dla nas, nauczycieli, którzy pracują na Pradze: jeżeli ktoś radzi sobie na Pradze, poradzi sobie w każdym miejscu Polski i nie ma znaczenia, gdzie go los rzuci, bo rzeczywiście specyfika pracy w środowisku praskim jest szczególna, inna niż specyfika pracy gdzie indziej. Wynika to troszeczkę z naleciałości kulturowych, z doświadczeń historycznych. Praga przez lata była niedofinansowana. W którymś momencie ciężko było tu żyć. I tak naprawdę dopiero teraz przeżywa ponowny rozkwit, kie-

Młodzi ludzie zapamiętują masę informacji mechanicznie, ale trudno jest im ich użyć.

dy udało się w Koneserze otworzyć centrum kulturalne, kiedy pojawił się Campus Google, kiedy zaczęto kolarzyć Pragę nie tylko ze Szmulowizną, z ulicą Brzeską, Stalową, czyli ze Starą Pragą, ale i z artystami, z twórczością, z wielokulturowością. Praga jako jedyna w Polsce ma już dwóch Nauczycieli Roku. To w jakiś sposób ukazuje charakterność belfrów z Pragi-Północ.

Jaka jest ranga tytułu Nauczyciel Roku? Czy w środowisku edukacji jest przyjmowany poważnie?

– W mojej szkole na szczęście jesteśmy normalni i traktujemy się normalnie. Żartuję, że dzięki temu tytułowi nikt mnie ze szkoły nie zwolnił i nadal mam co robić. A nawet mam trochę więcej pracy, bo oprócz tego, co do tej pory robiłem, dochodzą nowe wyzwania i ciekawe propozycje. W środowisku nauczycielskim to taki Oscar w skali ogólnopolskiej. Czy stałem się autorytetem? Trudno powiedzieć, choć zdarza się cytowanie moich wypowiedzi i poglądów na edukację. Oznacza to, że tytuł ma znaczenie i zobowiązuje.

A te dodatkowe wyzwania, które dokładają pracy?

– Choćby spotkania z dziennikarzami, jak to nasze. Także oczekiwania wobec człowieka uhonorowanego tytułem.

Ale jest też frajda, satysfakcja i sława.

– No tak, ale frajda, satysfakcja i sława nie rozciągną doby o kilka godzin. Dlatego teraz jeszcze ciśniej muszę sobie poukładać zajęcia w kalendarzu, jeszcze bardziej ograniczyć różne rzeczy, np. wypoczynek, w czasach, w którym mówimy o dobrostanie, o dbałości o siebie itd. Mówię: muszę, ale przecież to ja decyduję i ja wybieram. Z radością i spokojem. Ta nagroda jest ważna dla mnie osobiście. Jest podsumowaniem i zamknięciem 25 lat pracy zawodowej. Jest ona też bardzo ważna w środowisku nauczycielskim. Nauczyciele zdają sobie sprawę z tego,

co oznacza ogólnopolski tytuł Nauczyciela Roku, przyznawany przez komisję. Jest to gremium wysokiej rangi, bo składa się m.in. z członków PAN, członków komisji oświaty instytucji państwowych, a więc zasiadają w nim uznani eksperci w dziedzinie edukacji pod przewodnictwem prof. Stefana Kwiatkowskiego. W związku z czym wybór przez taką komisję to już olbrzymia nobilitacja, bo człowiek ma świadomość, że o tym zdecydowali ludzie, którzy znają się na edukacji.

Czy w związku z tytułem są gratulacje i propozycje?

– Tak, zwłaszcza po wydarzeniach telewizyjnych, których byłem bohaterem. Dzwonią znajomi i zaprzyjaźnieni dyrektorzy, warszawska edukacja – jak najbardziej, ale częściej instytucje związane z edukacją, wydawnictwa.

A czego oczekują od pana?

– Jeszcze nie wiem, na razie otrzymuję listy z podziękowaniami, z gratulacjami. Po 25 latach pracy w szkolnictwie mam przyjaciół – nauczycieli w całej Polsce, wychowanków, ziomków z Warmińsko-Mazurskiego, bo pochodzę z Braniewa, ale i przyjaciół ze Świętokrzyskiego

i z innych miejsc. Jako instruktor ZHP pracowałem z różnymi środowiskami w całym kraju. W pracy akademickiej miewałem studentów z różnych stron kraju. To zainteresowanie i sympatia są bardzo miłe i przyjemne, ale jednocześnie sprawiają, że człowiek zaczyna być baczniej obserwowany. Po zabójstwie przedszkolaka w Poznaniu czy innych sytuacjach wypowiedziałem się o braku obecności Rzecznika Praw Dziecka w odniesieniu do tych wydarzeń, związanych z przemocą wobec dzieci, konieczności zachowania spokoju i wsparcia rodziny. Wtedy zauważyłem, że wiele osób zainteresowało się wpisami na moim Facebooku. Podobnie po zapoznaniu się z raportem dotyczącym sytuacji w szkole wydanym przez „Newsweek”.

Wcześniej wprawdzie też zabierałem głos w różnych sprawach, ale w tej chwili mam świadomość, że za chwilę ktoś to będzie cytował, przytaczał. Dlatego staram się ważyć słowa, żeby nie były powodem podziałów. Bo wspólne działanie i jedność mimo różnic to coś, czego moim zdaniem potrzebujemy najbardziej. Potrzebujemy mądrości w przestrzeni medialnej i publicznej, szacunku dla drugiego człowieka. O tym mówiłem także podczas gali wręczenia nagrody Nauczyciela Roku 2023 – ważne jest dla mnie to, żeby nie tworzyć podziałów, bo już jesteśmy dostatecznie podzieleni. Ten podział obserwuję nawet w mojej rodzinie. Z ojcem nieraz mieliśmy różne zdania na temat funkcjonowania szkoły, edukacji dzieci – ja w Warszawie, on w Braniewie – dwa zupełnie inne światy. Zwłaszcza w obszarze wychowania do życia w rodzinie.

Poza historią wyklada pan również ten przedmiot. Wydaje mi się trudny.

– Bardzo trudny, zwłaszcza że często lekcja zaczyna się chichotem i sprowadzaniem tego przedmiotu do sensacji. Zrozumienie zazwyczaj przychodzi później, ale i radość, bo na lekcjach można poruszać wiele ważnych problemów natury społecznej, obywatelskiej, związanych z rozwojem i dojrzewaniem. Jest poza tym czas i przestrzeń na ważne rozmowy i odpowiedzi na pytania młodych ludzi.

Wystarczy podziałów i nadszedł czas, byśmy zaczęli siebie nawzajem wspierać. Szczególnie teraz, w trudnych czasach, kiedy zawód nauczyciela jest naprawdę niedofinansowany i coraz mniej poważany, z różnych powodów. Kwestia finansowa jest tu oczywiście najważniejsza, jednak szacunek dla roli, jaką odgrywa nauczyciel w życiu młodych pokoleń, uznanie – są nie mniej istotne. Ważne jest na przykład, że musimy pracować w różnych miejscach, biegać po różnych szkołach, by jakoś związać koniec z końcem. Pracuję w kilku miejscach, bo poza szkołą także w poradni dla rodziców dzieci z autyzmem i realizuję inne zadania. I mam „Dreptaki”, Towarzystwo Przyjaciół Warszawy, pismo „Śrubowkręt”, ZHP, Stowarzyszenie Gwara Warszawska i parę innych rzeczy. To powoduje, że czasem można się potknąć, można czegoś nie dostrzec, że dom lub praca mogą gdzieś zostać zaniedbane, a oczekiwania społeczne wobec nauczycieli rosną. Uczniowie mają

nie chcieć być jak pan Radek, bo ja już jestem za duży, za stary, za długo siedzę w edukacji. Przestrzeń i różnica między nami są zbyt duże, żeby ktoś mógł powiedzieć: „Będę jak pan Radek”, choć zdarzają się takie zdania u starszych wychowanków. Dlatego ważne jest, by w szkole pojawili się ludzie młodzi.

Pamiętam też jedną z historii z życia prof. Juliana Eugeniusza Kulskiego, który opowiadał o swoich przeżyciach z czerwca 1939 r. – jak został z kolegami przez dyrektora szkoły niezwykle nisko oceniony jako patriota, uczeń i młody człowiek. Dwa miesiące później wybuchła wojna i ci wszyscy ofukani młodzi ludzie wstąpili do Szarych Szeregów, Armii Krajowej i walczyli o Polskę. Nie wiemy, do czego są zdolni młodzi ludzie. Na pewno potrafią wiele, udowodnią nam to ostatnie wybory.

Nie powiedziałbym, że ta młodość, o którą pani pyta, jest pokoleniem straconym. Jest po prostu innym pokoleniem, któremu brakuje

By pamiętać i zapamiętywać, musimy mieć czas na odpoczynek i „niemyślenie”.

prawa, rodzice mają prawa, prawa nauczycieli często zaś są traktowane jako fanaberie tych, którzy mają wakacje, ferie i tylko kilkanaście godzin przy tablicy. Ale zamienić się nikt nie chce.

Obserwuje pan dzieci od 25 lat. Pana pierwsi uczniowie sami mogą mieć już pełnoletnie dzieci. Wiele osób uważa, że obecne pokolenie jest stracone dla społeczeństwa.

– Mam nadzieję, że nie jest stracone. Myślę, że nie do końca ich rozumiemy. Na przykład spotykam się z tym, że ktoś mnie pyta, czy ja jeszcze powinienem pracować. W systemie harcerskim jest tak, że kiedy dzieci przychodzą do drużyny czy gromady, to mają drużynowego i ten drużynowy jest dla nich mistrzem. I to mistrzem, którego poziomu mogą dotknąć. Ten mistrz jest jeszcze namacalny, on jest na tyle nieodległy, a jednocześnie na tyle wyjątkowy, że każdy chce być jak drużynowy. A dziś dzieci już mogą

bardzo wielu rzeczy, które my, dorośli, możemy mu dać, tylko bardzo często brakuje nam na to czasu albo uważności. Być może nawet zrozumienia, z czego to wynika.

Czego potrzeba dzieciom?

– Naszej dorosłej uważności, mądrości, czasu, kiedy będą mogły być wysłuchane. Potrzeba ciągłego dialogu. A jednocześnie pokazania im, że to, co nas otacza, właściwie nie zmieniło się od lat, że mimo tego, że oni dzisiaj mają smartfony, a my ich nie mieliśmy – potrzeby, oczekiwania, nawet marzenia są podobne. To wszystko wymaga stworzenia przestrzeni uważności, spokojności, takiej przestrzeni, w której wszystkie te dzieci będą mogły pokazać i dać z siebie to, co jest w nich najlepsze. Jak w Dolinie Muminków, gdzie każdy znajduje swoje miejsce rozwoju osobistego, doświadczeń społecznych, szczęścia.

Ewa Borecka-Smolińska
e.borecka@tygodnikprzeglad.pl

Odbudować prestiż urzędu

Adwokatka Monika Horna-Cieślak jest kandydatką koalicji na rzecznika praw dziecka

Anna Stachowiak

„Wiedza, przygotowanie zawodowe i kilkunastoletnie doświadczenie wsparte rekomendacjami organizacji pozarządowych dają gwarancje, że to najlepszy wybór”, napisał o wspólnej kandydatce Koalicji Obywatelskiej, Trzeciej Drogi i Lewicy szef klubu KO Borys Budka. Choć od dawna mówiło się o potrzebie zmiany rzecznika praw dziecka, którym – mimo wniosków o odwołanie – pozostaje Mikołaj Pawlak, kilka poważnych kandydatur pojawiło się dopiero niedawno. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia wystosował pismo dotyczące konieczności obsadzenia urzędu RPD: „W związku z upływem w dniu 14 grudnia 2023 r. kadencji Rzecznika Praw Dziecka Pana Mikołaja Pawlaka oraz w związku ze zmianą kadencji Sejmu wyznaczyłem termin na składanie wniosków w sprawie kandydatur na Rzecznika Praw Dziecka”.

Początkowo najmocniejsza wydawała się kandydatura Konrada Ciesiołkiewicza, prezesa Fundacji



mecenas otrzymała rekomendację z ramienia koalicji większościowej. Wspólna kandydatka to gwarancja szybkiego wyboru RPD, z czego się bardzo cieszę. Serdecznie gratuluję Pani Mecenas! Deklaruję pełne wsparcie!”, napisał na swoim profilu na platformie X.

Milczący Pawlak

Monika Horna-Cieślak cieszy się też poparciem wielu organizacji

Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica, chciała wystawić jedną osobę, by nie powtórzyła się sytuacja sprzed pięciu lat, kiedy trudno było wybrać kandydata mogącego zastąpić Marka Michalaka, który pełnił funkcję w latach 2008-2018. Ostatecznie jego następcą został Mikołaj Pawlak, który z urzędem pożegnał się 14 grudnia.

Opozycja już wcześniej chciała odwołania go, zarzucając mu bierność i niekompetencję, wstawił się bowiem głównie kontrowersyjnymi poglądami i wypowiedziami oraz właśnie bezczynnością i milczeniem. Nie reagował na głośne sprawy związane z przemocą wobec dzieci, nie zabrał głosu w sprawie tragicznej śmierci syna posłanki PO, długo również milczał po śmierci Kamila z Częstochowy, zakatowanego przez ojczyma. Głośnym echem odbiły się jego wypowiedzi dotyczące kłopotów, których rzecznik nie uważał za przemoc, oraz na temat osób LGBT, w tym dzieci.

Niedawno katolicki tygodnik „Niedziela” opublikował jego tekst, w którym Pawlak lamentuje, że w szkołach „wiatr historii zaczął wywiewać prawdziwych ratowników

Monika Horna-Cieślak została w tym roku uznana za jedną z najlepszych prawniczek w Polsce przez magazyn „Forbes”.

Orange, współzałożyciela Komitetu Dialogu Społecznego Krajowej Izby Gospodarczej i byłego rzecznika rządu Kazimierza Marcinkiewicza. Jednak kiedy to Monika Horna-Cieślak została wspólną kandydatką koalicji, natychmiast potwierdził on pełne poparcie dla niej i gotowość do współpracy. „Pani Mecenas Horna-Cieślak jest bardzo dobrze przygotowana do pełnienia urzędu Rzeczniczki Praw Dziecka. Właśnie dotarła do mnie wiadomość, że Pani

pozarządowych oraz Naczelnej Rady Adwokackiej. Ma 33 lata, z dziećmi pracuje, od kiedy była nastolatką. Magazyn „Forbes” uznał ją w tym roku za jedną z najlepszych prawniczek w Polsce. Jak pisze tygodnik „Polityka”, „na spotkania z dziennikarzami przychodzi otoczona dziećmi i młodzieżą”.

Rzadko się zdarza, by panowała taka zgodność co do kandydata/kandydatki. Tym razem cała sejmowa większość, a więc Koalicja

PRZEGLĄD na XXXI Targach Książki Historycznej

Od 30 listopada do 3 grudnia 2023 r., stoisko nr 36
Arkady Kubickiego Zamku Królewskiego w Warszawie

**Zapraszamy po dedykacje
i książki w promocyjnych cenach!**

SPOTKAJ SIĘ Z NASZYMİ AUTORAMI:

czwartek, 30 listopada

- godz. 16.00-17.00 – Paweł Dybicz, pakiet „Zakłamana historia powstania”

piątek, 1 grudnia

- godz. 16.00-17.00 – Tomasz Turowski, „Wzrok Cerbera” **PREMIERA!**

sobota, 2 grudnia

- godz. 12.00-13.00 – Robert Walenciak, „Gambit Jaruzelskiego”, „Modzelewski. Buntownik”
- godz. 13.00-14.00 – Andrzej Werblan, „Prawda i realizm” **PREMIERA!**
- godz. 16.00-17.00 – Piotr Ciszewski, „Robotnicza Warszawa 1918-1939”

niedziela, 3 grudnia

- godz. 13.00-14.00 – Tomasz Turowski, pakiet „Zabij pożyczonym mieczem”
- godz. 14.00-15.30 – Bohdan Piętka, „Polska – Ukraina. Polityki historyczne” **PREMIERA!**

Bądź z nami! Wstęp na targi jest bezpłatny



Nowe książki PRZEGLĄDU już w sprzedaży!



38 zł



78 zł



50 zł



Zamów na sklep.tygodnikprzeгляд.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

► i pozwala ich miejsce zajmować pseudotęczowym przebiegającym. „Gdy nad szkolnymi tablicami zamiast krzyży powszechnie zadomowia się pseudotęczowe kolorowe szmaty, a w niektórych dzielnicach miast – półksiężycy, będziemy żyć w świecie, w którym będą rządzić pokolenia wychowane bez wartości i zasad, nieznające granic i nieumiejące walczyć ze złem”, brzmi kolejny fragment tekstu. Otwarcie homoseksualny i transfobiczny, zamknięty na dialog, skupiony na ochronie „życia nienarodzonego”, nie zaś na ochronie dzieci. Ze sprawozdania Fundacji GrowSpace zajmującej się prawami człowieka wynika z kolei, że rzecznik Mikołaj Pawlak miał wydać ponad pół miliona złotych na samochody. Z tego powodu, zarzucając Pawlakowi niegospodarność, fundacja chce, by sprawę zbadała Najwyższa Izba Kontroli.

Orka na ugorze

To dlatego w rozmowie w TOK FM Marek Michałak mówił, że przed osobą, która obejmie ten urząd, stoją nie lada wyzwania: „To będzie praca na zgłiszczach. Trzeba odbudować prestiż tego urzędu. Rzecznik musi wreszcie stanąć po stronie dzieci i musi zająć się setkami problemów. Proszę zobaczyć, jak wygląda edukacja i zdrowie psychiczne dzieci, które jest na najgorszym poziomie od dekad. Bardzo dużo jest do zrobienia i to będzie orka na ugorze”. I dodawał, że „dzieci potrzebują wreszcie dobrego rzecznika”. Podkreślił, że przez ostatnie pięć lat ten urząd był „praktycznie nieobsadzony”, a dzieci „nie miały od RPD żadnego wsparcia i wreszcie możemy powiedzieć: dość!”.

Warto podkreślić, że przed kadencją Mikołaja Pawlaka urząd RPD znajdował się na drugim miejscu w rankingu zaufania publicznego, obecnie zaś nie jest w nim w ogóle ujęty. „A przecież to jedna z najważniejszych instytucji w naszym kraju. Obejmuje opieką jedną trzecią polskich obywateli, i to tych,

którzy, jeśli cierpią, to najczęściej w czterech ścianach domu. Nie mają wpływu na wybór władz, nie mogą bezpośrednio reprezentować siebie i potrzebują absolutnie wsparcia”, mówił Marek Michałak w TOK FM.

Monika Horna-Cieślak, która działaniem na rzecz dzieci zaczęła się zajmować jako 19-latką podczas wolontariatu w Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę (dawniej Fundacja Dzieci Niczyje), ma poparcie m.in. Fundacji Autism Team, Nastoletniego Azylu, Przyszłości dla Młodych, a także Polskiego Towarzystwa Prawa Antydyskryminacyjnego. Zmianę, tak potrzebną, można wyczuć już w jej zapowiedziach.

„Chciałabym, żeby urząd Rzecznika Praw Dziecka miał charakter otwarty, a w debacie uczestniczyły osoby młode”, mówiła w rozmowie z Onetem. Dodawała, że nie wyobraża sobie, by działania RPD odbywały się bez uczestnictwa dzieci i młodzieży. W 2017 r. zaczęła prowadzić kancelarię zajmującą się obroną dzieci, które doznały krzywdy. Jest jedną z autorek „ustawy Kamilka”, która zwiększa standardy ochrony dzieci przed przemocą, wprowadzając m.in. formularze interwencyjne oraz tzw. *serious case*

który dba o ich prawa, ale także, by odzyskały głos. W rozmowie z Katolicką Agencją Informacyjną podkreślała, jak ogromne znaczenie ma społeczne nastawienie do przemocy wobec dzieci: „Musimy dokładać starań, by w miejsce częstego dziś »nie wtrącam się, to nie moja sprawa«, pojawił się odruch »muszę zareagować«”.

To poważny problem, bo z badań wynika, że choć 60% Polek i Polaków zetknęło się z przemocą wobec dzieci, większość nie reaguje, uważając, że to nie ich sprawa. Aż 43% nie wie, że bicie dzieci jest zakazane prawnie. W sondażu przeprowadzonym w ramach kampanii „Reaguj na przemoc wobec dzieci” 31% dorosłych zadeklarowało, że istnieją według nich sytuacje, w których bicie jest usprawiedliwione, a 6% jest za karami fizycznymi.

Trzeci kandydat na stanowisko RPO, pedagog prof. Marek Konopczyński, który również cieszył się poparciem wielu organizacji pozarządowych, także mówił o priorytetach nowego rzecznika, odwołując się do ustawy o resocjalizacji nieletnich. „Ona jest fatalna w skutkach i robi wielką krzywdę dzieciom.

Przed kadencją Mikołaja Pawlaka urząd RPD był na drugim miejscu w rankingu zaufania publicznego, obecnie nie jest w nim w ogóle ujęty.

review (analizę poważnych przypadków – przyp. red.), o co organizacje zajmujące się ochroną praw dzieci zabiegały od lat. Była Prawnikiem Pro Bono roku 2019. Jeśli Sejm zatwierdzi ją na stanowisko, będzie pierwszą kobietą pełniącą tę funkcję. „Usłyszałam od polityków, że głos kobiet był w wyborach decydujący, a teraz będzie ważny. I że kobiety mają decydować. Potraktowałam to serio”, tłumaczyła w rozmowie z serwisem OKO.press.

Rzecznik nie dla fundamentalistów

Ważne jest dla niej, by dzieci nie tylko miały swojego reprezentanta,

Bo teraz już 10-latków można zamknąć w placówkach i zakładać im kajdanki. Na pewno trzeba też natychmiast zająć się zdrowiem psychicznym dzieci i wziąć pod opiekę osoby LGBT. (...) Młodzi ludzie to wielki skarb Polski, nie można go zmarnować”.

Z kolei poseł Lewicy Krzysztof Śmiszek tak w Radiu Zet podsumował przyszłą misję RPD: „Rzecznik ma reprezentować dzieci, a nie fundamentalistów. Piętnowanie LGBT, milczenie w sprawie pedofilii, pochwalanie kar cielesnych – to dorobek PiS w tej instytucji”. Pora na zmianę.

Anna Stachowiak

Lajki w prokuraturze

Za szerzenie nienawiści odpowiadali zazwyczaj żule spod budki z piwem, kibole i chuligani. Teraz odpowie polityczna elita

Andrzej Sikorski

Decyzja Parlamentu Europejskiego o uchyleniu immunitetów Beacie Kempie, Beacie Mazurek, Tomaszowi Porębie i Patrykowi Jakiemu wywołała histerię w szeregach Prawa i Sprawiedliwości oraz Suwerennej Polski, a także w sprzyjających im mediach.

Święte oburzenie pisowców

„To jest po prostu skandal. To też pokazuje, jaki będzie zakres wolności w Europie, którą niektórzy próbują budować. Za lajkowanie wpisu można będzie stawać przed sądem”, powiedział Jarosław Kaczyński w rozmowie z PAP.

O więzieniu grożącym za niewinne lajkowanie i cytowanie tweetu mówił również minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, a była premier Beata Szydło przekonywała, że zgoda na pociągnięcie do odpowiedzialności karnej polskich europosłów to zemsta lewackiej większości w zgniłym europarlamencie, bo nawet sprawozdawca rozpatrujący wniosek o uchylenie immunitetów, „ekspert prawa międzynarodowego”, Francuz Gilles Lebreton, był temu przeciwny. Szydło zapomniała jednak dodać, że Lebreton to prominentny polityk szowinistycznego Frontu Narodowego i doradca sojuszniczki PiS Marine Le Pen, która jest przeciwna imigracji i której marzy się sojusz państw narodowych (czyli rządzonych przez skrajną nacjonalistyczną prawicę) w Europie i putinowskiej Rosji, wspólnie broniących wartości chrześcijańskich.

Dostało się także Rafałowi Gawłowi, założycielowi Ośrodka Monitorowania Zachowań Rasistowskich i Ksenofobicznych, który wyręczył prokuraturę (robiła wszystko, aby nie zająć się sprawą) i z pomocą profesjonalnej kancelarii prawnej przygotował i złożył akt oskarżenia przeciwko politykom PiS (oprócz europosłów są nim objęci m.in. Krystyna Pawłowicz, Joanna Lichocka, Piotr Gliński, Mariusz Błaszczak, Paweł Szefernaker). Gawł został skazany za nadużycia finansowe, ale uciekł do Norwegii, gdzie otrzymał azyl, a tamtejsze władze uznały, że w Polsce był prześladowany ze względów politycznych. Propisowski portal wPolityce.pl postawił śmiałą tezę, że „utrata immunitetów przez polskich posłów PiS to znak, że świat przestępczy, ubrany w progresywne i modne piórka, oraz zblatowana z nim »kasta« sędziowska mogą sobie kreować polską rzeczywistość”, a „do tego sojuszu dołączyła większość w Parlamencie Europejskim (...), w której aż roi się od potencjalnych przestępców”.



Aktem oskarżenia zostali objęci m.in. europosłowie: Beata Kempa, Beata Mazurek, Patryk Jaki i Tomasz Poręba.



W spocie przygotowanym przez PiS straszono, że po zwycięstwie PO islamscy uchodźcy będą masowo osiedlać się nad Wisłą, by mordować, gwałcić i rabować Polaków.

► Hejterski spot wyborczy

Zaklinanie rzeczywistości niewiele jednak pomoże skompromitowanym politykom w zderzeniu z faktami na sali sądowej. A fakty są takie, że w trakcie kampanii samorządowej w 2018 r. partia rządząca przygotowała obrzydliwy spot przypominający nazistowskie filmy propagandowe. W pisowskiej wersji zamiast na Żydów szczuto na islamskich uchodźców, którzy po zwycięstwie Platformy Obywatelskiej mieli masowo osiedlać się nad Wisłą, by mordować, gwałcić i rabować Polaków.

Tymczasem zgodnie z art. 256 Kodeksu karnego „kto publicznie (...) nawołuje do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych, rasowych, wyznaniowych albo ze względu na bezwyznaniowość, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do lat dwóch”. Tej samej karze podlega ten, kto rozpowszechnia, przechowuje i posiada nagrania nawołujące do nienawiści. A robili to Jaki, Kempa, Mazurek, Poręba, Gliński, Błaszczak, Lichočka, Pawłowicz i Szefernaker.

Według opinii biegłego językoznawcy „użyte w spocie wyborczym Prawa i Sprawiedliwości pt. »Bezpieczny samorząd« sformułowania i obrazy przy uwzględnieniu kontekstu wyborczego mogą stanowić

nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych, etnicznych i zwłaszcza religijnych – dokładniej: jest to nawoływanie do nienawiści do muzułmańskich uchodźców, migrantów/imigrantów, zwłaszcza na tle religijnym”.

Partijni propagandiści

Nienawistny spot zrealizowała propisowska reżyserka Ewa Świecińska (nakręciła m.in. propagandowy film „Puc” o protestach w Sejmie i przed Sejmem z grudnia 2016 r., ukazywanych jako próba siłowego przejęcia władzy przez opozycję). Nad pracą Świecińskiej czuwali PR-owcy ówczesnej premier Beaty Szydło – Anna Plakwicz, była dyrektorka Departamentu Obsługi Medialnej Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, i Piotr Matczuk, były dyrektor Centrum Informacyjnego Rządu. Plakwicz i Matczuk jako urzędnicy założyli spółkę Solvere, która obsługiwała Polską Fundację Narodową, i przygotowali na jej zlecenie kampanię szkalującą sędziów, za co zainkasowali ponad 1,2 mln zł.

Propozycja scenariusza, a następnie sam spot były prezentowane na posiedzeniach sztabu wyborczego PiS, którego sekretarzem był Paweł Szrot, wówczas zastępca szefa KPRM, a później prezydencki minister. Po zaakceptowaniu filmowej gadzinówki przez władze partii

została ona przekazana do TVP i zaprezentowana na konferencji przez Tomasza Porębę, a potem opublikowana w mediach społecznościowych i na stronie PiS.

Zapowiada się więc bezprecedensowy i arcyciekawy proces, jakiego jeszcze w Polsce nie było. Za szerzenie nienawiści odpowiadali zazwyczaj żule spod budki z piwem, kibole i chuligani, ale nie elita polityczna.

Na sygnał Kaczyńskiego

Sprawa ma jednak szerszy kontekst. Formacja Jarosława Kaczyńskiego wpisała bowiem szczucie na uchodźców do swojego programu politycznego. Wszystko zaczęło się w 2015 r., gdy prezes PiS dał sygnał do boju, wygłaszając płomienne przemówienie w Sejmie. Insynuując w typowy dla siebie sposób, straszył, co czeka Polskę po przyjęciu ok. 8 tys. uchodźców z ogarniętej wojną Syrii. Było więc o islamskim terrorze wymierzonym w katolików, o wydzielonych w miastach strefach, gdzie obowiązuje szariat, o kościołach zamienionych w przytuliska i toalety. „Czy chcecie państwo, (...) żebyśmy przestali być gospodarzami we własnym kraju? Czy tego chcecie?”, mówił.

W wielu miastach zorganizowano marsze przeciwko imigrantom, na których brylowali politycy partii rządzącej i skandowano szowinistyczne hasła: „Polska dla Polaków, Polacy dla Polski”, „Stop islamizacji Polski”, „Jeden naród – jedna ojczyzna”, „Chwała Sobieskiemu”.

Państwowe przyzwolenie na nienawiść padło na podatny grunt. Powszechne stały się ataki na obcokrajowców. Wystarczyło, że ktoś miał ciemniejszy kolor skóry, by nie mógł czuć się bezpiecznie. Nie było dnia, aby media nie informowały o rasistowskich napaściach.

Przyzwolenie na agresję

Z listu do prezydenta Andrzeja Dudy: „Szanowny Panie Prezydencie! Jesteśmy żonami Hindusów i jednocześnie reprezentujemy ponad 300 żon i mężów Hindusów,

a także wiele innych polskich rodzin, które mają korzenie w innych kulturach. (...) Wielu obcokrajowców, którzy założyli w Polsce rodziny i mieszkają tu od lat, przyjęło polskie obywatelstwo. W naszym i ich imieniu zwracamy się do Pana z prośbą o pomoc. Nasi mężowie, żony, partnerzy i partnerki, zawsze dotychczas szanowani, ciężko pracujący, płacący podatki i traktujący Polskę jak swoją drugą ojczyznę, stali się ostatnio przez wielu Polaków szykanowani na ulicach i w pracy. My, polscy obywatele i obywatelki, nie czujemy się już bezpiecznie w naszym kraju i w rodzinnych miastach. (...) Atmosfera nagonki i zastraszania osób wyglądających na obcokrajowców zaczęła się od dyskusji na temat przyjmowania uchodźców z Syrii. (...) Szanowny Panie Prezydencie! Obejmując urząd, obiecał Pan być prezydentem wszystkich Polaków. Prosimy więc o interwencję w naszym imieniu i uświadomienie naszym rodakom, że ludzie dzielą się tylko na dobrych i złych, oraz to, że nie ma lepszych i gorszych ras, narodowości i religii. Apelujemy, by jako Głowa Państwa zdecydowanie i ostro potępił Pan jakże krzywdzący język nienawiści (...). Prosimy, by jako strażnik Konstytucji RP podkreślił Pan publicznie, wspierając się autorytetem swojego urzędu, że wszyscy są równi i nikt nie powinien być dyskryminowany ze względu na swój kolor skóry, wyznanie i pochodzenie”.

Andrzej Duda zbyt milczeniem dramatyczny apel, a jego urzędnicy nie odpowiedzieli na moje pytanie, czy prezydent potępia ataki na tle narodowościowym, do których dochodzi w Polsce, i czy zajmie w tej sprawie oficjalne stanowisko.

Napaści na cudzoziemców bagatelizowali też minister spraw wewnętrznych i administracji Mariusz Błaszczak oraz komendant główny policji Jarosław Szymczyk, którzy o przestępstwach z nienawiści mówili jednym głosem, że stanowią „niepełna promil”. A gdy w Krasnymstawie pobito Egipcjanina, ówczesny wojewoda lubelski Przemysław Czarnek przekonywał, że nie doszło do ataku na tle rasistowskim, ale do „zwykłego bandyckiego czynu”, choć

agresor wykrzykiwał w stronę ofiary, że jest „brudasem”, „ciapatym”, a „Polska jest dla Polaków”.

W wystąpieniu skierowanym do ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar, analizując przestępstwa z nienawiści i działania organów ścigania, wyraził wątpliwość, czy uchodźcy, wyznawcy islamu, przedstawiciele mniejszości narodowych i etnicznych są w należyty sposób chronieni przez państwo. Policja i prokuratura pod rządami PiS nie chciały bowiem zajmować

się przestępstwami motywowanymi nienawiścią. Zdaniem RPO „umarzając postępowania lub odmawiając ich wszczęcia, ewentualnie prowadząc postępowania w sposób długotrwały, (...) organy ścigania przyczyniają się do tworzenia wizji społeczeństwa, w której negatywne zachowania, takie jak propagowanie faszyzmu lub ideologii rasistowskiej czy szerzenie nienawiści opartej na uprzedzeniach, uznawane są za akceptowalne”. Ziobro nie raczył nawet odpowiedzieć.

Andrzej Sikorski



ZAPRASZAMY NA SPOTKANIA Z AUTORAMI

XXXI Targi Książki Historycznej
Zamek Królewski w Warszawie – Muzeum
Arkady Kubickiego – wejście tylko od ul. Grodzkiej

TARGI KSIĄŻKI HISTORYCZNEJ

STANCJA IV

 PIĄTEK 1 GRUDNIA 16.00-17.00 Marek Węcowski <i>Tu jest Grecka! Antyka na nasze czasy</i>	 SOBOTA 2 GRUDNIA 12.00-13.00 Mariusz Urbanek <i>Marian Eile. Pocziwy cynik z „Przekroju”</i>
 NIEDZIELA 3 GRUDNIA 12.00-13.00 Lechosław Herz <i>Puszcza. Opowieści kampsoskie</i>	 NIEDZIELA 3 GRUDNIA 13.00-14.00 Benjamin Czapla <i>Antoni Patek. Zegarmistrz królów. Śladami życia</i>



Książki dostępne w dobrych księgarniach
i na www.iskry.com.pl

Czy Donald Tusk zapłacze nad wdowami?

Renta wdowia – to będzie jeden z ważniejszych testów dla nowego rządu

Maciej Mikołajczyk

Co roku umiera 450 tys. Polek i Polaków. Przeszło 80% w wieku ponad 60 lat. Śmierć zatem zbiera wśród emerytów i osób w wieku przedemerytalnym obfite żniwo. Zostają po nich pamiętki, niekiedy kredyty i niezapłacone rachunki oraz pogrążeni w smutku wdowy lub wdowcy. To najbardziej spauperyzowana warstwa społeczna, czego dowodzi choćby obserwacja potoczna. Funkcjonowanie jednoosobowych gospodarstw domowych seniorów zwykle bowiem opiera się wyłącznie na dochodzie z emerytury. Przeciętna wysokość świadczenia to 3,3 tys. zł. Ale – uwaga! – średnia emerytura mężczyzn wynosi 4,1 tys. zł, a kobiet tylko 2,8 tys. zł (wartości brutto). Zgon mężczyzny jest zatem boleśniejszy, bo domowy budżet zostaje silnie uszczuplony. W połączeniu z faktem, że panowie umierają młodziej niż panie, oznacza to, że seniorki zmuszonych utrzymywać się w pojedynkę jest więcej, a ich sytuacja finansowa wygląda gorzej.

Wszystko dlatego, że przepisy nie pozwalają na dziedziczenie składek zagregowanych na zusowskich kontach.

Zostają miliardy

Wysłałem do ZUS pytanie: „Czy w przypadku śmierci osoby ubezpieczonej środki zgromadzone przez nią na koncie emerytalnym zasilają jakiś odrębny fundusz? Co się dzieje



11 kwietnia 2023 r. posłowie Lewicy złożyli w Sejmie ponad 200 tys. podpisów pod obywatelskim projektem ustawy o rencie wdowiej.

z tymi środkami?”. Nie dostałem odpowiedzi. Próžno też szukać informacji na ten temat w corocznych sprawozdaniach przedstawianych przez ZUS. Zakład nie chwali się także, ile zyskuje na śmierci świadczeniobiorców. Postanowiłem go wyręczyć.

Jeśli skromnie założymy, że rocznie umiera 300 tys. osób w wieku poprodukcyjnym i każda w momencie śmierci miała na zusowskim koncie 300 tys. zł, to na niezrealizowaniu wypłat należnego im świadczenia i dzięki brakowi uprawnień do dziedziczenia zakład zyskuje 90 mld zł. To ponad dwa razy więcej niż roczne

wydatki budżetu państwa na 500+. Taka góra pieniędzy, zamiast trafić do klepiących biedę wdów i wdowców – jest ich 1,5 mln – w najlepszym razie ląduje w kieszeni obcych świadczeniobiorców, a w najgorszym przeznaczana jest na wznoszenie okazałych siedzib i oliwienie machiny biurokratycznej.

Państwo okrada najsłabszych

Niemożliwość dziedziczenia wywołuje więc silne emocje społeczne. Oto reprezentatywne głosy z forów internetowych poświęconych tematyce zusowskiej:

„Mąż zmarł po przepracowaniu 44 lat. Co się stało z jego składkami? W Polsce tylko długi po zmarłych są dziedziczone. Żadne inne państwo tak nie okrada najstarszych jak nasze”.

„Mam 2200 zł emerytury i bardzo ciężko mi za to żyć. Mąż pracował całe życie, zmarł, jak miał 71 lat. Gdzie są Jego składki? Czy rządzący utrzymaliby się za moją emeryturę? Dzisiaj czekam z utęsknieniem na przelew, bo nie mam nawet na jedzenie”.

„Skazujecie starych ludzi na życie w nędzy, a oni muszą sami utrzymywać mieszkania kosztem głodowania i niewykupywania lekarstw. Większość emerytów jest chora, więc nie może dorobić do tych nędznych emerytur, a ZUS kradnie emerytury po zmarłych współmałżonkach. Czy wy macie sumienie?”.

Gwoli ścisłości, ZUS wypłaca wdowom i wdowcom renty rodzinne, ale po spełnieniu rygorystycznych warunków, poważnie ograniczających dostęp do świadczeń. Najważniejsze: zmarły musi mieć ustalone prawo do emerytury (25% mężczyźni nie dożywa wieku emerytalnego!) i trzeba dokonać wyboru – albo decydujemy się na świadczenie po mężu lub żonie (w wysokości

błyskawicznie ze względu na pandemię COVID-19. Rekordową liczbę zgonów zanotowano w 2021 r. – ponad 500 tys., przy czym aż 70% zmarłych miało ponad 65 lat. Lecz udająca troskę o najstarszych Zjednoczona Prawica nie kiwnęła palcem, by los samotnych seniorów uczynić lepszym. Przeciwnie.

W kwietniu br. 30 organizacji zainicjowało zbieranie podpisów pod

o „pilne przeprowadzenie pierwszego czytania projektu ustawy o emeryturach stażowych”.

Co zrobi nowa koalicja?

Podczas kampanii wyborczej o rencie wdowiej wspominała Lewica, odwołując się do projektu obywatelskiego wysłanego przez Sejm do komisji. Wprowadzenie renty

Pod obywatelskim projektem ustawy w sprawie ustanowienia renty wdowiej zebrano 200 tys. podpisów. Pisowska sejmowa większość przekazała go do komisji.

obywatelskim projektem ustawy w sprawie ustanowienia renty wdowiej. Przewidywał on, że mąż lub żona może zachować swoją emeryturę, a do tego uzyskać dodatek w wysokości 50% świadczenia zmarłego małżonka albo wybrać świadczenie po małżonku i dodać do tego połowę swojej emerytury. Szybko udało się zebrać 200 tys. podpisów, projekt wpłynął do Sejmu, ale pisowska sejmowa większość zdecydowała o przekazaniu go do Komisji Polityki Społecznej i Rodziny, czyli potraktowała wolę obywateli z właściwym sobie szacunkiem.

wdowiej zapowiedziała także Koalicja Obywatelska (możliwość korzystania z dwóch świadczeń: swojego i po zmarłym w wysokości 25% jego emerytury).

Zapytałem, czy ugrupowania te zamierzają wywiązać się z obietnic.

– Nasz program pozostaje aktualny. Jeśli chodzi o działania rządu w tej kwestii, to niebawem wypowiedzą się ministrowie – stwierdził Jan Grabiec, rzecznik PO. Potwierdził też, że aktualne pozostaje zobowiązanie zwiększenia kwoty wolnej od podatku do 60 tys. zł; efekt: wpływy do budżetu zmaleją, a jednocześnie wzrosną wydatki – w wersji forsowanej przez Lewicę renta wdowia będzie kosztować 14 mld rocznie.

Stanowisko Lewicy:

– Renta wdowia pozwoli na to, że owdowiali se-

niorzy nie będą musieli wybierać pomiędzy zakupem leków a zapłaceniem rachunków. Wprowadzenie renty wdowiej oznacza normalne, godne życie na emeryturze po stracie współmałżonka. Podobne rozwiązania już funkcjonują w kilku innych krajach UE: Czechach, Niemczech czy na Litwie i we Włoszech. Z tego świadczenia skorzysta duża grupa Polaków, która dziś najbardziej cierpi z powodu np. inflacji, bo waloryzacja emerytur nie nadąża za galopującą drożyzną i wśród seniorów rośnie liczba osób zagrożonych ubóstwem. Wprowadzenie renty wdowiej, choć częściowo, pomoże zatrzymać to zjawisko. Z tych wszystkich powodów ▶

Według projektu renty wdowiej można zachować swoją emeryturę i otrzymywać 50% świadczenia małżonka albo wybrać świadczenie po zmarłym i dodać do tego połowę swojej emerytury.

85% wypłacanej im kwoty), albo pozostajemy przy swoim. Czyli nawet jeśli senior załapie się na rentę rodzinną, to bez przepadku ciutanych przez dziesięciolecia składek się nie obejdzie. W zniechęconych przez Kaczyńskiego Niemczech można pobierać swoją emeryturę i przysługującą zmarłemu. I to w pełnej wysokości (dopiero po przekroczeniu wyśrubowanego progu dochodowego świadczenie po bliskim wypłacane jest w obniżonej kwocie).

Zamrożona ustawa

W ostatnich latach wdowich gospodarstw domowych przybywa

Nawiasem mówiąc, opiniująca projekt Solidarność uznała, że „opisana w nim konstrukcja renty wdowiej w zbyt znacznym stopniu demontuje założenia obecnego systemu emerytalnego, w którym wysokość świadczenia ma być pochodną wysokości zgromadzonej i zwaloryzowanej składki”. Tak wolnorynkowe podejście trudno pogodzić np. z żądaniem wprowadzenia emerytury stażowej w kwocie gwarantowanej, niezależnej od sumy zebranych składek. Bo gdy Morawiecki wciąż biegał po Sejmie, szukając większości, związek Piotra Dudy zaapelował do Szymona Hołowni, świeżo upieczony marszałek izby niższej,

► renta wdowia znalazła się w umowie koalicyjnej, co uważamy za sukces Lewicy.

W umowie koalicyjnej – zawartej nie tylko przez KO i Lewicę, ale także przez Trzecią Drogę – rzeczywiście jest mowa o świadczeniu dla owdowiałych seniorów, ale nie jest to zapis konkretny. W pkt 20 czytamy bowiem: „Świadczenia społeczne muszą być uzupełnione, zwłaszcza w obszarze systemowego wsparcia rodzin, osób z niepełnosprawnościami, opiekunów osób niesamodzielnych i seniorów. Koalicja widzi potrzebę kompleksowych rozwiązań w zakresie polityki społecznej. Uprościmy system orzecznictwa, uchwalimy ustawę o asystencji dla osób niesamodzielnych. Państwo powinno zapewnić godne warunki życia emerytom i rencistom. Wprowadzimy rozwiązania zwiększające aktywność społeczną osób starszych oraz gwarantujące godne warunki dla seniorów po śmierci współmałżonka”. Cóż, to ogólnikowe deklaracje dotyczące całej polityki społecznej, rencie wdowiej poświęcono raptem pół ostatniego zdania, a ponieważ nie

i na ich podstawie ZUS wylicza wysokość świadczenia emerytów. Średnie dalsze trwanie życia jest wciąż krótsze niż przewidziane w ostatniej przedpandemicznej tablicy GUS, która powstała na podstawie danych o śmiertelności w roku 2019. Spadek dalszego trwania życia nie oznacza jednak oszczędności dla Funduszu Ubezpieczeń Społecznych, jest wręcz odwrotnie. Nasze szacunki wskazują na wzrost wydatków FUS w najbliższych latach. Wynika to z faktu, że z powodu bardziej korzystnego algorytmu dla świadczeniobiorców wzrosną przyszłe emerytury – twierdzi Żebrowski.

Innymi słowy, im więcej emerytów umiera, tym bilans FUS gorszy, bo, owszem, zmniejsza się liczba wypłacanych świadczeń, ale rośnie wysokość emerytur – z uwagi na to, że kwotę zgromadzoną na koncie ubezpieczonego dzielimy na mniejszą liczbę miesięcy. Emeryturę wylicza się bowiem, dzieląc zgromadzony kapitał przez przewidywany czas życia wyrażony w miesiącach. Jeśli zbieramy pół miliona, a przewidziana długość życia wyniesie 200 miesięcy, świadczenie wyniesie

**Przeciętna wysokość emerytury to 3,3 tys. zł.
Ale średnia emerytura mężczyzn wynosi 4,1 tys. zł,
a kobiet tylko 2,8 tys. zł.**

podano żadnych szczegółów, to na razie w tej sprawie wiadomo tyle, że nic nie wiadomo.

Może poza tym, że wszystkie ugrupowania mające tworzyć rząd pragną, aby biedujący Polacy mieli się dobrze. Niebawem się okaże, czy Tusk zapłaci nad wdowami. No i czyje jest i komu służy państwo pod nowym zarządem.

Wróżyć z FUS

Paweł Żebrowski, rzecznik ZUS, utrzymuje, że zgony i wywołana pandemią nadmiarowa śmiertelność ujemnie wpływają na bilans Funduszu Ubezpieczeń Społecznych.

– Epidemia COVID-19 wyraźnie wpłynęła na tablice dalszego trwania życia. Co roku publikuje je GUS

2,5 tys. zł. Jeśli przewidywana długość życia zmaleje o 10 miesięcy, emerytura powiększy się o 130 zł. Tyle że z obliczeń wykonanych przez naukowców z Uniwersytetu Ekonomicznego w Poznaniu wynika, że mimo czasowego wzrostu wysokości świadczeń ZUS na nadmiarowych zgonach skorzysta. „Przedwczesne zgony przełożą się w przyszłości na finanse Funduszu Ubezpieczeń Społecznych. Prognozy wykazały, że do roku 2105 saldo funduszu emerytalnego będzie wyższe o kwotę od 21,59 mld zł do 24,22 mld zł”, czytamy w pracy „Konsekwencje zgonów związanych z pandemią COVID-19 dla finansów Funduszu Ubezpieczeń Społecznych”. Brzmi strasznie.

Maciej Mikołajczyk

Andrzej Sikorski

W nawale zapowiedzi naprawy Polski po ośmioletnich rządach PiS liderzy partii demokratycznych zapomnieli o służbie cywilnej, choć art. 153 ust. 1 Konstytucji RP mówi, że „w celu zapewnienia zawodowego, rzetelnego, bezstronnego i politycznie neutralnego wykonywania zadań państwa w urzędach administracji rządowej działa korpus służby cywilnej”. Widocznie sprawny, profesjonalny i apolityczny aparat urzędniczy, który powinien stanowić trzon administracji

Zmiany wprowadzone przez PiS zdemolowały służbę cywilną.

nowoczesnego państwa, nie jest potrzebny Donaldowi Tuskowi, Włodzimierzowi Czarzastemu, Szymonowi Hołowni i Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi. Po co zatrudniać wykwalifikowanych urzędników, skoro tysiące wyposzczonych działaczy partyjnych, znajomych i krewnych królika rwie się do posad?

Polityczna miotła

Gdy w grudniu 2015 r. rządząca większość zmieniła ustawę o służbie cywilnej, opozycja nie kryła oburzenia. „W ciągu 30 dni od wejścia w życie ustawy ulegnie rozwiązaniu stosunek pracy z najbardziej doświadczonymi urzędnikami służby cywilnej. Czystka będzie dotyczyła nawet kilku tysięcy polskich urzędników, urzędników najbardziej doświadczonych, którzy swoje kompetencje w administracji publicznej zdobywali często przez bardzo wiele lat. Miejsce tych zwalnianych urzędników zajmą osoby, od których nie wymaga się właściwie żadnych kwalifikacji – poza tym (...), że w sposób dyspozycyjny będą realizowały politykę rządu”, mówił w Sejmie poseł Marek Wójcik z Platformy Obywatelskiej.

Rzeczywiście, zmiany wprowadzone przez PiS zdemolowały służbę

Zapomniani urzędnicy

Nowy rząd musi przywrócić należną rangę służbie cywilnej



Dyrektor Wojciech Federczyk w 2020 r. podpisał umowę o współpracy KSAP z Wyższą Szkołą Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu.

cywilną. Nowe przepisy pozwoliły na niemal automatyczne zwolnienie wszystkich urzędników wyższego szczebla, od dyrektorów generalnych po dyrektorów departamentów, ich zastępców i kierowników urzędów. Zlikwidowano otwarty, konkursowy nabór na te stanowiska, co prawnicy uznali za sprzeczne z konstytucją. Przeprowadzenie czystki personalnej nie wystarczyło jednak partii władzy. Aby zaspokoić apetyt działaczy na stołki, zaczęto tworzyć kolejne stanowiska dyrektorskie w Kancelarii Prezesa Rady Ministrów, ministerstwach i urzędach. Obniżono wymagania wobec nowych dyrektorów, którzy

już nie muszą posiadać odpowiedniego stażu pracy na stanowiskach kierowniczych. Wystarczy odpowiednie poparcie polityczne.

Zgodnie z wprowadzonymi przez PiS zmianami szef służby cywilnej może w ogóle nie mieć doświadczenia urzędniczego. Na tym stanowisku premier Beata Szydło ulokowała w marcu 2016 r. Dobrosława Dowiata-Urbańskiego, pracownika KPRM, o którym prasa pisała, że „potrafi oczarować rozmówców celną dobraną anegdotą”, a na studiach był przez kolegów nazywany „Cyborgiem”, gdyż „wyróżniał się zamiłowaniem do

urządzeń elektronicznych”, sprawnie posługując się nowinką techniczną, jaką w połowie lat 90. był telefon komórkowy.

Pod rękę z Rydzykiem

Nawet Krajowa Szkoła Administracji Publicznej, będąca kuźnią profesjonalnych kadr, została upartyjniona. We wrześniu 2016 r. Sejm uchwalił ustawę nadającą KSAP imię Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej Lecha Kaczyńskiego, choć zmarły tragicznie brat prezesa PiS nie miał nic wspólnego z uczelnią. KSAP utworzyła w 1991 r. prof. Maria prof. Marię Gintowt-Jankowicz (która była jej dyrektorką przez 15 lat) przy wsparciu premiera Tadeusza Morawieckiego i jeśli powinna mieć patrona, to szanowaną panią profesor.

Szef służby cywilnej może w ogóle nie mieć doświadczenia urzędniczego.

Dyrektorem KSAP został (powołany przez premier Szydło) Wojciech Federczyk, wcześniej pracownik Biura Trybunału Konstytucyjnego oraz Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji. W 2020 r. Federczyk podpisał umowę o współpracy KSAP z Wyższą Szkołą Kultury Społecznej i Medialnej w Toruniu, zarządzaną przez kościelnego oligarchę Tadeusza Rydzyka. Podpisanie umowy Federczyk uznał za wielki sukces, czym się pochwalił, występując w Radiu Maryja, a ze słuchaczami rozgłosił przywitał się oczywiście: „Szczęść Boże”.

„Dziś profesjonalna służba cywilna już nie istnieje. Nie mamy już niezależnej, neutralnej światopoglądowo szkoły ukierunkowanej na kształcenie państwowych urzędników. Natomiast posługiwanie się Krajową Administracją Publiczną do promowania indoktrynacyjnej działalności uczelni o. Rydzyka to jest skandal do kwadratu i kompletne zaprzeczenie idei towarzyszących kształceniu pracowników administracji publicznej. To jest bardzo niebezpieczne ▶

► i dla jakości administracji publicznej, i dla przyszłości polskiej państwowości”, nie krył oburzenia w rozmowie z „Gazetą Wyborczą” Andrzej Halicki, europoseł PO, minister administracji i cyfryzacji w rządzie premier Ewy Kopacz.

Partnerem KSAP jest też Uniwersytet Nawarry, którego twórcą był założyciel Opus Dei, hiszpański duchowny i święty Kościoła katolickiego Josemaría Escrivá de Balaguer. Dzięki współpracy KSAP z kościelnym uniwersytetem wielu polityków PiS i działaczy partyjnych odbyło

przeciążenie pracą i stałą presję wywieraną przez przełożonych. Według aktualnych danych liczba wakatów wynosi ok. 600 w prawie 270 urzędach w 153 miejscowościach. Sytuacja jest tak dramatyczna, że rekrutacje prowadzi się za pośrednictwem urzędów pracy. Żeby nie doszło do paraliżu, PiS wprowadziło zmiany w ustawie o służbie cywilnej ułatwiające zatrudnianie cudzoziemców. Nie muszą oni już mieć polskiego obywatelstwa, a posiadacze Karty Polaka nie muszą nawet dobrze znać języka polskiego.

Krajowa Szkoła Administracji Publicznej, będąca kuźnią profesjonalnych kadr, została upartyjniona.

kilkumiesięczne kursy w Warszawie, chwając się potem, że są absolwentami prestiżowej szkoły dla menedżerów IESE Business School w Barcelonie (jest ona częścią Uniwersytetu Nawarry).

To, że KSAP podjęła współpracę ze szkołą Rydzyska i uczelnią Opus Dei, jest decyzją polityczną. Nadzór nad działalnością dyrektora Federczyka oprócz premiera sprawuje rada KSAP, w skład której wchodzi głównie członkowie rządu i ludzie wskazani przez premiera, wybierani na pięcioletnie kadencje. Są to m.in. Piotr Müller, Mariusz Kamiński, Przemysław Czarnek, Magdalena Rzeczkowska, Marek Kuchciński, Zbigniew Rau, Andrzej Zybertowicz, Marek Ast, Zdzisław Sipiera czy związany z Kościołem prawnik dr Krzysztof Wąsowski. Nawet gdy powstanie nowy rząd, do 2026 r. większość w radzie będzie miało PiS.

Urzędnik potrzebny od zaraz

Niedawno Najwyższa Izba Kontroli opublikowała raport na temat funkcjonowania służby cywilnej. Przekaz dokumentu jest przynębiający. Nie ma chętnych do pracy, a kandydatów poza upolitycznieniem odstrasza głównie niskie zarobki (szczególnie w terenie i na niższych stanowiskach). Jest to również główna przyczyna odejść. Oprócz tego urzędnicy wskazywali nadmiar obowiązków,

Za to dobrze się powodzi wybranym urzędnikom, pracującym na najwyższych stanowiskach w KPRM, ministerstwach i urzędach centralnych oraz jako „eksperti”. Zarabiają oni nawet po kilkanaście tysięcy złotych, choć nie zawsze mają stosowne kompetencje. Kontrolerzy NIK ujawnili w Ministerstwie Rozwoju i Technologii przypadek trzykrotnego awansu na stanowiska dyrektorskie osoby, która nie miała wyższego wykształcenia. Bywało też, że dyrektorzy nie przedstawiali oświadczeń o niekaralności.

Liczba wakatów w służbie cywilnej wynosi ok. 600 w prawie 270 urzędach w 153 miejscowościach.

W wystąpieniu pokontrolnym NIK zwróciła się do premiera m.in. o „podjęcie działań systemowych wspierających zachowanie zasad profesjonalnego, bezstronnego i politycznie neutralnego wykonywania zadań państwa przez korpus służby cywilnej”, a do szefa służby cywilnej, aby przedstawił Radzie Ministrów „projekt strategii zarządzania zasobami ludzkimi, który zawiera diagnozę służby cywilnej, określenie celów strategicznych, system realizacji oraz ramy finansowe”. O to samo apelują od dawna eksperci Fundacji Batorego, którzy przygotowali rozwiązania mające uzdrowić służbę cywilną.

Do lustracji wystąp

PiS było jednak zajęte ważniejszymi sprawami. Po 33 latach od zmiany ustroju wprowadzono lustrację urzędników. Do złożenia oświadczeń lustracyjnych zostało zmuszonych ok. 40 tys. osób. Pracę stracą ci, którzy oświadczeń nie złożą, oraz urzędnicy, którzy przyznają się do pracy w „organach bezpieczeństwa PRL”.

Przeciwko takiemu traktowaniu zaprotestował rzecznik praw obywatelskich. Zdaniem Marcina Wiącka przepisy ustawy są dyskryminujące i niezgodne z konstytucją. Dezubekizacją zostali objęci m.in. pracownicy dawnych biur paszportowych, urzędnicy obsługujący rejestr PESEL, pracownicy cywilni ministerstw i byli funkcjonariusze służb bezpieczeństwa, którzy po 1990 r. przeszli pozytywną weryfikację. „Niedopuszczalne jest w demokratycznym państwie prawnym przyznanie ustawodawcy prawa do tego, aby tworzył rozwiązania prowadzące do przekreślenia dorobku życiowego i zawodowego tych pracowników, którzy nie naruszyli prawa, do przekreślenia wartości ich pracy już po 1990 r., niezależnie od jej rzeczywistego znaczenia i dotychczasowej oceny pracodawcy. Regulacja wprowadzająca automatyczne rozwiązanie stosunków pracy

wskazanych grup pracowników nie respektuje podstawowych swobód, do których należy prawo do wysłuchania i prawo do obrony, a także prawo do zindywidualizowanej oceny”, stwierdził rzecznik, deklarując pomoc represjonowanym.

Oprócz kija PiS dało urzędnikom marchewkę. Wprowadzono nowe święto, Dzień Służby Cywilnej. Od 2024 r. obchodzone będzie 17 lutego – na cześć uchwalenia w 1922 r. ustawy o państwowej służbie cywilnej. Ustanowiono też „Odznakę Honorową za Zasługi dla Służby Cywilnej”.

Andrzej Sikorski

Z Galicji



Jan Widacki

Gwałt najważniejszy?

Styszę, że lewica chce złożyć (może już złożyła?) projekt nowelizacji Kodeksu karnego. Domaga się zmiany przepisu definiującego zgwałcenie. Przypomnę: wedle obowiązującego prawa zgwałceniem jest doprowadzenie innej osoby do obcowania płciowego przemocą, podstępem, groźbą, ale także wykorzystując w tym celu jej bezradność, trudną sytuację, krytyczne położenie, zależność służbową, brak poczytalności. Projekt zakłada, że zgwałceniem jest każde obcowanie płciowe dokonane bez zgody drugiej osoby. Na gruncie obowiązujących przepisów też chodzi o brak zgody, tyle że ten brak zgody musi być jednoznacznie okazany, jak w przypadku przemocy, lub jednoznacznie wynikający z okoliczności. Podstęp musi być rzeczywisty, groźba realna, podobnie jak bezradność czy niepoczytalność ofiary. Krytyczne położenie czy zależność służbowa oczywista i cynicznie przez sprawcę wykorzystana. W każdym z tych przypadków świadomość braku zgody na obcowanie płciowe musi być dla sprawcy oczywista. Tu, gdzie w grę wchodzi przemoc, stosowanie groźby lub podstęp czy bezradność ofiary lub jej niepoczytalność, ten brak zgody jest dla sprawcy oczywisty. W wypadku trudnej sytuacji, a nawet zależności służbowej, już tak oczywisty być nie musi.

Proponowany przepis de facto odwraca rolę: zgoda na obcowanie płciowe musi być jednoznacznie wyrażona. Złośliwi twierdzą, że para przed pójściem do łóżka powinna najpierw wstąpić do notariusza. Na wszelki wypadek. Nie wiadomo bowiem, czy wystarczy, że zgoda na obcowanie płciowe jest ustna, czy powinna mieć formę pisemną. Notarialna najpewniejsza, ale może wystarczy domniemana? Jak później dowodowo wykazać, czy zgoda była, czy jej nie było? Być może propozycja jest słuszna, może nie, może warto o niej podyskutować, uwzględniając także dowodowo-procesowe konsekwencje.

Ale czy lewica naprawdę uważa, że definicja zgwałcenia to najpoważniejszy problem naszego Kodeksu karnego? Spośród grubo ponad 800 tys. wszystkich przestępstw stwierdzanych każdego roku przestępstw zgwałcenia jest mniej niż 1,5 tys.

Biorąc pod uwagę, że liczba postępowań wszczętych w sprawach o zgwałcenie jest przeszło dwukrotnie wyższa niż liczba ostatecznie stwierdzonych zgwałceń,

można zasadnie twierdzić, że liczba osób fałszywie oskarżonych o gwałt jest porównywalna z liczbą rzeczywistych ofiar zgwałceń. Można się obawiać, że przy zmienionej definicji zgwałcenia wzrośnie nie tylko liczba fałszywie oskarżonych o zgwałcenie, ale również liczba niewinnie skazanych. Jest o czym dyskutować, zanim zmieni się przepis.

A może jest to w takim razie zmiana najpilniejsza? Ostatnia zmiana Kodeksu karnego, która weszła w życie 1 października tego roku, z celów kary wykreśliła resocjalizację! Zmieniono tym samym sens karania. W filozofii prawa karnego cofnęliśmy się o ok. 150 lat! Konsekwencje ogromne! Wprowadzono bezwzględne dożywotnie pozbawienie wolności. Karę okrutną i – co tu dużo mówić – bezsensowną. Skazany pozbawiony cienia szansy na warunkowe przedterminowe zwolnienie, w praktyce i tak udzielane bardzo ostrożnie nie wcześniej niż po odbyciu 25 lat kary, nie ma najmniejszej motywacji do przestrzegania regulaminu więzienia, może też bezkarnie zabić czy

W ostatniej zmianie Kodeksu karnego wprowadzono bezwzględne dożywotnie pozbawienie wolności. Wedle standardów europejskich ta kara jest torturą.

okałeczyć współwięźnia lub funkcjonariusza służby więziennej. Pomijając już fakt, że taka kara to wedle standardów europejskich niedopuszczalna tortura. A jest w tej nowelizacji cała masa jeszcze innych nonsensów.

Kodeks karny trzeba pilnie znowelizować. Trzeba jak najszybciej wycofać się z tej barbarzyńskiej i głupiej, kierowanej cynicznym populizmem penalnym nowelizacji przygotowanej przez Ziobrę i jego pomagierów. Prawie 200 naukowców, w tym kilkudziesięciu profesorów, a także praktyków prawa karnego, apelowało na próżno do prezydenta, aby nie podpisywał tej ustawy nowelizującej Kodeks karny.

To powinien być pierwszy ruch poprawiający prawo karne. A później można spróbować systemowo spojrzeć na kodeks i rozważyć, co w nim poprawić. Może również definicję zgwałcenia. Ale to naprawdę nie jest najpilniejsza sprawa.

Uciekający państwo młodzi

25% wszystkich postanowień stwierdzających nieważność ślubu kościelnego zostało wydanych w Polsce

Bronisław Tumiłowicz

Najmocniejszym komentarzem do raportu „Stwierdzenie nieważności małżeństwa w Kościele w Polsce” może być wypowiedź ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego, który nie znalazł żadnego uzasadnienia faktu, że ktoś po 24 latach małżeństwa i dochowaniu się trójki dzieci dostaje unieważnienie ślubu kościelnego. Chodziło o nowe małżeństwo zawarte w kościele, w sanktuarium Jana Pawła II w Łagiewnikach, przez byłego prezesa TVP Jacka Kurskiego.

O ślubie szefa TVP nie mówimy

Ten przypadek nie był jednak omawiany ani nie znalazł się w przypisach do wspomnianego raportu, sporządzonego przez Instytut Pokolenia powołany w 2022 r. przez premiera Mateusza Morawieckiego. Choć raport milczy o najgłośniejszym efekcie działania sądów biskupich, to dosyć konkretnie pokazuje „dorobek” tych instytucji kościelnej sprawiedliwości w ostatnich latach w naszym kraju. W 2020 r. unieważniono 2813 związków sakramentalnych, o 160% więcej niż w roku 1989. Jesteśmy europejskim liderem, bo 25% wszystkich wyroków stwierdzających nieważność małżeńskiej przysięgi zostało w 2020 r. wydanych właśnie w Polsce. Powody owych „kościelnych rozwodów” kryją się pod niewiele mówiącym sformułowaniem „niezaistnienie zgody małżeńskiej”.

Nie dość, że przodujemy w stwierdzeniach nieważności katolickich małżeństw, to jeszcze obserwujemy stały spadek liczby związków kościelnych. W porównaniu z rokiem 1989 ślubów takich zawarto mniej o ponad 100 tys., czyli o 45%. W ostatnich latach gwałtownie zmniejsza się też

liczba ślubów cywilnych. A za tym idzie spadek liczby urodzeń. Przy czym 26% dzieci rodzi się w związkach nieformalnych.

Choroba przewlekła

Choć szczęście rodzinne wymieniamy jako jedną z najważniejszych wartości, coraz mniej młodych ludzi jest w stanie podać chociaż jeden przykład szczęśliwej rodziny ze swojego otoczenia. Kłopoty, toksyczność związków, awantury domowe rodziców sprawiają, że młode pokolenie traci wiarę w to, że formalny związek będzie udany. Wygasa chęć, a nawet zdolność wiązania się z kimkolwiek „aż do śmierci”. Ks. dr hab. Leszek Adamowicz, wykładowca Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego i od 33 lat sędzia sądu metropolitalnego rozpatrujący wnioski o stwierdzenie nieważności kościelnego małżeństwa, nazywa ową awersję do ślubu

związek potwierdzony w kościele i zawarły nowy, cywilny, czasem nawet po raz drugi, trzeci, czwarty... nie mogą uzyskać rozgrzeszenia, przyjmować komunii ani zawrzeć ponownie małżeństwa kościelnego. Jeśli więc pragną uporządkować swój status katolika, to czasem decydują się na skorzystanie z furtki, jaką stwarza prawo kanoniczne. Silnym bodźcem skłaniającym rodzica do starania się o uregulowanie sprawy powtórnego małżeństwa jest pierwsza komunია dziecka. Duchowni organizujący te uroczystości dostrzegają pewną prawidłowość podszytą hipokryzją: do spowiedzi idzie połowa rodziców, a do komunii przystępuje 100%.

Ziobro świętszy od Franciszka

Spadek prestiżu i trwałości instytucji małżeństwa zauważył też minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro. Z jego inicjatywy powstał

Decyzja o stwierdzeniu nieważności małżeństwa zapada w 85% przypadków.

obawą przed definitywną decyzją. A kiedy już taka decyzja nieopatrnie zapadnie, to po jakimś czasie, niekiedy nawet po tygodniu, kończy się wnioskiem o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Zwłaszcza jeśli jest nowy kandydat lub kandydatka do zaobrączkowania. Opłata za wnioski wynosi 1,4 tys. zł. Sąd może odmówić wnioskodawcom stwierdzenia nieważności małżeństwa, ale odsetek takich przypadków jest znikomy. W 85% przypadków wyrok jest pozytywny.

Ks. Adamowicz nie przejmuje się rosnącą liczbą wniosków. Jego zdaniem to objaw właśnie przywiązania do reguł życia w wierze. Wiadomo przecież, że osoby, które porzuciły

niedawno projekt nowelizacji Kodeksu rodzinnego i opiekuńczego, wprowadzający nową formę utrudniania i wydłużania procesu rozwodowego – rodzinne postępowanie informacyjne, czyli obowiązkowe spotkanie z udziałem mediatora odbywające się przed wniesieniem pozwu o rozwód. Chodzi o małżeństwa, które opiekują się małoletnimi dziećmi. Resort sprawiedliwości tłumaczy, że postępowanie ma dać małżonkom co najmniej miesiąc na wyjaśnienie problemów i dojście do porozumienia, by tak ważnej decyzji, gdy chodzi o dobro ich dzieci, nie podejmowali pochopnie. Pomysł ten spotkał się z silną krytyką i nie przybrał jeszcze formy obligatoryjnej.



Jacek Kurski uzyskał stwierdzenie nieważności ślubu kościelnego i mógł zawrzeć sakramentalny związek ponownie.
Sanktuarium Bożego Miłosierdzia w Łagiewnikach, 17 lipca 2020 r.

Tak się składa, że papież Franciszek w odniesieniu do procedury „rozwodów kościelnych” zdecydował w sposób zupełnie odmienny. W 2015 r. weszła w życie reforma dotycząca m.in. skrócenia czasu trwania procesu sądowego o stwierdzenie nieważności małżeństwa. Informuje o tym portal Adwokat Kościelny, komentujący przypadek Jacka Kurskiego. „Śledząc doniesienia prasowe na temat rozvodu i ślubu Kurskiego, natrafić możemy na informację, jakoby proces kanoniczny trwał dwa lata. W związku z tym możemy przypuszczać, że trybunał kościelny nie skorzystał z wprowadzonej przez Franciszka procedury skróconej (zwanej »procesem 45-dniowym«), lecz proces odbywał się w trybie zwyczajnym. Procesy przebiegające zgodnie z tą procedurą trwają zazwyczaj od roku do czterech lat. W takim razie dwuletni »kościelny rozwód« Kurskiego nie stanowiłby odstępstwa od przyjętych norm”.

Kościelny adwokat ci podpowie

Co może być powodem stwierdzenia nieważności małżeństwa kościelnego? Portal Adwokat Kościelny podaje ogólną zasadę: „Sąd Biskupi wydaje orzeczenie dotyczące

nieważności danego małżeństwa tylko wtedy, gdy zyska całkowitą pewność, że w świetle przepisów prawa kanonicznego między stronami nigdy nie doszło do zawarcia niezniszczalnego węzła małżeńskiego”.

Jednocześnie portal składa ofertę tym parom, które w zawiłościach prawa kanonicznego nie są zbyt biegłe: „Profesjonalną pomoc w przygotowaniu (pozwu) może zapewnić adwokat kościelny, który (...) będzie w stanie w odpowiedni sposób przedstawić przesłankę stawiającą pod znakiem zapytania kwestie ważności danego małżeństwa. W trakcie postępowania biegły może przekonać sąd o zasadności złożonej skargi, a więc – ułatwić klientowi uzyskanie orzeczenia”. Biznes więc się kręci.

Raport Instytutu Pokolenia wymienia w zasadzie trzy powody kanoniczne prowadzące do wyroku zgodnego z wnioskiem: niezaistnienie zgody małżeńskiej, wadliwa forma zawarcia małżeństwa, czyli wynikające z niedopatrzenia błędy proceduralne, oraz impotencja (nigdy nie przekraczała 2% przypadków). Podaje się też, że na początku lat 90. XX w. powody były bardziej zróżnicowane. Rozróżniano tu np. impotencję absolutną i relatywną. Uwzględniano również inne wady formy (?), wreszcie próbowano

tłumaczyć niezdolność do zawarcia małżeństwa przyczynami natury psychicznej. Jak widać, prawo kanoniczne pozostawia spory margines do interpretacji.

By były zgodne, szczęśliwe i trwałe

Autorzy raportu zdają sobie sprawę, że sytuacja demograficzna w Polsce pogarsza się z roku na rok, i ratunku dopatrują się w umocnieniu instytucji małżeństwa katolickiego. Tłumaczą, że to klucz do zwiększenia dzietności polskich rodzin, bo potomstwo częściej pojawia się u małżeństw zawieranych w kościele niż w związkach tylko cywilnych. Poza tym w Kościele katolickim funkcjonuje rozbudowana sieć poradni przedmałżeńskich, kursów dla narzeczonych, a także rozmaitych form wpierających już istniejące rodziny. Takich form nie stworzyły zdaniem autorów raportu samorządy. Jak powiedziała podczas jego prezentacji Joanna Krupska, psycholożka, przewodnicząca Rady Krajowej Związku Dużych Rodzin „Trzy Plus”, sytuacja obecna jest wyzwaniem dla Kościoła w Polsce. Istnieją liczne formy wspierania kandydatów do ślubu kościelnego, ale nie ma oferty dla osób niewierzących, niereligijnych, które też tworzą lub planują związki.

Niestety, wśród propozycji poprawy sytuacji demograficznej, rodzinnej i społecznej nie wspomniano o kwestii mieszkaniowej, edukacji seksualnej i rodzinnej, in vitro, skrajnie radykalnym prawie aborcyjnym, wychowaniu dzieci w rodzinach niepełnych lub szeroko rozumianych związkach partnerskich, upodmiotowieniu kobiet w społeczeństwie. Przypomniano jedynie, że niewielki wzrost liczby urodzeń przyniósł na krótko wprowadzenie 500+, ale świadczenie nie zatrzymało spadku liczby zawieranych małżeństw. Wydaje się też, że w naszym krajobrazie medialnym zbyt wiele jest brutalności, agresji, dramatów, za mało zaś promocji szczęścia, radości, ciekawości świata i ludzi. Wszystkich ludzi.

b.tumilowicz@tygodnikprzeglad.pl

Co Niemcy zrozumiwały z Holokaustu?

Władze Niemiec, broniąc Izraela, bronią własnej wizji historii i niemieckiej tożsamości

Rozmawia Jakub Dymek

Przeglądam się europejskim reakcjom na atak Hamasu i na izraelski odwet i jedno zdanie przykuwa moją uwagę: „Bezpieczeństwo Izraela to kwestia niemieckiej racji stanu”. Powtarzają je kolejni niemieccy politycy z kanclerzem Scholzem na czele. Skąd to zdanie się wzięło i co w tym kontekście oznacza?

– Racja stanu to sprawy o znaczeniu fundamentalnym dla państwa. Sam powód, dla którego państwo istnieje. I w tym sensie Angela Merkel po raz pierwszy w 2008 r. powiedziała w Knesecie te słowa: „Bezpieczeństwo Izraela jest częścią niemieckiej *Staatsraison*”. Korzenie tego myślenia sięgają lat powojennych, gdy Państwo Izrael było manifestacją tego, co zostało ze światowego żydostwa, i z tego faktu wynikał specjalny stosunek Niemiec do Izraela. Po 7 października 2023 r. Olaf Scholz powtarza te słowa znacznie częściej, choć one w sensie prawnym czy zobowiązań Niemiec wobec Izraela nie mają konkretnego wymiaru. Za to są dowodem pewnych związków czy wspólnego uwikłania.

Czyli nie wynika z nich żadne zobowiązanie militarne czy polityczne. Są tylko wyrazem przekonania o specjalnej symbolicznej więzi współczesnego Izraela i Niemiec?

– Można to tak wytłumaczyć. W powszechnym wyobrażeniu Państwo Izrael powstaje z pomroki Holokaustu, prawda? Skoro więc mogło powstać i istnieje, to znaczy, że Niemcy w jakiś sposób już zostali oczyszczeni lub odkupili swoje winy. Inni tłumaczą to kwestią „przeniesionego



SANDERS ISAAC BERNSTEIN

– pisarz i badacz mieszkający w Berlinie, doktor nauk o literaturze (Uniwersytet Południowej Kalifornii) i autor tekstów ukazujących się m.in. na łamach „Jewish Currents”, „Hypocrite Reader” i „Coda Story”. Zajmuje się badaniem polityki pamięci.

nacjonalizmu”. Niemcy nie mogą, przynajmniej oficjalnie, wyrażać dumy ze swojego kraju, jest to dość skomplikowane i niezręczne. Paradoksalnie jednak zwłaszcza niemieckie elity i klasa polityczna mogą wyrażać przywiązanie do izraelskiej państwowości.

Dobrze, ale co to wszystko mówi nam o „polityce pamięci” – w Polsce mówimy czasem o „polityce historycznej” – która za tym stoi?

– Powojenna niemiecka tożsamość została zbudowana na rozliczeniu

z Holokaustem. Kwestia ta nabrała znaczenia szczególnie po zjednoczeniu Niemiec. Jest na to słowo – *Vergangenheitsbewältigung*, które oznacza przepracowanie przeszłości. To daje przekonanie, że Niemcy, „przepracowując przeszłość”, budują swoją narodową tożsamość, wyciągają lekcję, są narodem, który znajduje właściwe odpowiedzi na trudne pytania i nie boi się konfrontacji z najmroczniejszymi elementami swojej przeszłości. Z tego wynika konieczność upamiętniania ofiar Holokaustu i utożsamiania się z jego ofiarami, przede wszystkim ofiarami żydowskimi. Zaznaczmy: ta pamięć szczególnie dotyczy Żydów, a w mniejszym stopniu ofiar innych wyznań czy narodowości. Choć to jeszcze samo w sobie da się wytłumaczyć. Ale zarazem pamięć ta jest kompletnie obojętna wobec tego, czego chcą, co myślą i jak sami postrzegają historię Żydzi współcześnie mieszkający w Niemczech.

I jak to się objawia?

– Warto wspomnieć głośną telewizyjną wymianę zdań między słynną pisarką Deborah Feldman, autorką książki (zaadaptowanej później na serial) „Unorthodox”, a Robertem Habeckiem, aktualnym wicekanclerzem Niemiec. Feldman wytknęła mu, że Żydzi i Izrael to niekoniecznie to samo, że wcale nie trzeba wiązać niemieckiego poczucia winy wobec Żydów z bezkrytycznym poparciem działań Izraela. I dodała, że jedyna sensowna lekcja z Holokaustu to ta o uniwersalnym wymiarze: prawa mniejszości muszą być chronione wszędzie. Na co Habeck odparł, że ceni jej przekonania

moralne, ale on jako przedstawiciel państwa niemieckiego nie może zająć podobnego stanowiska.

To znaczy, że Niemcy nie mogą nie wspierać Izraela?

– Tak. Niemcy zapłaciły Izraelowi reparacje. Sama niemiecka tożsamość jest związana z istnieniem Państwa Izrael. Niemcy mają dwa dowody na to, że ich transformacja się udała i jak daleką drogę przeszli od czasów nazistowskich. Pierwszym jest to, że Żydzi chcą w Niemczech mieszkać. Drugim jest właśnie wsparcie dla Izraela na arenie światowej. I jak w kółko się powtarza tę mantrę, to ona staje się obiegową prawdą, nawykiem, który kształtuje bieżące działania w polityce.

Pamięć o Holokauście jest kompletnie obojętna wobec tego, czego chcą, co myślą i jak sami postrzegają historię Żydzi współcześnie mieszkający w Niemczech.

Natomiast ta „lekcja z Holocaustu” nie ma uniwersalnego wymiaru. Nie tylko Robert Habeck, ale może nawet bardziej Olaf Scholz oraz cały niemiecki establishment i niemała część opozycji wobec rządu wyciągnęli tylko ograniczone wnioski. Za to w kwestii Izraela i antysemityzmu wszyscy są w stanie się zgodzić.

– Lekcja z Holocaustu, jaką odebrały Niemcy, mówi, że trzeba chronić Żydów, a nie wszystkie mniejszości przed prześladowaniem. A więc ja jako Żyd w sumie na tym korzystam. W szerokim sensie to jednak wcale nie jest taki dobry pomysł. Mamy np. zjawisko antyantysemityzmu. To z jednej strony przekonanie, że trzeba chronić Żydów, zwalczając antysemityzm, ale z drugiej – zjawisko charakterystyczne dla niemieckiego życia publicznego, które trudno wytłumaczyć. Po pierwsze, służy jako narzędzie do uciszania krytyków Izraela, bo do tego bardzo często tak naprawdę to się sprowadza. Po drugie, to może być forma idealizacji Żydów, filosemityzmu, który odmawia uznania, że pomiędzy samymi Żydami są przecież różnice doświadczeń i przekonań. Z tych założeń może wynikać potrzeba chronienia (przez Niemców) Żydów przed cudzym,

„importowanym” antysemityzmem, czyli przed zagrożeniem, które rzekomo stanowi dla Żydów mniejszość muzułmańska. To zaś prowadzi do zaskakujących czasami rezultatów.

To znaczy?

– Na przykład statystyki policyjne pokazują, że za zdecydowaną większością incydentów kryminalnych o charakterze antysemitycznym stoi ideologia prawicowa czy skrajnie prawicowa. A jednak w debacie publicznej łatwiej przebija się przekonanie, że za antysemityzm odpowiadają w Niemczech nie sami Niemcy (np. zwolennicy skrajnej prawicy), ale właśnie imigranci. I teraz to słychać choćby w słowach szefa partii CDU Friedricha Merza, który mówi:

„Nie potrzebujemy już migrantów, bo dość mamy antysemitycznych młodych mężczyzn u siebie”.

Napisaleś niedawno, że w Niemczech dochodzi do cenzury pro-palestyńskich czy opowiadających się za pokojem protestów. Nazywasz to zagrożeniem dla wolności słowa.

– Od kiedy zacząłem pisać na ten temat pod koniec października, do połowy listopada w Berlinie miało się odbyć ponad 40 demonstracji o charakterze propalestyńskim, ale ponad połowy zakazano. Dziwnie to się obserwuje w kraju, gdzie wolność słowa i zgromadzeń jest gwarantowana prawem. Tym dziwniej obserwuje się to zjawisko ze środka Neukölln, centrum arabskiego i tureckiego życia niemieckiej stolicy, gdzie widać większą obecność i determinację policji, nawet gdy nie ma żadnych protestów. Do tego dochodzi brutalizacja działań służb wobec ludzi często zupełnie niezakłócających porządku. Pytałem o to, co się dzieje, zarówno profesorów prawa, jak i aktywistów – jedni i drudzy zgadzają się, że dzieje się coś, czego nie pamiętają od dawna, atmosfera gęstnieje w sposób niewidziany od co najmniej 20 lat. I ta sytuacja nie wzięła się z niczego, lecz ma bardzo

wiele wspólnego z tym, jak Niemcy przeżywają przeszłość, jaki mają stosunek do historii i jak chcą widzieć swoje w niej miejsce.

A to twoim zdaniem niebezpieczne, niecodzienne, absurdalne?

– Chyba wszystkie trzy słowa pasują. Absurdalne, bo Niemcy dziś, chcąc dokonać rozrachunku ze swoją przeszłością, w której dopuszczali się zbrodni wobec jednej mniejszości, demonizują i marginalizują drugą. Co jeszcze ciekawsze, nie wynika to wyłącznie ze złych intencji – polityka pamięci ma swoje dobre strony i chęć rozliczeń z przeszłością jest ważna. Ale zarazem widzę to zjawisko jako niebezpieczne, w mediach i rządzie panuje przekonanie, że to wszystko naprawdę winą muzułmanów, trzeba ich obarczyć odpowiedzialnością za antysemityzm, a nie rozczulać się nad nimi czy próbować zrozumieć poglądy i reakcje muzułmańskiej mniejszości w Niemczech. Za to nie ma zrozumienia, że sposobem na bezpieczeństwo wszystkich jest budowa pluralistycznego społeczeństwa, w którym będzie miejsce dla wszystkich mniejszości. Czy to zaskakujące? Z jednej strony, chyba nie, bo wiemy, z jakiego stosunku do przeszłości to się bierze. Z drugiej jednak – tak, bo aż dziw, że dojrzały przywódca takiego kraju jak Niemcy woła ślepotę i wybierają niewiedzę. Boję się, że hasło ochrony Żydów prowadzi bezpośrednio do rodzaju nagonki na muzułmanów – mniejszość, którą uważa się w tym dyskursie za jakby mniej „niezbędną” czy „kluczową” dla Niemiec. W związku z tym słowo, którego w ostateczności bym użył, żeby opisać tę sytuację, to smutek. To głęboko, głęboko smutne.

j.dymek@tygodnikprzeglad.pl





USTAWA AMNEZYJNA



Żeby utrzymać się u władzy, Pedro Sánchez złożył na ołtarzu nawet hiszpańską konstytucję

Mateusz Mazzini

Tylko na ulicach Madrytu 700 tys. osób, ponad milion w całym kraju. Jeden z weteranów prawicowej polityki, Alejo Vidal-Quadras, postrzelony w twarz. Santiago Abascal, lider ultraprawicowej partii Vox, wzywający do „społecznego oporu” wobec zawiązującej się lewicowej koalicji rządzącej. Unijny komisarz sprawiedliwości Didier Reynders piszący do Pedra Sáncheza list z żądaniem ujawnienia warunków porozumienia z partią Junts i wyrażający obawy, że Hiszpania narusza wspólnotowe normy praworządności. Manfred Weber, lider Europejskiej Partii Ludowej w europarlamencie, wzywający do ogólnoeuropejskiej debaty w sprawie Hiszpanii, sugerujący przy tym, że Sánchez łamie konstytucję. Dziennikarze śledczy z „New York Timesa” i „Wall Street Journal”

przypominający, że sześć lat temu separatyści sami szli po pomoc do Kremla, a ten oferował miliard dolarów na start, byleby tylko secesja Katalonii doszła do skutku. Sędziowie, intelektualiści i konstytucjonaliści piszący listy otwarte do premiera, w których alarmują, że Hiszpania wchodzi w erę populizmu i upolitycznienia sądów.

W takich warunkach socjaliści z PSOE, pod rękę z koalicją Sumar, nowym wcieleniem lewicowo-populistycznego Podemos, budowali parlamentarną większość. A to i tak tylko te oficjalne i najbardziej wyraziste głosy sprzeciwu. Z hiszpańskiej ulicy dochodziło ich znacznie więcej, i często były nieparlamentarne, bo Sáncheza oskarżano w minionych tygodniach o wszystko: korupcję polityczną, konstytucyjny zamach stanu, zdradę narodową, sprzedanie ideałów demokracji. Każdy mógł wybrać sobie obelgę, która pasuje mu

najbardziej – i większość, jeśli była przesadzona, to nieznacznie.

Bezpośrednią przyczyną tego trzęsienia ziemi są oczywiście wybory z 23 lipca, w których ani prawicy, ani lewicy nie udało się zdobyć większości wymaganej do sformowania rządu, czyli co najmniej 176 mandatów. Więcej szabel miał ewentualny alians Partii Ludowej (PP) z Vox, ale ich zdolność koalicyjna była zerowa. Musieliby szukać poparcia w małych, najczęściej regionalnych albo wręcz separatystycznych partiach, a na to nie było chęci po żadnej stronie. Dlatego lider PP Alberto Núñez Feijóo, choć dowiózł wyborczą wygraną swojego ugrupowania, już w trakcie wieczoru wyborczego przemawiał jak głównodowodzący przyszłej opozycji. Lewica początkowo miała trudniej, dwie główne partie zebrały łącznie 152 mandaty, ale ostatecznie 16 listopada 179 posłów udzieliło Sánchezewi wotum zaufania.

Protest prawicowej opozycji przeciw amnestii dla katalońskich separatystów. Madryt, 24 września 2023 r.

Żeby jednak zrozumieć, dlaczego trzeba było w tym celu postawić pod znakiem zapytania konstytucyjną przyszłość kraju i przeproszać się z ludźmi, którzy Hiszpanii jako kraju unitarnego nie uznają, należy się cofnąć i spojrzeć szerzej, na całą Europę.

Puigdemont ma głos

1 października 2017 r. było podobnie, może nawet jeszcze bardziej nerwowo. Carles Puigdemont, wtedy pełniący funkcję prezydenta regionu Katalonii, zarządził referendum w sprawie oderwania się prowincji od reszty kraju. To była awantura jak najbardziej zapowiedziana, nastroje secesyjne dojrzewały w Barcelonie od dawna, a za niepodległością opowiadały się prominentne postacie, ważne dla tutejszej tożsamości, np. słynny trener piłkarski Pep Guardiola. Trzy lata wcześniej zostało zresztą przeprowadzone pierwsze, czysto symboliczne głosowanie za odłączeniem się od Hiszpanii.

To były lata wielkich turbulencji na Półwyspie Iberyjskim, pozostałość po kryzysie finansowym, dodatkowo naznaczone korupcją w rządzie Partii Ludowej i rekordowo niskimi notowaniami hiszpańskiej rodziny królewskiej. Na tronie zasiadał jeszcze wtedy Juan Carlos I, który zaledwie kilka lat wcześniej wzbudził kolejną w swoim monarszym życiu falę kontrowersji, wyjeżdżając na safari i dając się sfotografować na tle zabitego przez siebie słonia.

Na tym żyznym gruncie kiełkowało poparcie dla ruchów separatystycznych, które najpierw, w 2015 r., wyniosło tę opcję do władzy w regionie, a potem uczyniło możliwym, przynajmniej z politycznego punktu widzenia, referendum. Prawnie głosowanie nie miało racji bytu, nie mogło być wiążące, bo choć hiszpańska konstytucja z 1978 r. teoretycznie pozwala na organizację plebiscytu secesyjnego, musiałby on się odbyć w całym kraju, nie tylko w zbuntowanej prowincji. Mimo to Puigdemont zignorował ostrzeżenia

z Madrytu i głosowanie przeprowadził. 90% opowiedziało się za niepodległością, ale frekwencja wyniosła zaledwie 43%, bo partie głównego nurtu zorganizowały skuteczny bojkot referendum.

Dalszy ciąg jest już doskonale znany. Prawie półmilionowe protesty na ulicach, zablokowane barcelońskie lotnisko, dziesiątki starć z organami porządkowymi. 431 rannych policjantów, fala aresztowań, ale też 1 tys. firm, które ewakuują się z Barcelony zaledwie dwa tygodnie po referendum. Potem procesy, ucieczka Puigdemonta do Brukseli, gdzie przebywa na wygnaniu, a przede wszystkim gigantyczny wzrost polaryzacji. Dzięki sprzeciwowi wobec katalońskiego separatyzmu i walce o jedność terytorialną do głównego nurtu wskakują radykałowie z Vox, z miejsca stający się trzecią siłą polityczną w kraju. Jak wynika z badań zespołu politologów z Uniwersytetu w Kordobie, aż do 2022 r. to właśnie niechęć do regionalnych separatyzmów była głównym czynnikiem wpływającym na poparcie dla tego ugrupowania. Dopiero kilka miesięcy temu zaczęła ustępować kwestiom światopoglądowym, takim jak opozycja wobec feminizmu i walki o prawa mniejszości seksualnych.

Z drugiej strony na fali śledztw prowadzonych przez Citizen Lab, ośrodek analityczny przy Uniwersytecie w Toronto, ujawniony zostaje fakt inwigilowania przez rząd Sáncheza katalońskich polityków za pomocą systemu Pegasus. W tle pobrzmiewają jeszcze wspomniane publikacje „NYT” i „WSJ” o rosyjskich zachętach finansowych i ścisłej współpracy pomiędzy Puigdemontem a emisariuszami Kremla. Trudno znaleźć aspekt hiszpańskiej polityki, który nie zostałby kompletnie przemeblowany z powodu działań środowiska mającego w dzisiejszym parlamencie łącznie 14 mandatów na 350 miejsc.

Z czasem jednak kontrowersje ucichły, także dlatego, że Hiszpania zaczęła mieć bardziej palące problemy, takie jak pandemia koronawirusa, której stała się jednym z pierwszych wielkich ognisk, a także kwestie społeczne: eutanazja, aborcja, debata o pamięci zbiorowej ofiar wojny

domowej. Wszystko to elektryzowało debatę publiczną bardziej niż losy trochę już wtedy zapomnianego Puigdemonta, chowającego się w Waterloo przed hiszpańskim nakazem aresztowania. W międzyczasie zdobył on jeszcze mandat europosła, ale najpierw Madryt nie chciał mu go przyznać, potem Bruksela pomogła w jego certyfikowaniu, lecz sam Puigdemont, przemieszczający się z kraju do kraju, wyglądał bardziej komicznie niż poważnie.

Jeśli natomiast popatrzeć na całą sprawę z dzisiejszej perspektywy, wniosek jest jednoznaczny: opłacało się być przez sześć lat klaunem na wygnaniu. Już latem Sánchez i Yolanda Díaz, szefowa Sumar i pierwsza wicepremier w poprzednim rządzie, pielgrzymowali do Belgii, by rozmawiać o ewentualnym poparciu nowego rządu przez dawną partię Puigdemonta, Junts. To siedem mandatów – za mało, żeby rozwiązać problem braku większości, ale i tak sporo w silnie rozdrobionym hiszpańskim parlamencie. Kierujący ugrupowaniem z tylnego fotela ekskluder separatystów stawiał twarde warunki, które wtedy wydawały się nie do przyjęcia. Dlatego tym bardziej dziwi, że dzisiaj praktycznie wszystkie zostały wpisane do umowy amnestyjnej, która z kolei stanowi podwaliny porozumienia koalicyjnego.

Jak u Trumpa

Na przykład ponad 400 osób związanych z ruchem separatystycznym, zamieszanych nie tylko w organizację referendum z 2017 r., ale też w późniejsze protesty i grupowe starcia z policją, ma być wolnych od jakichkolwiek konsekwencji prawnych. Ten zapis można by jeszcze przełknąć, gdyby nie reguły egzekwowania samej amnestii. Otóż w parlamencie nowej kadencji mają powstać dwie komisje złożone z polityków, które będą nadzorować sposób, w jaki sędziowie realizują postanowienia amnestyjne. Innymi słowy, kontrola nad funkcjonowaniem wymiaru sprawiedliwości w tym wypadku ma zostać w całości przekazana w ręce legislatury.

Warto podkreślić wagę tych ustaleń, bo trudno sobie wyobrazić większy wyłom w strukturach praworządności niż to posunięcie. Politycy zostali postawieni nad sędziami – nie w kwestii ich wyboru, tylko codziennej pracy, regularnego interpretowania prawa. Nie bez przyczyny José Ignacio Torreblanca, jeden z najbardziej znanych hiszpańskich politologów, członek Europejskiej Rady Spraw Zagranicznych (ECFR), napisał w dzienniku „El Mundo”, że umowa amnestyjna stanowi „początek trumpizmu w Hiszpanii”. To właśnie były prezydent Stanów Zjednoczonych jest punktem odniesienia dla światowych ruchów populistycznych w upolitycznianiu sądów i łamaniu trójpodziału władzy, z którymi to problemami USA zmagają się aż do dziś. Chociażby więc z tego powodu diagnoza ta nie wydaje się przesadzona.

Co ciekawe jednak, całej tej awanturze towarzyszy chichot losu. Separatyści bowiem uzyskali być może najsilniejszą w swojej historii pozycję w krajowej polityce akurat wtedy, gdy ich poparcie jest rekordowo niskie. Katalonia wprowadza do parlamentu w Madrycie 46 posłów, ale w lipcu zaledwie 14 mandatów przypadło partiom związanym ze środowiskiem separatystycznym – po

siedem dla Junts i Republikańskiej Lewicy Katalonii (ERC).

Katalończycy w zdecydowanej większości zagłosowali na partię głównego nurtu, tradycyjne, ugruntowane, co pokazuje, że polityka narodowa jest jednak dla nich ważniejsza niż kwestie regionalne. I choć razem z amnestią separatyści wywalczyli dla prowincji wiele wygodnych ustępstw, takich jak darowanie wynoszącego 10 mld euro długu do budżetu centralnego czy większa kontrola nad siecią transportu publicznego, nie należy się spodziewać radykalnego powrotu nastrojów niepodległościowych czy nawet powtórki z 2017 r. W tej chwili Katalończycy wydają się zmęczeni tym tematem, skoncentrowani na wyzwaniach, które dzielą z resztą kraju: rosnącymi kosztami życia, migracją, wyzwaniami klimatycznymi.

W objęciach radykałów

Jeżeli gdziekolwiek może w miarę szybko nastąpić silna reakcja na amnestię, to na prawicy, i to tej bardziej skrajnej. Abascal już odkurza swoje hasło o „czerwonej linii”, jaką jest dla niego jedność terytorialna, ale też np. nienaruszalność tradycyjnego kształtu rodziny. To wezwanie do „społecznego oporu” można

interpretować na wiele sposobów, są tacy, którzy widzą w nim zachętę do politycznie motywowanej przemocy – i pewnie dalecy od prawdy nie są.

Przy zaledwie czterech głosach przewagi władza Sáncheza pozostaje niepewna i nawet najmniejsze nieporozumienie między PSOE a Junts – co nietrudno sobie wyobrazić – może go kosztować utratę poparcia dla rządu. Wtedy Hiszpania nie uniknęłaby kolejnych wyborów, piątych w ciągu dekady. Trudno wierzyć, że i tym razem lewica jakimś cudem zdobyłaby większość, a nawet jeśli, to skala ustępstw wobec partii regionalnych, już pewnie nie tylko samych Katalończyków, byłaby taka, że poważnie zagrażałaby porządkowi konstytucyjnemu. I naprawdę mogłaby doprowadzić do secesji któregoś regionu.

Z obserwacji wydarzeń w Hiszpanii płynie również inny ważny wniosek – na temat trudności formowania stabilnych rządów w całej współczesnej Europie. Gdzie spojrzeć, władzę sprawują albo sprawować próbują koalicje wielopartyjne, o często sprzecznych interesach. Dość przypomnieć, w jakich bólach tworzył się rząd Olafa Scholza w Niemczech. W Szwecji trzeba było poparcia postfaszystowskich Szwedzkich Demokratów, we Francji Emmanuel Macron musiał pomijać parlament, by realizować swoją wizję rządzenia państwem.

Europejska polityka jest coraz bardziej rozczłonkowana, bo wyborcy coraz mniej ufają partiom, nie tylko dużym, małym też. Szukają takich, które będą w całości pasować im światopoglądowo, a gdy synergia nie jest kompletna, odchodzą gdzieś indziej albo nie głosują w ogóle. To siłą rzeczy daje paliwo partiom radykalnym, które zawsze startują z politycznego marginesu, ale im bardziej podzielone parlamenty, tym większa waga takich ugrupowań.

Stary Kontynent staje się zakładnikiem krzyczących radykałów. W Hiszpanii widać to najwyraźniej, ale na niej się nie skończy. Pozostaje pytanie, który kraj będzie następny, bo któryś będzie na pewno.

Mateusz Mazzini

m.mazzini@tygodnikprzeglad.pl



www.wydawnictwomg.pl



Kapitalizm i realizm

Andrzej Szahaj

Zbiorowy obłęd antypodatkowy

Czytam o wynikach jakiegoś sondażu na temat tego, czego Polacy chcą. Bodaj na trzecim miejscu znajduje się pragnienie obniżki podatków. Litości. Poziom obciążenia podatkowych w Polsce jest poniżej średniej unijnej. Ale chodzi nawet nie o to, bardziej o chorobę, która od dawna toczy nasze społeczeństwo. To nienawiść do własnego państwa. Jej odpryskiem jest niechęć do wszelkich podatków. Stałym elementem powszechnie powtarzanych sądów jest przekonanie, że polskiemu państwu nie należy się żadne podatki, bo je zmarnuje. Nie mogę już słuchać tych wynurzeń przedstawicieli polskiej klasy średniej i wyższej (ostatnio np. cytowanych obficie przez „Gazetę Wyborczą” informatyków), że może i chętnie by je płacili, ale nie w Polsce. Bo w Polsce wszystko zostanie zmarnowane i rozkradzione.

Są też tacy, wcale liczni, którzy pod wpływem bardzo u nas popularnej ideologii libertarianistycznej uważają, że podatki jako takie to kradzież i należy je zlikwidować. Ale likwidacja podatków to przecież likwidacja państwa. Tymczasem państwo jest dobrem wspólnym. Należy je naprawiać i wzmacniać, a nie dążyć do jego faktycznej likwidacji czy przynajmniej zwijania się (państwo minimum to jeden z najgłupszych pomysłów politycznych). Nie ma zaś silnego i efektywnego państwa bez podatków. Kto inny niż obywatele ma je utrzymywać?

Niemądre domaganie się ciągłej obniżki podatków to świadectwo kompletnego niezrozumienia tego, jak działa państwo. Najgorsze jest jednak to, że za populistycznym hasłem obniżki podatków podążają politycy, prześcigając się w obietnicach realizacji tego marzenia milionów. Od nich wymagałbym więcej rozsądku. Tyle że często wywodzą się oni z orientacji polityczno-ideowych, dla których podatki są złe, a państwo podejrzane (to nasz nieszczęsny „sarmacki popliberalizm”). I tak koło się zamyka.

Problem polega zaś na tym, że nasz system podatkowy jest nieomal od początku transformacji chory, że dodatkowo psuły go poszczególne rządy, doprowadzając do sytuacji, w której stał się on widomym znakiem głębokiej niesprawiedliwości, jaka toczy życie społeczne. Niesprawiedliwość ta polega na tym, że biedni płacą relatywnie więcej niż bogaci. Tutaj widać jak na dłoni, w imię czyich interesów klasowych przebiegał proces polskiej transformacji. Kto miał wygrać, a kto przegrać.

Dziś potrzebujemy nowego spojrzenia na system podatkowy i na państwo. W krajach, które podziwiamy, jest on bez wyjątku progresywny. Bogatsi płacą więcej niż biedniejsi, a najbogatsi płacą najwięcej. Podatki są

wysokie, ale przecież nie da się zbudować efektywnego państwa bez pieniędzy. My tymczasem chcielibyśmy mieć dwie rzeczy naraz: efektywne państwo, na którym można polegać, i niskie podatki. To mrzonki. Im wcześniej to zrozumiemy, tym szybciej poradzimy sobie z największą obecnie barierą rozwojową: niedofinansowanym państwem. Nie będzie lepszych usług publicznych bez wyższych podatków.

Nawiasem mówiąc, państwo funkcjonuje obecnie całkiem nieźle, zadając kłam tym, którzy twierdzą, że jest ono całkowicie dziadowskie i niegodne zaufania, a przy okazji kierują ludowy gniew przeciwko jego urzędnikom. Wymieniam dowód osobisty – szybko, sprawnie i bez kolejek. Staram się o nowy dowód rejestracyjny – podobnie. Jestem stroną w pewnej sprawie, w której musi się wypowiedzieć regionalna dyrekcja ochrony środowiska. Robi to niezwykle kompetentnie i zdecydowanie, mając na względzie ochronę przyrody – naszego najcenniejszego dobra wspólnego (po aferze z zamkiem w Stobnicy to bardzo miła niespodzianka). Idę do ZUS dowiedzieć się, jak wygląda moja przyszła emerytura. Nie czekam dłużej niż 10 minut. Miła pani udziela mi wszelkich informacji. Kompetentnie

**Nie ma silnego i efektywnego państwa bez podatków.
Kto inny niż obywatele ma je utrzymywać?**

i z uśmiechem (nawiasem mówiąc, co za dureń nawołuje do likwidacji ZUS?). Nie jest z polskim państwem aż tak źle, jak to malują jego krytycy. Oczywiście mogłoby być lepiej. Jest wiele do poprawy. Ale nie przesadzajmy. Każdy, kto miał kontakt z urzędnikami z innych państw, wie, że bywa różnie, a rozbudowana biurokracja wcale nie jest polską specjalnością (spróbujcie zapisać dziecko do amerykańskiej szkoły).

W tym miejscu domagam się więcej szacunku dla polskich urzędników państwowych. Pracują za marne pieniądze, a przecież starają się wypełniać swoje obowiązki jak najlepiej. Doceńmy wreszcie ich pracę. Nie ulegajmy temu żenującemu trendowi narzekania na państwo polskie i jego przedstawicieli. Krytkujmy ich wtedy, kiedy na to zasługują, a nie hurtowo. Bo to jest po prostu niesprawiedliwe. I głupie. Tak samo jak głupie jest ciągłe nawoływanie do obniżki podatków. Dlatego z tego miejsca proszę polityków, aby nie ulegali tej durnej modzie i w zamian zaproponowali nam wreszcie nowy, sprawiedliwy i przejrzysty system podatkowy. Najwyższa na to pora. ■



Prywatyzować, co się da

Javier Milei i jego pomysły
na uzdrowienie argentyńskiej gospodarki

Katarzyna Mierzejewska

Javier Milei doszedł do władzy na fali rosnącego społecznego oburzenia, potrzeby zmiany i rozczarowania peronizmem. Przekonuje, że wie, jak uczynić Argentynę znów wielką.

Antysystemowiec, prawicowy populistą, niebezpieczny radykał czy jedyna nadzieja na poprawę? Mocne odchudzenie administracji i wydatków państwowych, pozbycie się peso i Banku Centralnego, wreszcie solidny „kop w dupę kasty uprzywilejowanych polityków”. Na pierwszy rzut oka może dziwić, że pomysły rodem z neoliberalnego snu znalazły podatny grunt w kraju, gdzie prawie 4 mln ludzi (18% wszystkich

pracujących) jest zatrudnionych w sektorze publicznym, a świadczenia socjalne stanowią ważny element argentyńskiej umowy społecznej. Jednak w sytuacji, kiedy 40% populacji żyje na granicy ubóstwa, 3 mln zatrudnionych potrzebuje dodatkowej pracy, żeby związać koniec z końcem, przy inflacji na poziomie 140% w październiku, impet, z jakim Javier Milei zdobył najwyższy urząd w kraju, jawi się jako wypadkowa frustracji, zmęczenia i desperackiej potrzeby zmiany.

Kim jest nowy prezydent?

Sam mówi o sobie, że w teorii jest anarchokapitalistą, a w praktyce minarchistą, dla którego rola państwa

Niedoszły gwiazdor rocka przekonał do siebie 14 mln wyborców. I to mimo wielu kontrowersyjnych opinii, jakie głosi.

powinna się ograniczać do sfery bezpieczeństwa i prawodawstwa. Doświadczenie z telewizji, mocna ekspresja w wyrażaniu poglądów i pomoc Lilii Lemoine, ekspertki od wizerunku (a jednocześnie gorącej zwolenniczki), która zasugerowała mu charakterystyczne bokobrody, sprawiły, że ten rozzochrany niedoszły gwiazdor rocka, który porzucił granie coverów Rolling Stonesów i piłkę nożną na rzecz studiowania ekonomii, w ostatecznym rozrachunku przekonał do siebie 14 mln wyborców. I to pomimo wielu kontrowersyjnych opinii, jakie głosi.

Javier Milei wielokrotnie negował zmiany klimatyczne jako „socjalistyczne wymysły”, popierał ułatwienia w dostępie do broni czy dopuszczenie sprzedaży organów na wolnym rynku. Dla niego „moje ciało to mój wybór”, no, chyba że chodzi o prawo do przerywania ciąży. Tutaj zapowiedział odwrót od prawa liberalizującego aborcję, którego historyczne przegłosowanie w parlamencie pod koniec 2020 r. zwińczyło przeszło dekadę intensywnej działalności aktywistycznej środowisk prokobiecych. Kobiety i mniejszości mają świadomość, że jego prezydentura stawia pod znakiem zapytania przyszłość wielu osiągnięć równouprawnienia, które ugruntowały pozycję Argentyny jako pioniera w regionie. Prezydent elekt zapowiedział rozwiązanie Ministerstwa ds. Kobiet, Płci i Różnorodności, którego powołanie przypadło na w ogólnym rozrachunku błąd i bierną kadencję ustępującego Alberta Fernández. Milei mówi, że sprzeciwia się „marksizmowi kulturowemu” i nie ma zamiaru przeproszać za to, że „ma penisa”. A w ogóle to nierówności przecież nie ma. Ani *feminicidios* (kobietobójstwa – przyp. red.).

Głośnym echem odbiły się też jego ignoranckie wypowiedzi dotyczące zbrodni dyktatury wojskowej z lat 1976-1983. Zapowiedział uwolnienie osądzonych funkcjonariuszy. Podczas debaty prezydenckiej stwierdził,

że wojsko jest winne jedynie „nadużyć władzy”. „Cenimy ideę pamięci, prawdy i sprawiedliwości, zaczniemy więc od prawdy. Nie było 30 tys. ofiar, tylko 8753” – tymi słowami wywołał burzę wśród ofiar i ich rodzin. Choć jest to co najmniej dziwne, aby obrać sobie traumę dyktatury jako cel kontrowersji, wpływ na taką (przynajmniej deklaracyjną) jego postawę ma niewątpliwie kandydatka na wiceprezydentkę Victoria Villarruel, której obiecano resort obrony. Villarruel słynie z tego, że otwarcie

Friedmana, Milei proponuje wprowadzenie bonów edukacyjnych. Jest to model, w którym pieniądze dostają rodzice, a nie szkoła, co w teorii pozwala rodzinom wybierać, gdzie będą kształcić dzieci. Milei mówi o większym wyborze, krytycy o większych rozwarstwieniach społecznych.

Podobny mechanizm bonów miałby zostać wprowadzony do ochrony zdrowia. Pacjenci – a nie szpitale – otrzymywaliby bony na leczenie. Te pomysły stały się osią zarzutów

Javier Milei wielokrotnie negował zmiany klimatyczne jako „socjalistyczne wymysły”, popierał ułatwienia w dostępie do broni czy dopuszczenie sprzedaży organów na wolnym rynku.

krytykowała ruch Matek z Plaza de Mayo (walczących o informacje o „znikniętych” w czasach junty), broniła także urzędników wojskowych oskarżonych o łamanie praw człowieka w tamtym czasie.

Odloty

Podczas kampanii Milei dzielił się wyznaniem o telepatycznym łączeniu się ze swoim zmarłym psem, a do zobrazowania dość siermiężnych metafor używał rekwizytów w rodzaju pily łańcuchowej. Stała się ona jego znakiem rozpoznawczym. Milei „metaforycznie” ciął wydatki na wiecach, chcąc przekonać słuchaczy, że jako jedyny ma pomysł – i odwagę – na zawrócenie Argentyny z drogi ku zapaści ekonomicznej. Przy innej okazji teatralnie zdierał kolejne karteczki z nazwami ministerstw przyklejone do tablicy magnetycznej, aż z 18 zostało osiem. Do tak uszczuplonej administracji miałoby dołączyć Ministerstwo Kapitału Ludzkiego, które skupiłoby kompetencje Ministerstw Rozwoju Społecznego, Edukacji i Zdrowia.

Postulaty częściowej prywatyzacji sektora zdrowia i szkolnictwa mogą zresztą się okazać punktem zapalnym. Spoglądając w kierunku prywatnego szkolnictwa w Chile i rozwiązań promowanych w tekstach ojca neoliberalizmu Milтона

Sergia Massy, ministra ekonomii i kandydata rządzącej koalicji Unión por la Patria (Unia dla Ojczyzny), podczas debaty prezydenckiej poprzedzającej drugą turę. Javier Milei atakowany przez Masę, który próbował zmusić go do przyznania, że planuje wprowadzić obowiązkowe czesne na uniwersytetach, ważył słowa. Zapewniał, że zdrowie i edukacja to kluczowe sektory, które „pozostaną publiczne”, a opłaty za studia nie zostaną wprowadzone od razu.

Milei rysuje perspektywę kompletnego przemeblowania, „wywrócenia stolika”, jak mawiają w Polsce ci, którzy podpisaliby się pod pomysłami bonów na usługi publiczne. „Nie ma miejsca na półśrodki”, grzmiał, zapowiadając natychmiastowe prace nad reformami, by zasilić finanse państwa. Na ile jednak te plany mają rację bytu? Argentyna jest państwem federalnym, a więc na poziomie poszczególnych prowincji ważący głos chociażby w sprawach takich jak system edukacji czy ochrona zdrowia mają rządy regionalne.

Milei twarde obstaje przy zamknięciu banku centralnego i dolaryzacji kraju – absolutnie kluczowych projektach, które niewątpliwie przyniosły mu w kampanii największy rozgłos w mediach zagranicznych. Mówi, że to kwestia moralna i nadrzędna. Inicjatorem tych radykalnych zmian ma być Emilio Ocampo, były

bankier inwestycyjny na Wall Street i profesor ekonomii na UCEMA, prywatnym uniwersytecie w Buenos Aires. Twierdzi, że w obecnej sytuacji ekonomicznej dolaryzacja jest jedynym ratunkiem, opcją o najmniejszym prawdopodobieństwie niepowodzenia. Ocampo mówi, że spontaniczna dolaryzacja de facto już ma miejsce, bo Argentyńcy wolą mieć dolary niż peso. „Niestabilne peso jest głównym motorem wstrząsów w Argentynie”, pisze w tekście „Czas rzucić peso”. Orientacyjna data – nie później niż w kwietniu 2025 r. Najpierw jednak trzeba się uporać z galopującą inflacją.

Zbicie inflacji ma zająć od 18 do 24 miesięcy. Milei zapowiedział też, że wszystko, „co może być w rękach sektora prywatnego, trafi w ręce sektora prywatnego”, wskazując wśród spółek przeznaczonych do prywatyzacji koncern naftowy YPF i media państwowe.

Javier Milei będzie tak silny, jak silne będzie jego zaplecze polityczne. Jego partia La Libertad Avanza (Naprzód Wolność) ma zaledwie siedmiu spośród 72 senatorów i 38 z 257 posłów. Skuteczność w forsowaniu reform (co przełoży się na wiarygodność) w dużej mierze będzie więc zależała od sojuszy politycznych, od dogadywania się z establishmentem, który Milei tak krytykuje i od którego się odżegnuje. Prezydent elekt prowadzi intensywne rozmowy z liderami – jeszcze – opozycyjnej koalicji Juntos por el Cambio (Razem dla Zmiany) pod przewodnictwem Patricii Bullrich, która odpadła w pierwszej turze, i byłego prezydenta Mauricio Macriego (jedyna prezydentura spoza obozu UP w ciągu ostatnich 20 lat).

Gorzej chyba nie będzie

W polityce zagranicznej zastąpił mocnymi oświadczeniami o ograniczeniu kontaktów z komunistami z Chin i Brazylii, choć zaznaczył, że prywatni przedsiębiorcy mogą robić interesy, z kim chcą. Mercosur, unię gospodarczą między Argentyną, Paragwajem, Urugwajem i Brazylią, nazwał kompletną porażką i zapowiedział rozważenie opuszczenia tej struktury. To z kolei wprowa- ▶

► w zaniepokojenie Unię Europejską, która od dwóch dekad pracuje nad umową partnerską z latynoamerykańską inicjatywą.

Milei nie ukrywa, że zainteresowaniem darzy głównie Stany Zjednoczone. Porównuje się go często do Donalda Trumpa, a jemu samemu chyba takie aluzje nie przeszkadzają, bo w swoich mediach społecznościowych udostępniał rysunki przedstawiające obu panów w komitywie. Donald Trump oficjalnie też pogratulował mu wygranej, mówiąc, a jakże, o uczynieniu Argentyny ponownie wielką. Do gratulacji przyłączył się właściciel portalu X Elon Musk, a w Buenos Aires na ogłoszeniu wyników wyborów towarzyszyli zwycięzcy syn byłego prezydenta Brazylii, deputowany do parlamentu Eduardo Bolsonaro oraz delegacja reprezentująca ultrapravicową hiszpańską partię Vox. Szef Vox Santiago Abascal pośpiesznie złożył gratulacje za pośrednictwem mediów społecznościowych.

„Dziś zaczyna się odbudowa Argentyny. Czas dekadencji dobiegł końca. Nie ma powrotu. Dość zubożałego modelu kastowego, dziś opowiadamy się za wolnością, aby ponownie stać się światową potęgą. Kluczowe zasady, które nam

przyswiecają, to: państwo minimum, wolny handel i poszanowanie praw własności”, przemawiał z triumfem El León (Lew, ze względu na fryzurę) do zwolenników i dziennikarzy zgromadzonych w hotelu Libertador w Buenos Aires. Zbudowany na potrzeby mistrzostw świata w piłce nożnej rozegranych w Argentynie w 1978 r., hotel Libertador stał się nieformalnym centrum zarządzania libertariańskiej partii Libertad Avanza. To tu Milei przeżył wszystkie kluczowe momenty w swojej krótkiej, acz intensywnej karierze politycznej, poczynając od wejścia do parlamentu w 2021 r. Tutaj świętował zaskakujące zwycięstwo w sierpniowych prawyborach, musiał zaakceptować triumf ministra ekonomii Sergia Massy w pierwszej turze, tutaj wreszcie oczekiwał ostatecznych wyników wyborów prezydenckich. Wyników, które wywołały ekstazę lub zawód pomieszany ze strachem – nic pomiędzy. Wycieńczona kryzysem gospodarczym Argentyna mierzy się dodatkowo z rosnącą polaryzacją.

„Ile osób myśli na co dzień o liczbie znikniętych w czasie dyktatury? Ludzie skupiają się na tym, żeby przeżyć z dnia na dzień, a kirchneriści traktują sprawę ofiar junty instrumentalnie, wspominają o nich, tylko gdy opłaca im się to politycznie”, komentował w jednej z audycji publicystycznych dziennikarz Eduardo Feinmann, próbując tonować emocje niektórych komentatorów, przestrzegających przed powrotem dyktatury. „Takie porównania to szaleństwo”, podkreślał. W uznaniu Javiera Milei jako pełnoprawnego polityka z pewnością pomogło poparcie liderów opozycyjnej koalicji Juntos por el Cambio.

Peronizm, który stanowi główną siłę w argentyńskiej polityce od lat 40. XX w., doznał najdotkliwszej porażki w całej swojej historii. Stała się zachować obietnice Perona dotyczące sprawiedliwości społecznej, jest to jednak ruch mglisty i zmienny, który w ciągu dekad lawirował między prawicą, lewicą i centrum. Ma dużo frakcji, ale przez te wszystkie lata udało się forsować hasło, że peroniści w centrum stawiają słabszych i wykluczonych i pomagają im.

Koalicja pod przewodnictwem wiceprezydentki i byłej prezydentki Cristiny Fernández de Kirchner, która przejęła schedę po zmarłym mężu, prezydencie Néstorze Kirchnerze, ogłosiła się kontynuatorką peronizmu i niemal nieprzerwanie od prawie trzech dekad rozdawała karty w argentyńskiej polityce. Sama Cristina Fernández i kirchneryzm polaryzują społeczeństwo nie mniej niż Javier Milei. To dlatego w czasie kampanii wyborczej Sergio Massa niespecjalnie chwalił się jej poparciem, chciał uchodzić za kandydata, który, acz wywodzi się ze starej koalicji, reprezentuje nowe otwarcie.

Dla każdego peronizmu znaczy trochę co innego, dla wielu jego rola w Argentynie pozostaje istotna, choć jednak zmęczenie materiału, nie pomagają też kolejne doniesienia o korupcji i majątkach klasy rządzącej. Peronizm musi się wymyślić na nowo, jak zawsze to robił, będąc na rozdrożu. Czas pokaże, w jakim stopniu ton będzie nadawała CFK.

Z rozmów i wywiadów można wywnioskować, że gros wyborców oddało głos na Javiera Milei nie „za”, ale „pomimo” jego najbardziej kontrowersyjnych pomysłów. Sytuacja ekonomiczna to dla wielu absolutny priorytet. Nie pomogły kampanie UP ostrzegające, że ciągłość dopłat do transportu czy transferów pieniężnych zależy od pozostania peronistów u władzy. Owszem, okręgi takie jak Matanza, dzielnica Buenos Aires, gdzie byt dużej części mieszkańców jest zależny od bezpośrednich świadczeń socjalnych, zagłosowały za Massą, ale to nie wystarczyło. Pokolenie 20-, 30-latków praktycznie nie pamięta czasów bez kryzysu. Dlatego dla wielu młodych Milei to powiew świeżości w polityce, w której ciągle widzą te same twarze. Niektórzy uważają całą ideę peronizmu za przeżytek. Podoba im się, że Milei wytyka elitom ich przywileje, defraudowanie publicznych pieniędzy. Większość Argentyńczyków nie chce, żeby „było, tak jak było”. A jak będzie? „Na pewno nie gorzej”, mówi z przekąsem ci, którzy świętowali w wyborczy wieczór 19 listopada.

Katarzyna Mierzejewska



Lewomyślniej



Roman Kurkiewicz

Jeszcze niedawno nie podejrzewałem, że na giełdzie „skruszonych pisowców” liderem mógłby być legendarny agent Tomek, pupil twórców i szefów pisowskich służb specjalnych. A jednak wygląda na to, że zgłaszając się do prokuratury, zeznając w celu „odkupienia win”, ten najstynniejszy i najbardziej jawny „przykrywkowy”, rozrywkowy, bezskrupułowaty były policjant, poseł, ale przede wszystkim przodownik pracy Centralnego Biura Antykorupcyjnego (Antyopozycyjnego raczej?), wygrywa wyścig po laur świadka koronnego. Nie przesądzam o formalnej drodze do przyznania tego statusu Tomaszowi Kaczmarekowi. Tu na drodze do skrucy własnej, a tym samym aktu oskarżenia dla Gangu Olsena polskich służb specjalnych, wszechwładnej „trojki” Kamiński, Wąsik, Bejda, stanie zapewne kolejny „przenoszony” w nowy czas stary, zióbrowski prokurator. Do czasu. Ale jeśli chodzi o atrakcyjność medialną i realne zagrożenie dla niedawnych „panów życia i śmierci”,

w stanie przyćmić przygody redaktora Maja z legendarnego serialu lat 70. „Życie na gorąco”. W ostatnich latach życie polityczne prześcignęło zarówno kabaret (a nawet, można powiedzieć, patrząc na paroksyzmy nieoddawania władzy, wciąż bierze udział w wyścigu, w którym metę należało minąć 15 października), jak i seriale kryminalno-komediowe.

Ponieważ CBA Kamińskiego, Wąsika i Bejdy nie odnotowało niemal żadnych znaczących efektów śledczych w swojej doskonale opłacanej robocie (bo nie służbie przecież), oprócz nielegalnego nadużywania takiego narzędzia inwigilacji jak Pegasus, Biuro wypłynęło na szerokie wody przemysłu satyrycznego. A trzeba pamiętać, że ten serial ma dopiero zapowiadające go trailery, jeszcze nie wyemitowano pierwszego odcinka. Będzie na co patrzeć. Rumieńce na twarzach Wąsika i Ziobry (Kamińskiego chyba nie – ma po robespierre’owsku zaformalinowaną szarość twarzy) będą płonąć coraz jaśniej,

Cały ten koronny trud (smród)

przestępców skazanych przez sąd na karę więzienia, a decyzją Dudy ułaskawionych przedwcześnie (wyrok nie był jeszcze prawomocny, ale pisowcom bardzo się śpieszyło, żeby akurat nimi obsadzić aparat podsłuchów, prowokacji i przecieków), to agent Tomek jest spełnieniem snów twórców medialnych show. Wszak to on rozkochał operacyjnie posłankę Platformy, żeby sprowokować wręczenie i wzięcie łapówki, to on krążył jak sęp nad rzekomą ukrytą własnością prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego i Jolanty Kwaśniewskiej – willą w Kazimierzu Dolnym. Krążył i nie okrażył, bo sprawa była przez jego przełożonych, Wąsika i Kamińskiego, wyssana z ich fanatycznie antykomunistycznych paluchów. To on fotografował się półnagi z walizką „operacyjnych”, liczonych w miliony złotych. To on był pieszczochem i oczkiem w głowie, perłą w kartonowej koronie nowych, oddanych nie państwu, ale Jarosławowi Kaczyńskiemu służb.

Teraz chce wszystko ujawnić, bo – primo – ma dzieci i nie chce, żeby się taty wstydziły i musiały go odwiedzać w więzieniu, secundo – zrozumiał, że służył złej i bezprawnej sprawie, a tertio – służył już od jakiegoś czasu próbując go oskarżyć o prywatne malwersacje, kiedy się zbiesił i wymknął spod kurateli niedawnych patronów. Nie oceniam tych motywacji, radość z nawróconego grzesznika w naszym katolickim społeczeństwie winna być oczywista, a więzieniogenia (dla jego przełożonych) szczerłość agenta Tomka otwiera puszkę Pandory w historii skrajnie upartyjnego aparatu służb bezpieczeństwa. Serial zeznań realnego agenta Tomka jest chyba

nadając im urok biblijnego krzaku. Tak to już z fanatykami walki dobra ze złem jest. Przepisy i prawo są takie spowalniające, betonujące imposybilizm, który wielokrotnie piętnował patron nad patronami tej patologii – Jarosław „Bez trybu” Kaczyński.

Istotną częścią tego wypaczonego procederu i widowiska zarazem byli funkcjonariusze pisowskich mediów, o których agent Tomek mówi po nazwiskach: Kania, Sakiewicz, Pereira, Gmyz. Brali pełnymi garściami, teczkami tajne dokumenty ze śledztw, działań, inwigilacji, żeby potem z gębami pełnymi frazesów o polskich środkach masowego przekazu być dziennikarsko-partyjnym kastetem PiS. Dla wielu obserwatorów tych niepokornych harców było jasne, że tak to musiało wyglądać. Jednak czym innym będzie wysłuchiwanie tych historii na sali sądowej.

Dobrze, że ten agent Tomek ma dzieci i że pisowskie służby ze swoją nachalną amatorszczyzną chciały (wciąż chcą) ukarać tego, który się zbiesił i złamał omertę.

Absolutnie wiarygodnie brzmią deklaracje „skruszonego” agenta Tomka, że nikt nie wie tyle o przestępczych działaniach, łamaniu prawa i operacyjnych konfabulacjach Kamińskiego, Wąsika, Bejdy, co on sam właśnie. Były szef CBA, wyrzucony przez PiS Paweł Wojtunik, uważa zresztą, że w świetle tego, co już ujawnił Tomasz Kaczmarek, bardzo realnie zagrożone jest jego życie. Nie sprawia to wrażenia hysterii. Niech żyje zatem agent Tomek i zeznaje? Tak jest, odmaszerować. I po raz wtóry czekać na niezależny manewr ocalający Andrzeja Dudy.

Nazwać zbrodnie po imieniu

Tylko 8% Ukraińców negatywnie ocenia działalność OUN i UPA

Bohdan Piętko

12 października 2022 r. Centrum Badań Ruchu Wyzwoleńczego we Lwowie pochwaliło się na swojej stronie internetowej, że na Ukrainie podwoiła się liczba osób pozytywnie ustosunkowanych do OUN i UPA. „Autorzy badania zauważają, że w porównaniu z 2013 r. liczba Ukraińców pozytywnie nastawionych do UPA wzrosła około dwukrotnie. 43% obywateli pozytywnie ocenia działalność organizacji”, czytamy.

I dalej: „W dniach 7-13 września 2022 r. Kijowski Międzynarodowy Instytut Socjologii przeprowadził ogólnoukraiński sondaż opinii publicznej »Omnibus«. Badanie przeprowadzono metodą wywiadów telefonicznych. Instytut przebadł 1025 obywateli mieszkających we wszystkich regionach Ukrainy z wyjątkiem Krymu. Badanie zostało przeprowadzone wśród pełnoletnich obywateli Ukrainy, którzy w momencie badania zamieszkiwali na terytorium Ukrainy w granicach kontrolowanych przez władze ukraińskie do 24 lutego 2022 r.

W szczególności od 2013 r. liczba osób negatywnie oceniających działalność OUN i UPA zmniejszyła się pięciokrotnie. Wcześniej takich respondentów było 42%, a teraz jest ich 8%. W 2013 r. we wszystkich regionach z wyjątkiem Zachodu [Ukrainy – uzupełn. BP] było więcej osób negatywnie oceniających działalność OUN i UPA niż oceniających ją pozytywnie. **W 2022 r. we wszystkich regionach odsetek oceniających pozytywnie przewyższa odsetek oceniających negatywnie** [podkreśl. – BP]. Jednocześnie istnieje tendencja, że im dalej na Zachód, tym wyraźniejsze są

oceny pozytywne. Ukraińskojęzyczni Ukraińcy najlepiej oceniają OUN i UPA – 52% ocen pozytywnych wobec 5% ocen negatywnych. Wśród dwujęzycznych Ukraińców wskaźnik ten wynosi 34% do 6%, a wśród rosyjskojęzycznych Ukraińców – 36% do 11%. We wszystkich regionach poza Krymem (i przypuszczalnie Donbasem) odsetek pozytywnie oceniających OUN/UPA przewyższa odsetek oceniających je negatywnie. Czy to tylko skutek rosyjskiej agresji na Ukrainę z 24 lutego 2022 r., czy coś więcej? (...)

Amerykański sowietolog i badacz zagadnień nacjonalizmu John A. Armstrong Jr. w monografii „Ukrainian Nationalism 1939-1945” przedstawił pogląd, że pierwszych

Rada Najwyższa Ukrainy podjęła uchwałę o uczczeniu w 2020 r. lidera OUN-M Andrija Melnyka oraz zastępcy komendanta głównego UPA Wasyla Sydora „Szełesta”, który bezpośrednio kierował mordowaniem Polaków w Małopolsce Wschodniej.

śladów tworzenia się ideologii nacjonalizmu ukraińskiego należy szukać w twórczości Tarasa Szewczenki, Iwana Franki, Mykoły Kostomarowa, a w szczególności Mychajła Hruszewskiego, „który być może bardziej niż ktokolwiek inny zasługuje na tytuł ojca ukraińskiego nacjonalizmu”.

Wsparcie dla uchodźców

Z kolei według badania socjologicznego Centrum Dialogu im. Juliusza Mieroszewskiego jedynie 14% Ukraińców uznało jakkolwiek odpowiedzialność UPA za ludobójstwo wołyńsko-małopolskie. Ponad dwa razy więcej (36%) uważało, że wina leżała po obu stronach, 8% twierdziło, że to Polacy mordowali

Ukraińców, a 42% nie miało zdania na temat rzezi wołyńskiej. Wicedyrektor Centrum, dr Łukasz Adamski, zaznaczył, że badanie przeprowadzono na fali bardzo pozytywnych ocen Polski i Polaków, spowodowanych radykalnym wsparciem politycznym dla Ukrainy ze strony polskiego rządu oraz pomocą humanitarną, jakiej doświadczyli w Polsce uchodźcy wojenni z Ukrainy. Zastrzegł, że „taki sondaż zmierzy nastroje chwili, które mogą później trochę się ochłodzić”.

Ukraiński IPN (UINP) uczcił Dzień Obrońcy Ojczyzny w 2022 r., czyli 80. rocznicę domniemanego utworzenia UPA, internetowym maratonem promującym UPA, w kontekście trwającej wojny rosyjsko-ukraińskiej. W ramach projektu realizowanego przez UINP

i Narodowe Muzeum Rewolucji Godności – transmitowanego w serwisie YouTube i na Facebooku – można było wysłuchać wspomnień żołnierzy walczących na froncie o swoich przodkach w UPA i wideowspomnień „o wyczynach i walkach powstańców” oraz zapoznać się z wypowiedziami historyków zajmujących się historią UPA (czyli krzewieniem jej tendencyjnej wersji), takich jak Iwan Patrylak, Maryna Mirzajewa, Mykoła Posiwnycz i Olesia Onysko.

1 stycznia 2023 r. tradycyjnie już świętowano na Ukrainie rocznicę urodzin Stepana Bandery. Tym razem z powodu wojny przez Kijów nie przeszedł marsz organizacji odwołujących się do tradycji OUN/UPA. Ale wydarzyło się coś, czego nie było

w poprzednich latach. Mer Lwowa Andrij Sadowy, przedstawiciele lokalnych władz i licznie zgromadzeni mieszkańcy miasta złożyli kwiaty pod pomnikiem Stepana Bandery, natomiast Rada Najwyższa Ukrainy zamieściła wpis z okazji rocznicy jego urodzin. Na profilu internetowym parlamentu umieszczono zdjęcie głównodowodzącego sił zbrojnych, gen. Walerija Załużnego, na tle portretu Bandery. Obok wstawiono domniemany cytat z lidera OUN-B: „Kiedy, wybierając pomiędzy chlebem i wolnością, naród opowiada się za chlebem, ostatecznie traci wszystko, w tym również chleb. Jeśli naród wybiera wolność, wówczas będzie miał chleb stworzony przez siebie i nikt mu go nie odbierze. [...] Całkowite i ostateczne zwycięstwo ukraińskiego nacjonalizmu nastąpi wówczas, gdy imperium rosyjskie przestanie istnieć”. W cytacie o chlebie i wolności Bandera wygląda jak wolnościowy demokrat. Tak jest przedstawiany. Ja znam nieco inne cytaty, gdzie była mowa o „twórczym terrorze” i braku litości wobec „wrogów nacji”.

Tego samego 1 stycznia 2023 r., czyli w rocznicę urodzin Bandery, Wołodymyr Wjatrowycz – były szef Ukraińskiego IPN, który odegrał wiodącą rolę w nakręceniu heroizacji OUN/UPA na Ukrainie – napisał z satysfakcją na swoim profilu na Facebooku: Бандеризацією України задоволений (Jestem zadowolony z banderyzacji Ukrainy).

Sądzę, że nie tylko on jest zadowolony. Jeszcze bardziej zadowolony musi być prezydent Putin, gdyż to uwiarygadnia jego twierdzenia, że Ukraina została opanowana przez banderowców i neonazistów, a Rosja ma obowiązek uwolnić ją od nich przy użyciu siły zbrojnej. Przywódców nacjonalizmu ukraińskiego z Bandera na czele zawsze cechował brak zdolności realnej oceny sytuacji i podejmowania racjonalnych działań, co w konsekwencji doprowadziło do ich

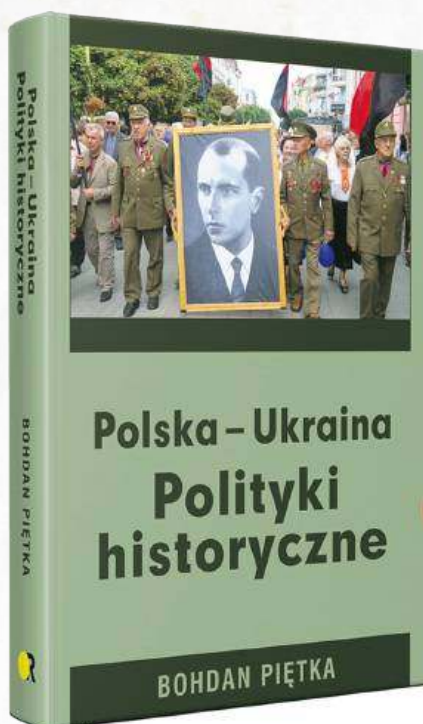
całkowitej klęski. Ten brak realizmu i zgubne oderwanie od rzeczywistości widać również u ich współczesnych epigonów, a sam Wjatrowycz chyba nie jest tego świadomy.

Cień heroizacji OUN/UPA

(...) Rada Najwyższa Ukrainy wielokrotnie po 2014 r. upamiętniała uchwałami różne postacie najradkalniejszych nurtów nacjonalizmu ukraińskiego. I tak w grudniu 2019 r. podjęła uchwałę o uczczeniu w 2020 r. na poziomie państwowym lidera OUN-M Andrija Melnyka oraz

zastępcy komendanta głównego UPA Wasyla Sydora „Szełesta”, który bezpośrednio kierował mordami popełnianymi na Polakach w Małopolsce Wschodniej.

Jak zatem ułożą się stosunki Ukraińców z Polakami – narodem, który po 24 lutego 2022 r. okazał im największą pomoc i solidarność? Bo heroizacja OUN/UPA jest tym cieniem, który normalne ułożenie tych stosunków wyklucza. Nie pytam o stosunki polityków polskich z politykami ukraińskimi, ponieważ politycy polscy w imię swojej polityki wspierania Ukrainy pomajdanowej przełkną wszystko, a dla wielu z nich problemem nie jest heroizacja OUN/UPA na Ukrainie, ale to, że społeczeństwo polskie, czyli ich wyborcy, tej heroizacji w większości nie akceptuje. Na kłamstwie lub półprawdzie ▶



Nowa książka PRZEGLĄDU!

50 zł

POLSKO-UKRAIŃSKI SPÓR O HISTORIĘ

KULT BANDERY I SZUCHEWYCZA

Bohdan Piętka, historyk, autor PRZEGLĄDU



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl lub wpłać na konto:
72 1090 2851 0000 0001 2023 9821 Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
Darmowa wysyłka listem nierejestrowanym Poczta Polska.

nie da się jednak zbudować niczego trwałego. Dlatego pytam, jak ułożyć się stosunki tzw. zwykłych Ukraińców z tzw. zwykłymi Polakami w sytuacji radykalnego wzrostu wśród tych pierwszych po 24 lutego 2022 r. postaw nacjonalistycznych i afirmacji OUN/UPA. Na pytanie to nie potrafię udzielić odpowiedzi. Wiem tylko, że bez wyrwania ciernia, jakim jest heroizacja i zakłamywanie historii OUN/UPA na Ukrainie, stosunki te nigdy nie ułożą się normalnie. Politycy polscy i ukraińscy mogą oczywiście oficjalnie udawać, że wszystko jest OK, ale faktycznie nie będzie OK.

**1 stycznia 2023 r. Wołodimir Wjatrowycz, były szef Ukraińskiego IPN, napisał:
Jestem zadowolony z banderyzacji Ukrainy.**

3 maja 2022 r. prezydent Andrzej Duda, dziękując Polakom za otwarcie swoich domów i serc dla uchodźców wojennych z Ukrainy, stwierdził: „W jakimś sensie można powiedzieć, że tak, że w całym ogromie tej historii, przecież w ostatnich stuleciach tak trudnej, gdzie na wspólnym stole między Polakami a Ukraińcami tak często leżał karabin, topór, broń, został położony chleb. Została położona dłoń na dłoń”.

Niecałe dwa miesiące później ambasador Ukrainy w Berlinie Andrij Melnyk (od 18 listopada 2022 r. wice-minister spraw zagranicznych Ukrainy) zaprzeczył, że banderowcy masowo mordowali Polaków i Żydów, oraz powtórzył tendencyjne tezy nacjonalistów ukraińskich na temat stosunków polsko-ukraińskich w 20-leciu międzywojennym.

Uporanie się z cierniem przeszłości w stosunkach polsko-ukraińskich jest możliwe. Trzeba tylko nazwać zbrodnie popełnione przez OUN/UPA i sprawców tych zbrodni po imieniu, ekshumować oraz upamiętnić ofiary i w ten sposób raz na zawsze zamknąć tę historię. Tego jednak strona ukraińska nie chce zrobić, ponieważ oznaczałoby to negatywną weryfikację heroicznej historii OUN/UPA, która stanowi kluczowy element polityki historycznej Ukrainy pomajdanowej. Natomiast politycy

polscy nie mają odwagi postawić tej sprawy otwarcie w obawie, że stracą strategicznego partnera swojej polityki wschodniej.

Pomniki ofiar i katów

Jeśli zatem politycy polscy (mimo wielokrotnych deklaracji) i ukraińscy nie potrafią załatwić tej sprawy, może powinni ją załatwić sami Polacy i Ukraińcy w dialogu bezpośrednim? Wydaje się, że w sytuacji, gdy polska ręka położyła na stole chleb, powinno to być możliwe. Ja osobiście jestem gotowy przełknąć pomniki

OUN i UPA zdobiące zachodnią Ukrainę. Nie będę Ukraińcom dyktował, jakich mają mieć bohaterów narodowych. Je-

żeli chcą mieć takich, to niech mają. Chciałbym tylko, żeby strona ukraińska wyraziła zgodę na ekshumację ofiar ludobójstwa na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, których kości leżą zasypane w studniach lub zakopane na polach i w lasach, oraz na ich godne upamiętnienie.

Tylko czy pomniki tych ofiar mogą stać niemal obok pomników ich katów? To przecież będzie zaprzeczenie jakiegokolwiek logiki uprawianej na Ukrainie narracji historycznej. Tutaj koło się zamyka.

Polscy politycy nie mają odwagi postawić sprawy zbrodni OUN/UPA otwarcie w obawie, że stracą strategicznego partnera swojej polityki wschodniej.

Rosnąca wśród Ukraińców akceptacja dla OUN/UPA (zapewne także dywizji Waffen-SS Galizien, bo to też część historii nacjonalizmu ukraińskiego) z jednej strony, a z drugiej strony obecne również w Polsce antyukraińskie postawy części środowisk nacjonalistycznych, które sprawy ludobójstwa wołyńsko-małopolskiego używają wyłącznie do jątrzenia, muszą skłaniać do wniosku, że droga do wzajemnego zrozumienia jest jeszcze długa. Nie załatwią tego zakłęcia, że konflikty służą polityce Rosji, co skądinąd jest prawdą.

Jestem świadomy, że Ukraińcy nie przyjmą polskiego punktu widzenia na swoją historię, w tym historię OUN/UPA, ale powinni przyjąć do wiadomości podstawowe fakty historyczne dotyczące zbrodniczego charakteru tych formacji – fakty negowane lub relatywizowane przez politykę historyczną ich państwa. Normalne relacje międzynarodowe, w tym wypadku polsko-ukraińskie, można budować tylko i wyłącznie z wzajemnym poszanowaniem prawdy historycznej. Powinno to być tym łatwiejsze, że współczesna Ukraina nie potrzebuje już Bandery i Szuchewycza oraz sztucznie budowanych legend wokół OUN/UPA, ponieważ po 24 lutego 2022 r. ma prawdziwych bohaterów i męczenników.

Bohaterstwo obrońców Ukrainy z 2022 r. historia zapamięta i doceni. A jednak duża część Ukraińców i ich elit politycznych nie potrafi wyjść z tego zakłętego kręgu, w który zostali wprowadzeni przez politykę historyczną ekip Juszczuki i Poroszenki.

Z dzisiejszej perspektywy, z perspektywy zbrodniczej wojny wypowiedzianej Ukrainie przez putinowską Rosję, widać, że ukraińska polityka historyczna o wektorze tak silnie nacjonalistycznym i antyrosyjskim była posunięciem ryzykownym. Z powyższym stwierdzeniem zapewne nie zgodzą się współcześni nacjonałści ukraińscy (lub tylko Ukraińcy afirmujący

mit nacjonalistyczny) ani różni piewcy przyjaźni polsko-ukraińskiej w Polsce (w tym ci od budowy Międzymorza i federacji polsko-ukraińskiej). Nie zależy mi na tym, żeby się ze mną zgodzili. Może jednak zgodzą się z tym historycy, także ukraińscy, którzy będą analizować dzisiejsze wydarzenia za 50 lat. Z perspektywy czasu zawsze widać lepiej. (...)

Bohdan Piętko

Tekst pochodzi z książki Bohdana Piętki „Polska – Ukraina. Polityki historyczne”, wydanej przez „Przegląd”.

Oko w oko



Tomasz Jastrun

Burzliwy czas przejściowy

PiS zastawiło na Tuska kilka pułapek, nie jedną, i samo wpadło. Sytuacja jest coraz bardziej niezręczna. Już czekam, podobnie jak miliony Polaków, na zaprzysiężenie nowego rządu z Tuskiem. Tak czeka się na wielką przyjemność. Aż miłe stało się to, co zwykle martwi – że dni za prędko płyną, a życie ucieka. Tymczasem Morawiecki montuje swój kabaret. Bardzo trafne słowa Jerzego Baczynskiego, szefa „Polityki”: „Kaczyński wciąż panuje nad swoją formacją i właśnie zdefiniował jej rolę w nowym parlamencie: podzielił Sejm na część polską i niemiecką; Tusk jest zarządcą Generalnej Guberni, Kaczyński przywódcą państwa podziemnego, Morawiecki żołnierzem wyklętym. Takie mamy mieć teraz historyczne jasełka”.

PiS jest pod presją i w tym ciśnieniu następuje unifikacja jego postów i polityków, zaczynają wyglądać tak samo, jak klony, mówić to samo. Ale taka unifikacja zawsze ma miejsce w sekcie. Tusk wyrósł na wybitnego polityka, miał opinię zdolnego, ale leniwego, w tej kampanii wykazał niesłychaną pracowitość. I jego świetny kontakt z ludźmi. Jest z nimi na tyle blisko, by czuli jego ciepło, a na tyle z dystansem, by czuli, że wie więcej od nich. Nawet jego przegrana w debacie z Hołownią w TVP przysłużyła się sprawie. I oto rośnie drugi polityk, myślę o Hołowni, który zaczyna mieć charakter. Tego nie było na początku jego politycznej drogi, to polityczny seksapil; okazuje się, że czasami można się tego nauczyć, jeśli ma się zarodek talentu. PiS oczywiście zaczyna Hołownię opluskwać, ale jest kłopot – to przecież głęboko wierzący katolik, autor książek o tematyce religijnej, nie ma przeszłości politycznej, nawet żonę ma świetną i patriotyczną – jest pilotem myśliwca. Generalnie to mucha nie siada. Co do Tuska pisowcy przesadzili. I zaczęli być obsesyjni i śmieszni.

Sekta smoleńska, jak to po wielkiej klęsce, potrzebowała trochę czasu, by dotarło do ich świadomości, co się stało; tak to bywa, gdy człowiek ogłuszony wybuchem i skołowany. Przeciwny wyborca PiS czuje teraz wielki niepokój. Przecież Tusk to agent, lump, Niemiec, współwinnny katastrofy smoleńskiej, sprzedał Polskę Niemcom i Putinowi, zniknie polskie państwo, będzie niemiecki land, poza tym tuskowcy są tak nefachowi, że doprowadzą kraj do ruiny, a co można – rozkradną. Miliony pisowców z tym się budzą i z tym zasypiają. Od znajomych, którzy mają bliskich w sekcie pisowskiej, wiem,

że tam wszyscy śmiertelnie przerażeni. I nie rozumiejąc, jak działa demokracja, nie mogą się nadziwić, dlaczego nie zamknie się zdrajcy Tuska, a jego zwolenników nie wtrąci do więzień. Jakiś zamach stanu by serdecznie poparli.

Oglądałem w TVP mecz Polska-Czechy, eliminacje do mistrzostw Europy, niełatwo było mi wejść na ten nikczemny kanał. I ku swojemu zdumieniu po raz pierwszy od ośmiu lat kibicowałem polskiej drużynie. Do tej pory przeszkadzało mi, że drużyna nazywa się narodowa, że Kurski i Duda bywali na meczach reprezentacji i że stadion nazywa się narodowy. Wielu znajomych miało podobny problem. Odbyskujemy teraz naród, biało-czerwoną flagę i hymn narodowy, nie szkodzi, że humorystycznie archaiczny, z szablą i z Napoleonem, który Polskę miał w dupie.

Znajomy senator, który siedział obok Dudy na inauguracji nowego Senatu, mówił mi, że prezydent był cały upudrowany. Problem, że ma ten puder też w głowie. Są liczne rozważania mądrych publicystów, jakie plany

Doczekaliśmy czasu, że jest siła polityczna, która straszy Polskę zachodnią Europą, a nie Rosją. Kto by się spodziewał.

ma Duda, dlaczego stworzył Morawieckiemu okazję, by się ośmieszył, a PiS – by jego ludzie oddalili się z pola przegranej bitwy, dźwigając wory łupów. Te rozważania są o wiele bardziej wyrafinowane niż sam Duda, który wyrafinowany nie jest.

PiS straszyło i będzie straszyć powołaniem zjednoczonych stanów Europy, sfederalizowanego organizmu, w ramach którego poszczególne państwa będą miały dużą autonomię. A ja jestem za tym. Tylko taka Europa poradzi sobie z wyzwaniem czasu. I to oznacza nie koniec Polski, tylko jej szybszy rozwój. Nasza prawica wierzy w instynkt narodowy, że zabiorą nam ukochaną złotówkę, a nawet język, zaczniemy mówić po europejsku, czyli po niemiecku. W każdym razie doczekaliśmy czasu, że jest w kraju siła polityczna, która straszy Polskę zachodnią Europą, a nie Rosją. Kto by się spodziewał.

Dlaczego polityka historyczna zbankrutowała?

Czy polityka historyczna jest Polsce potrzebna? Tak.
Czy powinna być ona realizowana jak dotychczas? Nie

Krzysztof Wasilewski

Polityka historyczna zawsze budziła w Polsce kontrowersje. Odkąd na początku XXI w. w debacie publicznej pojawiły się pytania o to, jak – i czy w ogóle – państwo powinno kształtować narrację historyczną, wciąż odpowiedzi nie są zgodne. Tak to zazwyczaj bywa nad Wisłą, że popadamy z jednej skrajności w drugą. Albo państwo całkowicie pozbawia się wpływu na pamięć zbiorową obywateli, albo próbuje ją odgórnie ustanowić, bez oglądania się na potrzeby i nastroje społeczne. W konsekwencji trudno mówić

Paradoksalnie w epoce rewolucji technologicznej, aby dowiedzieć się czegoś o sobie, coraz częściej sięgamy do przeszłości. Jeden z najwybitniejszych francuskich historyków, Jacques Le Goff, zauważał, że obecnie „cały świat współczesny produkuje coraz więcej pamięci zbiorowych, a historia jest pisana w znacznie większym stopniu niż kiedyś pod wpływem właśnie tych pamięci zbiorowych”. Nic zatem dziwnego, że pamięć zbiorowa znajduje się w kręgu zainteresowania polityków. Nie tylko w Polsce, lecz i na całym świecie. Współcześnie przyjmuje się, że polityka historyczna jest czymś naturalnym. Czymś, co każda władza

kanonu lektur, dopuszczanie do obiegu podręczników szkolnych czy fundowanie grantów badawczych państwo sprawuje kontrolę nad dominującą narracją o przeszłości. Wreszcie pamięć zbiorowa jest kształtowana także przez wymiar sprawiedliwości, który może penalizować pewne opinie dotyczące historii, np. negację Holokaustu.

Osiem lat regresu

Ten wstęp teoretyczny potrzebny był do oceny dotychczasowej polityki historycznej i wskazania jej ewentualnych modyfikacji. Nie ulega wątpliwości, że minione osiem lat przyniosło regres w sferze kształtowania pamięci. Jest to być może kontrowersyjna teza, gdy weźmie się pod uwagę, ile środków i energii rząd Zjednoczonej Prawicy przeznaczył na różnego rodzaju inicjatywy nakierowane na politykę historyczną. Rekordowy budżet Instytutu Pamięci Narodowej (od 249 mln zł w 2015 r. do ponad 539 mln w roku bieżącym i niemal 649 mln zaplanowanych w budżecie na rok 2024), powołanie nowych instytucji pamięci (to m.in. Instytut Pileckiego, Instytut Dziedzictwa Myśli Narodowej im. Romana Dmowskiego i Ignacego Paderewskiego, Instytut Strat Wojennych im. Jana Karłowicza), utworzenie nowych muzeów (Muzeum Getta Warszawskiego, Muzeum Polaków Ratujących Żydów, Muzeum Pamięć i Tożsamość im. św. Jana Pawła II) oraz współprowadzenie wielu muzeów regionalnych – lista jest imponująca.

Gdy jednak spojrzeć na to, jak powyższe wpłynęło na świadomość społeczną, tj. na nasze rozumienie

Państwo może realizować politykę historyczną poprzez tworzenie przestrzeni symbolicznej, instytucje pamięci, system szkolnictwa i nauki oraz wymiar sprawiedliwości.

o jakiegokolwiek stabilności i kontynuacji w tej sferze.

Tymczasem pamięć jest jednym z elementów budujących każdą wspólnotę. Odniesienia do wspólnych doświadczeń z przeszłości – nawet jeśli nie były one udziałem nas samych, a jedynie naszych przodków – integrują społeczeństwo i tworzą poczucie jedności wśród jego członków. Warto zaznaczyć, że pamięć zbiorowa, bo o niej mówimy, dotyczy zarówno zapamiętywania, jak i zapominania. Innymi słowy, w kształtowaniu naszej tożsamości równie ważną rolę co wspólne wspomnienia odgrywają wspólne amnezje, dotyczące najczęściej tych wydarzeń i osób, które mogłyby zakwestionować spójną wizję historii.

może i powinna stosować – zarówno wewnątrz państwa, jak i w relacjach międzynarodowych.

Każde państwo ma do dyspozycji co najmniej cztery narzędzia realizowania polityki historycznej. Najważniejszym jest tworzenie przestrzeni symbolicznej, np. poprzez budowanie (lub niszczenie) pomników, ustanawianie świąt narodowych czy wskazywanie sposobów ich wspólnej celebracji. Do tego ostatniego celu państwo wykorzystuje kolejne narzędzie – instytucje pamięci. Są one bezpośrednio odpowiedzialne za kształtowanie pamięci zbiorowej, a należą do nich m.in. muzea, centra kultury, instytuty badawcze, biblioteki itp. Równie istotny jest system szkolnictwa i nauki. Przez tworzenie

przeszłości, teza o zmarnowanych ośmiu latach przestaje się wydawać tak zaskakująca. Większość działań podejmowanych przez powyższe instytucje miała ograniczony zakres, nakierowany głównie na jedną grupę odbiorców, o już ukształtowanych poglądach, także na przeszłość. Co więcej, zostały one zaangażowane do codziennej walki politycznej. To prawda, że polityka historyczna realizuje bieżące cele, lecz nie może być używana jedynie do ataku na partie opozycyjne i ich zwolenników. Tymczasem przez ostatnie osiem lat cały aparat państwa został zaangażowany niemal wyłącznie do tego.

czy zmiany prawa reprivatyzacyjnego w 2021 r., Warszawa stała na straconej pozycji. Nie inaczej było z powołaniem wspomnianego już Instytutu Strat Wojennych, który działalność koncentrował bardziej na polityce wewnętrznej niż na rzeczywistym zaangażowaniu w międzynarodową dyskusję.

Polityka historyczna a demokracja

Dlaczego pomimo zaangażowania tak znacznych zasobów finansowych i ludzkich dotychczasowa polityka historyczna zbankrutowała?

małe efekty. Nawet jeśli polska pozycja w światowej debacie historycznej nie pogorszyła się znacząco w stosunku do 2015 r., to z pewnością się nie poprawiła, a przecież tym rządzący tłumaczyli pompowanie budżetów i powoływanie nowych jednostek. Na krajowym podwórku centralizm doprowadził do dramatycznego spadku zaufania społecznego do historyków i humanistyki jako takiej. Odwrócenie tych negatywnych skutków potrwa lata.

Co dalej?

Co zatem powinien zrobić nowy rząd? Bez względu na to, jakie zapadną decyzje wobec istniejących instytucji – zarówno tych z wieloletnim doświadczeniem, np. IPN, jak i tych o wiele młodszych, takich jak Instytut Pileckiego – należy dokonać gruntownej decentralizacji polityki historycznej na każdym poziomie. Już teraz wiele instytucji regionalnych i lokalnych może się poszczycić licznymi sukcesami. Do najbardziej widocznych należą Centrum Historii Zajezdnia we Wrocławiu i Fundacja Ośrodka KARTA, ale też w wielu mniejszych miastach

Budżet Instytutu Pamięci Narodowej wzrósł z 249 mln zł w 2015 r. do ponad 539 mln w roku bieżącym. Na rok 2024 zaplanowano prawie 649 mln.

Za przykład może posłużyć zmiana podstawy programowej historii w ubiegłym roku i wprowadzenie przedmiotu historia i teraźniejszość oraz lansowanie przez państwo podreżnika autorstwa prof. Wojciecha Roszkowskiego. O błędach rzeczowych i zaciętrzewieniu ideologicznym tej publikacji napisano już wiele, nie ma zatem sensu ich przypomnienie. Z podobną gracją władze doprowadziły do zmian w wystawie stałej Muzeum II Wojny Światowej w Gdańsku, wpały kult „żołnierzy wyklętych” czy dbały o „dobre imię” Jana Pawła II. Efekt tych działań za każdym razem był taki sam.

Bilans międzynarodowego wymiaru polskiej polityki historycznej jest równie kiepski. Dwie nowelizacje ustawy o Instytucie Pamięci Narodowej, z 2016 i 2018 r., mające umocować prawnie „ochronę dobrego imienia” Polski, a w konsekwencji ograniczające debatę naukową, doprowadziły do drastycznego spadku wiarygodności naszego kraju na świecie. W konsekwencji nawet tam, gdzie polskie władze miały obiektywną rację, np. w wypadku sprzeciwu wobec planów usunięcia pomnika katyńskiego w New Jersey w 2018 r.

Padająca często odpowiedź, że realizowały ją nieprzygotowane do tego osoby, jest błędna. Cokolwiek by mówić o Zjednoczonej Prawicy, to jednak przez ostatnie kilkanaście lat wykształciła całkiem spore i zdolne grono działaczy, dobrze rozumieją-

Polityka historyczna nie może być używana jedynie do ataku na partie opozycyjne i ich zwolenników. Tymczasem przez ostatnie osiem lat cały aparat państwa został zaangażowany niemal wyłącznie do tego.

cych znaczenie kultury we współczesnym świecie. Dlatego odpowiedzi należy szukać gdzie indziej, a mianowicie w samym rozumieniu polityki historycznej, utożsamianej przez prawicę z odgórnym sterowaniem i kontrolą badań. Być może przyniosło to pożądany rezultat w epoce kształtowania się państw narodowych w XIX w., lecz w warunkach XXI w. musiało skończyć się klęską.

W demokracji liberalnej centralne zarządzanie w tak wrażliwych sferach jak kultura i nauka nie sprawdza się. W ten sposób wrzucanie co roku do budżetu IPN i innych instytucji pamięci setek milionów złotych przyniosło niewspółmiernie

realizowane są interesujące i ważne – dla tamtejszych społeczności – inicjatywy. Wystarczy wspomnieć chociażby olsztyńską Borussię, Ośrodek Pogranicze – Sztuk, Kultur, Narodów w Sejnach czy Ośrodek Brama Grodzka – Teatr NN w Lublinie.

W całym kraju funkcjonuje sieć archiwów społecznych. Stowarzyszenia, towarzystwa, a nawet osoby prywatne dobrowolnie i oddolnie budują pamięć zbiorową nie tylko lokalną, ale i narodową. Trzeba wesprzeć tego rodzaju inicjatywy poprzez system grantów. Środki na ten cel można pozyskać bądź z likwidacji dotychczasowych centralnych instytucji pamięci, bądź przez zdecydowane uszczuplenie ich budżetów. ►

W rezultacie państwo powinno w większym stopniu scedować politykę historyczną na podmioty z poziomu regionalnego. Tworząc dotacje celowe lub programy grantowe, władze centralne zachęcałyby samorządy do wspierania lokalnych instytucji pamięci czy bliższej współpracy z uczelniami. To ostatnie jest szczególnie ważne w perspektywie nowego spojrzenia na funkcje i cele nauki polskiej. Poprzez dofinansowanie badań regionalnych, we współpracy z samorządami, uczelnie regionalne mogłyby w pełni zrealizować swoją trzecią misję – jako instytucji współkształtujących życie kulturalne i społeczne regionu. Zgoda, że także samorządy są upolitycznione, jednak praktyka pokazuje, że przynależność partyjna nie ma aż takiego znaczenia w spojrzeniu na sprawy „małej ojczyzny”, w tym jej historię.

Warto też pamiętać, że w Polsce sprawnie i aktywnie działa sieć archiwów państwowych. W mniejszych miastach należą one do czołowych ośrodków badawczych i popularyzujących historię narodową oraz lokalną. Dlaczego zatem nie przekazać im – wraz z odpowiednim finansowaniem – zadań badawczych i edukacyjnych prowadzonych do tej pory przez oddziały Instytutu Pamięci Narodowej? Byłoby to rozwiązanie kompromisowe, pozwalające państwu zachować wpływ na realizowaną politykę historyczną, lecz za pośrednictwem instytucji znacznie mniej upolitycznionej i kontrowersyjnej.

Podobne rozwiązania można zastosować w międzynarodowym aspekcie polityki historycznej. Bez zagłębiania się w ocenę działalności takich instytucji jak Instytut Pileckiego należy zauważyć, że przez naszych zagranicznych partnerów są one oceniane jako kontrowersyjne i mało wiarygodne – z samego faktu bycia agendą rządową. Optymalne byłoby zatem stworzenie sieci centrów badań historycznych PAN, na wzór tego działającego od 2006 r. w Berlinie. Zlokalizowane w wybranych stolicach i odpowiednio finansowane mogłyby z powodzeniem brać udział w debatach historycznych w goszczących je państwach i w ten sposób przedstawiać polski punkt widzenia.

Zachować to, co dobre

Wreszcie nie można zapominać o tym, co Zjednoczonej Prawicy się udało i co warto zachować. Pozytywnie trzeba ocenić wzmocnienie instytucji o wieloletniej tradycji, mających spory dorobek, a nad którymi przed 2015 r. zawisło widmo zamknięcia. Mam tu na myśli Instytut Zachodni w Poznaniu, Instytut Śląski w Opolu i Instytut Północny w Olsztynie. Błędem byłoby odcinać je od wsparcia tylko dlatego, że zostały dowartościowane przez obóz prawicy. Podobnie, jeśli chodzi o muzea regionalne, które Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego zgodziło się współprowadzić. W wielu przypadkach była to decyzja ratująca ich byt i pozwalająca na w miarę stabilny rozwój. Nie może być jednak mowy o odgórnym decydowaniu o wystawach i projektach realizowanych przez te instytucje, jak to często miało miejsce w ostatnich latach.

Działać skutecznie

Decentralizacja polityki historycznej spowoduje, że dla społeczeństwa stanie się ona bardziej przyjazna, a przez to skuteczniejsza. Brutalną konfrontację konserwatywnej narracji historycznej z liberalną – z czym mieliśmy do czynienia przez ostatnie dekady – zastąpi bowiem uwzględnianie różnych nurtów i spojrzeń na przeszłość. Dzięki temu obok dotychczasowych bohaterów naszej wyobraźni historycznej znajdzie się miejsce dla nowych, którzy do tej pory nie mieli szans dotrzeć do narodowego kanonu pamięci. Tym samym polska polityka historyczna stanie się bardziej atrakcyjna także na zewnątrz.

Nowy rząd ma do podjęcia konkretne decyzje. W tak newralgicznej kwestii jak polityka historyczna może być trudno o zgodę między trzema podmiotami politycznymi o różnych korzeniach ideowych i historycznych. Planem minimum musi być zatem zmiana struktury IPN – największej, a zarazem najbardziej kontrowersyjnej i w znacznej mierze skompromitowanej instytucji pamięci. Jeśli miałaby ona pozostać, skład

kolegium IPN powinien odzwierciedlać nie tylko zróżnicowane opcje polityczne, ale i różne perspektywy, np. lokalną, mniejszościową, pokoleniową itp.

Szansą na uczynienie z IPN instytucji pasującej do demokratycznego państwa będzie wyodrębnienie z niego pionu prokuratorskiego oraz przeniesienie funkcji badawczych i edukacyjnych do regionalnych uczelni, oddziałów archiwów państwowych i stowarzyszeń. W takiej sytuacji ograniczony kadrowo i finansowo IPN miałby za główne zadanie koordynację różnych inicjatyw realizowanych przez wspomniane instytucje.

Postulowane zmiany w sposobie prowadzenia polityki historycznej nie mogą oznaczać zmniejszenia środków na badanie i popularyzację historii. Byłoby bowiem niewybaczalnym błędem, gdyby ewentualna likwidacja IPN i pozostałych instytucji (lub ograniczenie ich działalności) stała się pretekstem do przesunięcia zaoszczędzonych pieniędzy na inne cele. Polska humanistyka, w tym historia, pozostaje od lat niedofinansowana. Przekazanie zaledwie części obecnego budżetu IPN na granty dałoby silny impuls do podejmowania nowych projektów badawczych o znaczeniu lokalnym, krajowym i międzynarodowym.

Pozostawienie polityki historycznej w jej obecnym kształcie i jej realizowanie przy użyciu tych samych narzędzi będzie oznaczało marnotrawstwo setek milionów złotych każdego roku. Co jednak najważniejsze, zamiast budować wspólnotę narodową, będzie ją nadal dzieliło, przyczyniając się do wzrostu polaryzacji, a w konsekwencji do dezintegracji społecznej. Nie mówiąc już o arenie międzynarodowej, gdzie w kontekście dyplomacji pamięci trzeba budować wszystko od początku.

Demokratyczne państwo wymaga demokratycznej polityki historycznej. Cokolwiek nowy rząd zdecyduje, musi to być naczelną zasadą, którą będzie się kierował.

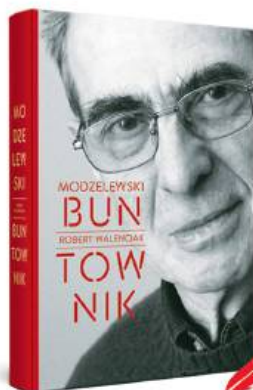
Dr hab. Krzysztof Wasilewski jest politologiem i medjoznawcą, pracownikiem naukowym Politechniki Koszalińskiej

CZAS NA PREZENTY

Pora na dobre książki PRZEGLĄDU



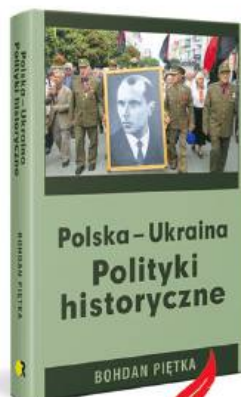
DODATKOWY PREZENT – AUTOGRAF!



55 zł
~~65 zł~~



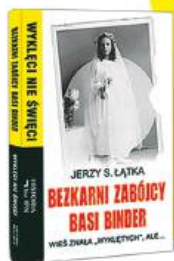
39 zł



50 zł



78 zł



**2 + 1
GRATIS**

Przy zakupie
2 dowolnych książek
„Bezkarni zabójcy
Basi Binder”
W PREZENCIE



Tom I
75 zł

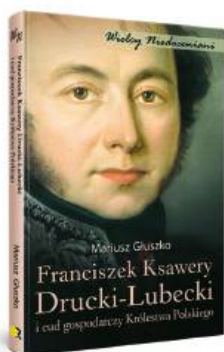


Tom II
76 zł



Tom III
77 zł

Pakiet 190 zł ~~228 zł~~



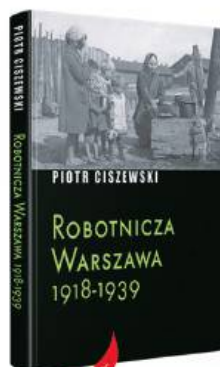
31 zł
~~41 zł~~



37 zł
~~47 zł~~



38 zł
~~48 zł~~



42 zł

***DOSTAWA
ZA 0 ZŁ!**



Zamów na sklep.tygodnikprzeglad.pl
lub wpłać na konto: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821
Fundacja Oratio Recta, 03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7.
***Darmowa wysyłka** listem nierejestrowanym Poczta Polska.

Promocja ważna do 31.12.2023 r.
lub do wyczerpania zapasów.

Uśmiech losu jest zawsze szczerbaty

Warto czerpać z bogactwa kulturowego ludzi,
którzy trochę od nas się różnią

ANDRZEJ JAKIMOWSKI

– reżyser filmu „Uśmiech losu”

Rozmawia Mateusz Demski

Podobno coraz trudniej zastać pana w Warszawie.

– Rzeczywiście, mieszkam na dalekiej wsi w Przesmyku Suwalskim. Bliżko rosyjskiej granicy, pod Gołdapią. W cieniu iskanderów, że tak powiem. Zakochałem się w tamtych rejonach, kiedy robiłem „Zmruż oczy”, i tak zostało. Do Warszawy przyjeżdżam załatwiać różne sprawy. W równym stopniu, co warszawiakiem, czuję się mieszkańcem Warmii i Mazur, a właściwie Wzgórz Szeskich.

Na wzór swoich bohaterów uciek więc pan w pewnym momencie na odludną prowincję, żeby odpocząć od wielkomiejskiego zgiełku. Jakoś pan się utożsamia z tymi wszystkimi outsiderami, z takim Jaśkiem ze „Zmruż oczy”?

– Nawet gdzieś, kiedyś powiedziałem, że czuję się... Marsjaninem. Chcę patrzeć na świat z boku albo z góry – w każdym razie z dystansu. Niech pan spojrzy na tych moich outsiderów: oni wszyscy, pomimo tego outsiderstwa, są zaangażowani. Najbardziej, jak można. Takim outsiderem był również Sokrates, który nawet za cenę śmierci nie wyrzekł się swojego prawa i obowiązku, by zadawać pytania obywatelom Aten. Zadawał je z boku. Zaczepiał ich znienacka, gdy akurat mijali go na ulicy zadowoleni z siebie, podążając gdzieś w swoich sprawach.

Kiedyś powiedział pan, że podobą się panu sposób postrzegania

rzeczywistości przez Greków. To, że potrafili wydobyć z niej rysy tragiczne i komiczne zarazem.

– To prawda, m.in. dlatego umieściłem „Uśmiech losu” i tę opowieść w Grecji. Tragikomizm, który tak lubię, jest tam na miejscu. Wynaleziona przez Greków tragedia to „pieśń kozła” – i akurat kozy mają w moim filmie coś do powiedzenia. Miejsce, które wybraliśmy na akcję filmu, ma bardzo silny rys tragiczny. Życie dosłownie wisi tam na włosku. Z pozoru sielska dolina, w której rozgrywa się akcja, okazuje się kalderą aktywnego wulkanu. Cała wyspa jest po prostu wystającym z morza stożkiem wulkanicznym. Tak samo widzę cały glob, całą planetę, która musi się liczyć z perspektywą zagłady.

Ludzie zaskakująco łatwo wypierają myślenie o katastrofie klimatycznej.

– Ma pan rację. Bezczytność w obliczu zmian klimatu jest zatrważająca. Ludzie są zajęci bieżącymi sprawami, poza tym katastrofa dzieje się w wielu miejscach naraz: i lokalnie, i paneuropejsko, i wreszcie światowo. Kiedy na świecie tych sporów i wojen toczy się tyle jednocześnie,

w różnych płaszczyznach, to zajęci jednym, nie dostrzegamy innych. Tymczasem zabijamy planetę. Ubolewam nad tym i ten smutek tkwi w mojej opowieści.

Zupełnie to niepodobne do pana filmów, które były zwykle malowane jasnymi, pogodnymi barwami.

– Tak, „Uśmiech losu” to jasne i pogodne obrazy, zabawne sytuacje, ale przesłanie wcale nie jest takie optymistyczne. W gruncie rzeczy los uśmiecha się do nas radośnie, a równocześnie robi to ironicznie albo wręcz szyderczo. Jest to taki uśmiech... szczerbaty. Los zawsze stawia człowieka w sytuacjach dwuznacznych, komicznych i tragicznych zarazem. Daje nam radość i odbiera nadzieję albo napętnia lękiem. Dostrzeżenie tej dwuznaczności pozwala nam lepiej zrozumieć i znieść naszą sytuację.

Jednym z cichych bohaterów filmu jest drzewko, które rośnie u stóp wulkanu. Wiemy, że musi uschnąć, kiedy wulkan znów się obudzi, i że będzie to znak nieuchronnej zagłady lokalnego świata. A jednak to drzewko daje radość. Jego piękno daje nadzieję mieszkańcom wyspy. Symbol nadziei i znak zagłady. To chwilowa egzystencja, ale przecież taki sam jest los pojedynczego człowieka i rasy ludzkiej.

Podnóżę aktywnego wulkanu – trudno sobie wyobrazić bardziej

Andrzej Jakimowski – reżyser, scenarzysta, producent. Urodził się w 1963 r. w Warszawie. Jego debiut fabularny „Zmruż oczy” (2003) był objawieniem festiwalu w Gdyni, zdobył też pięć Orłów, w tym za najlepszy film, reżyserię i scenariusz. Kolejny film, „Sztuczki” (2007), otrzymał ponad 30 nagród na międzynarodowych festiwalach (m.in. w Wenecji), był także polskim kandydatem do Oscara.



Andrzej Jakimowski z Mateuszem Kościukiewiczem na planie filmu „Uśmiech losu”.

zagrożone miejsce, a mimo to ludzie wciąż tam przebywają. Dlaczego?

– Bo chcą, bo są do tego miejsca przywiązani, bo decydują, że to ich miejsce na ziemi. W pewnym sensie robię to samo, pozostając w moim domu w Przesmyku Suwalskim. To miejsce potencjalnej akcji żołdaków, prowokatorów, zielonych ludzi. Ale jest to też miejsce cierpiące suszę. Tak jak cała Polska, Europa i wszystkie kontynenty.

Grecja również przechodzi poważny kryzys klimatyczny. Kilka ostatnich lat to zresztą głównie czas kryzysu w tym kraju, także gospodarczego, który o kilkadziesiąt lat cofnął Greków w rozwoju ekonomicznym.

– Na wyspie Nisiros, gdzie kręciliśmy film, przemysł turystyczny wcale nie dominuje. To nie jest Grecja, jaką znamy z wyjazdów wakacyjnych, taka jak pobliska wyspa Kos. Nisiros to wyspa pochodzenia wulkanicznego, których w tamtych rejonach jest całe morze. Leży w archipelagu Dodekanez, u wybrzeży Turcji, a Turcja otwarcie wyciąga ręce po te wszystkie wyspy: po terytoria morskie, po surowce. Los Greków nie jest wcale sielankowy. Na tych wyspach kultura grecka zawsze była wbita w ziemię i trzymała się jej pazurami w obliczu naporu innych plemion i armii.

W jednym z wywiadów powiedział pan ciekawą rzecz: „Według greckich wyobrażeń w świecie panuje fatum, a jednocześnie człowiek-

-heros może boga sprowokować, wyzwąć”. Jakie wrażenie zrobili na panu Grecy, których poznał pan na Nisiros?

– W dzisiejszych Grekach urzeka mnie pewna delikatność, którą wciąż przechowują w sercach. Ale każda nacja ma jakieś ciekawe strony. Weźmy melancholijnych Portugalczyków. Nikt tak dobrze jak oni nie rozumie, czym jest ocean i jak bardzo musimy poddać się jego woli. Oni lepiej niż inne narody rozumieją, jak bardzo

Los stawia człowieka w sytuacjach dwuznacznych, komicznych i tragicznych zarazem. Daje nam radość i odbiera nadzieję.

zależymy od natury. W Grekach widzę zdolność do radości i szacunek wobec innych ludzi. Jeden z naszych greckich aktorów, Efthimis Chalkidis, zakwestionował brutalny tekst z dialogów zapisanych w scenariuszu. Powiedział nam, że to nie jest w typie Greków, żeby w taki sposób się wypowiedzieć. To nie jest ich sposób wyrażania się. Uważam, że warto się rozglądać i czerpać z bogactwa kulturowego ludzi, którzy trochę się od nas różnią.

Mówi pan o dzisiejszych Grekach i ciekawych stronach różnych nacji. Zastanawiam się, jak na tym tle wypadają współcześni Polacy. Pana poprzedni film, „Pewnego razu

w listopadzie”, pokazywał zamieszki sprzed dekady podczas obchodów Święta Niepodległości w Warszawie. To był film o narodzie skłóconym, o brutalnym starciu wartości – znowu niezbyt optymistyczny obrazek.

– Tak, ale oprócz skutku – wzrostu siły skrajnej prawicy – film diagnozował przyczyny: frustrację i rozczarowanie zbyt liberalną polityką. Bohaterowie „Pewnego razu...” tracą mieszkanie w wyniku bezwzględnej prywatyzacji. Ich bunt polega tylko na włamaniu do własnego mieszkania, ale już kumpel Marka bierze udział w zamieszkach – obaj stają naprzeciw siebie po dwóch stronach barykady. Diagnoza zawarta w filmie szybko okazała się trafna. Wtedy, w roku 2017, film był jeszcze grany w kinach, kiedy o kolejnej, największej demonstracji skrajnej prawicy pisały z oburzeniem i na pierwszych stronach gazety całego świata. Kolejne lata potwierdzały naszkicowaną w filmie panoramę społeczną i zaostrzanie się konfliktu. Od chwili, kiedy władze państwowe wystąpiły na czele marszu, aż do obecnych wyborów borykał się z możliwością sprawowania nieograniczonej władzy przez sojusz populizmu i skrajnej prawicy.

Jednak w „Pewnego razu...” ten ponury obraz ma także komiczne rysy. A raczej heroikomiczne: bohater przedziera się przez tłum demonstrantów, owdzięki patriotyczno-nacjonalistycznym szaleń, aby odnaleźć zgubionego kundla, ulubieńca matki. I w końcu znajduje. On ma swoje wartości, oni swoje. Ale to właśnie Mareczek przesądził o wyniku ostatnich wyborów. Nuta optymizmu potwierdziła się.

„Uśmiech losu” to film luźno oparty na postaci Jacka Przybyłowskiego.

– Zainspirowało mnie jego życie. Fotografik ze Śląska, który wyjechał z Polski podczas stanu wojennego. Uciekł z beznadziei, w której tkwiło ▶

► jego pokolenie. Polecał wtedy na Lanzarote i został tam na całe życie. Na skalistej wyspie, daleko od domu, znalazł swój świat i ukojenie. A znalazł to wszystko w kontemplacji przyrody i miejsca, które pokochał. Jacek stał się w moim filmie inspiracją dwóch postaci: zarówno głównego bohatera Andreasa, ale jeszcze bardziej jego zmarłego wuja Gerharda,

– Kiedy widzę coś nietypowego w życiu, co ma głębszy sens i pokazuje jakąś prawdę o tym życiu, wtedy w to idę. W tym wypadku Jacek nasunął mi pewną myśl, jak bardzo jako ludzie bywamy przywiązani do świata i zarazem z niego wyalienowani. Z jednej strony, na Lanzarote Jacek znalazł spokój, by tworzyć swoją sztukę, ale z drugiej, wszystko

„Zmruż oczy” było zarazem odpowiedzią na pytania pana kilkulatniej córki, „Sztuczki” powstały po śmierci pana ojca, natomiast „Imagine” zadedykował pan żonie. „Uśmiech losu” ma wymiar równie osobisty?

– Tak, ale ten film jest dedykowany wszystkim, których kocham. Nie sposób ich wymienić.

Notka dystrybutora mówi o tym, że Andreas pod wpływem pobytu na Nisiros będzie zmuszony zadać sobie pytanie, co tak naprawdę w życiu jest najważniejsze. Jaka jest zatem odpowiedź?

– Miłość. Andreas dochodzi w końcu do rozumu. Tylko ta jedna rzecz tak naprawdę wiąże go ze światem.

Może więc to nie jest film aż tak pesymistyczny, jak mogłoby się zdawać.

– Ten film, mimo że jest podszyty smutkiem, ma w sobie dużo optymizmu. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego. Ludzie, zanim umrą, mogą cieszyć się życiem. Bardzo pomaga poczucie humoru.

Mateusz Demski

Ludzie, zanim umrą, mogą cieszyć się życiem. Bardzo pomaga poczucie humoru.

który zapisał mu majątek, a który do końca życia pozostał samotnikiem. Ważne, że jest to scheda po kimś, kto był artystą. Przywiązanie i zamiłowanie do sztuki jest w tym przypadku pokrewieństwem.

Wcześniej „Imagine” poświęcił pan pamięci Bena Underwooda, niewidomego chłopca, który do perfekcji rozwinął umiejętność echolokacji. Tworząc swoich bohaterów, czerpie pan z obserwacji życia, również swojego?

jest tam przeraźliwie odizolowane od świata. Każdy artysta w jakimś sensie jest takim pustelnikiem i żyje zamknięty w swojej pracowni.

Podobnie było z postacią Jaśka w „Zmruż oczy”, inspirowaną Sokratesem, ale też sylwetkami moich najciekawszych przyjaciół. Obserwowaliśmy zmianę ustroju, ścieranie się różnych postaw wobec brutalnej rzeczywistości lat 90. Nabieraliśmy dystansu, uczyliśmy się stawiać nieoczekiwane pytania z boku.

KSIĄŻKI

Marek Książek

Na strunach życia
Saga rodu Dondalskich
Wydawca „Książek”, Olsztyn 2023

Drugiej takiej zgranej rodziny nie ma chyba w całej Polsce. Jej muzyczny początek dał elew Jan Dondalski, który grał na skrzypcach jeszcze w przedwojennej orkiestrze wojskowej, a po wojnie m.in. w bydgoskiej orkiestrze radiowej Arnolda Rezlera. Gdy front przetaczał się przez Wał Pomorski, a Jan poszedł z 1. Armią Wojska Polskiego na Berlin, w mieście nad Brdą urodził się jego syn, też Jan, dla rozróżnienia nazywany Januszem. Najpierw ojciec uczył go gry na skrzypcach, a po średniej szkole muzycznej Jan junior grał w Filharmonii Pomorskiej. Dorabiał także w miejscowej orkiestrze opery i operetki i tam spotkał młodszą o pięć lat Marię, której powołaniem stały się kotły i talerze – jako instrumenty perkusyjne. Pobrali się, mieszkali w Bydgoszczy, ale w poszukiwaniu wyższego standardu życia wywędrowali do Koszalina. Tam jednak nie doczekali się obiecanego mieszkania, więc w połowie lat 70. przywędrowali do Olsztyna, już z córką Katarzyną. Potem przyszli na świat Natan, Monika i Maksym i choć różnica wieku między najstarszą córką a najmłodszym synem sięgała 16 lat, wszyscy przechodzili ten



sam tryb nauki gry na skrzypcach; najpierw pod okiem ojca, potem w szkołach muzycznych i na studiach. Cała czwórka ukończyła wioolinistykę, a Katarzyna dodatkowo studia wokalne. Mieszka w Berlinie, gdzie wyszła za niemieckiego muzyka, ale występuje na polskich i zagranicznych scenach, Wiesław Ochman zaś porównuje ją do największych śpiewaczek na świecie! Pozostała trójka to wirtuozi skrzypiec i koncertmistrzowie w filharmoniach Koszalina i Olsztyna, z kolei Maksym pełni taką funkcję w Teatrze Wielkim-Operze Narodowej, poza tym jest dyplomowanym dyrygentem. Wszyscy wykładają w szkołach średnich i na uczelniach muzycznych. To są owoce ich talentu, ciężkiej pracy i determinacji ich rodziców.

Niezwykłe losy tego rodu opisał Marek Książek, dziennikarz naszego tygodnika, autor biografii kilku olsztyńskich twórców. Niestety, monografii w druku nie doczekała Maria Dondalska, która zmarła w czerwcu tego roku, ale ma godną następczynię – córkę Katarzyny, też grającą na perkusji. Ilustrowaną licznymi, w tym kolorowymi zdjęciami 260-stronicową książkę można zamówić pod adresem mejlowym: markksiazek@wp.pl.

Redakcja

Wieczne odpoczywanie



Wojciech Kuczok

Muzyka na ciemny czas

Zaczyna się ciemny czas, polska noc polarna, rekordowe serie dób w pełnym zachmurzeniu, smog zalega w dolinach i śmierdzi palonym plastikiem, trzeba się wcześniej budzić, żeby coś uszczknąć z dnia, ale organizm nieubłaganie wpada w początek sezonowej depresji i nie reaguje na budzik – „senność gęsta jak śnieg i krążąca jak śnieg”, co to w miastach pada, ale nie zalega, topnieje jak wola życia, a góry zabiela, choć nie widać, żeby padał, bo i samych gór nie widać, niski pułap chmur, niżowy poziom intelektu, dusza wędnie, moc karleje, niewiele jest sposobów na to, żeby się podnieść. Ani widu, ani słychu, bo ptaków już nie ma śpiewających, a te, które zostały, potrafią tylko popiskiwać z głodu lub wykrakiwać ciemność, jeszcze więcej ciemności, która nie otula, tylko kładzie się jak folia na zwłokach (ojciec przed śmiercią mówił: „Zimno mi, przykryjcie mnie folią”, a ja nie wiem, czy słowa już mu się myliły, czy do końca zachował swój czarny humor).

Ludzkość wymyśla sobie pociechy na przekór, *joie de vivre*, *hygge*, *gemütlich* – wełniane skarpety, herbata z imbirem i lektura przy kominku, wspólnotowość przedświąteczna, rodzinność wigilijna i ludyczność sylwestrowa – wszystko dlatego, że w stadzie łatwiej się ogrzać, łatwiej też ciemność zagadać. Ale cóż ma począć mizantrop? Największą pomyłką natury zdaje się fakt, że ludzie nie zapadają w sen zimowy. W hibernacji tętno zwalnia po wielokroć, więc organizm się starzeje wielokrotnie wolniej, a zatem, choć przesypialibyśmy pół życia, żylibyśmy dłużej, w dodatku zawsze w słońcu, od pierwszych smardzów do ostatnich opieniek, na wiosnę zawsze szczupli, jesienią otłuszczeni, dzieci rodziłyby się bezboleśnie we śnie, bez sezonów grzewczych byłibyśmy zdrowsi, żyli, a potem znikali bez śladu węglowego, przez co Ziemia nie miałaby nam za złe istnienia, świat obyłby się pewnie i bez wojen, bo dobrze wyspany człowiek łatwiej trzyma nerwy na wodzy, a i czasu na zbrojenia szkoda, skoro żadna zadyma nie może trwać dłużej niż pół roku. Narciarze jeździliby sobie latem po lodowcach, których jezory opadałyby do samych kurortów, wszak efekt cieplarniany także majaczyłby dopiero jako złe przeczucie ekologów futurystów. Barłogu i gawry zamiast chleba i igrzysk! Czemuż się, ewolucjo,

aż tak pomyliłaś? Czemu, Zły Demiurgu, tak z nas zakpiłeś? No nic, rzeczywistość każe nam przetrwać do wiosny na jawie, a zatem najcięższe tygodnie nadciągają, zaciężne oddziały ciemności i chłodu, producenci antydepresantów mają swój złoty utarg.

Szukam pociechy w widokach zastępczych, muzyki też słucham więcej, skoro świat się schował i przyroda uciłcha. Jednym z moich ulubionych, niezawodnych sposobów na przeżycie listopada, czasu, gdy tylko lichy nie czuje się śpiące, jest Bielska Jesień Jazzowa. Festiwal o pierwszorzędnej, światowej randze, stworzony na początku XXI w. przez Tomasza Stańkę, a po jego śmierci prowadzony przez jego córkę Annę. Jako dyrektorka programowa z dużą odwagą dba o różnorodność gatunkową, puryści mogą więc narzekać na „za małą zawartość dżezu w dżezie”, ale dla melomanów otwartych na muzyczne transgresje to jest święto.

Tegoroczną edycję wedle zamysłu Anny Stańko zdominowały kobiety – w siedmiu z ośmiu koncertów były liderkami zespołów, tylko występ duetu improvizatorów Fred Frith/Susana Santos Silva siłą rzeczy obył się bez muzycznego „przywództwa”. Za Fritha (na zdjęciu) skądinąd dyrektorce szczególnie dziękuję, to za sprawą jego pływ w młodości otworzyłem się na awangardę, którą nazywałem wtedy patetycznie „muzyką totalną”, występ zaś jego kwartetu gitarowego sprzed ćwierćwiecza do dziś uważam za swoje największe przeżycie koncertowe.

Działy się w Bielskim Centrum Kultury rzeczy frapujące i stylistycznie rozpostarte nad wyraz – zaproszona przez Teoniki Rożynek Monika Brodka wydobywała smugi dźwiękowe z widelców i kamertonu, Aleksandra Tomaszewska przewodziła 18-osobowemu męskiemu bigbandowi, Kasia Pietrzko przełamywała swoją słynną nieufność wobec „kobiecego jazzu” wespół z koreańską perkusistką Sun-Mi Hong, diaboliczna pianistka Myra Melford żeniła ogień z wodą w żeńskiej supergrupie m.in. z fenomenalną gitarzystką Mary Halvorson – jak co roku o tej parszywej porze Bielsko było światową stolicą jazzu. Pretenduje także do bycia Europejską Stolicą Kultury za pięć lat i jak najbardziej na to zasługuje, ale o tym będzie jeszcze czas napisać. ■



NA EKRANACH

Niewierni w Paryżu

reż. Woody Allen, prod. Francja/Wielka Brytania, już w kinach

Dla jednych piosenka, którą już dobrze znamy, dla drugich dowód na to, że mimo wieku (87 lat!) reżyser wciąż potrafi nas uraczyć niezłą historią w swoim stylu. Żeby „Niewierni w Paryżu” powstał, musiał się nagimnastykować. Producenci z USA nie chcą z Allenem pracować ze względu na ciężące na nim oskarżenia o niestosowne zachowanie względem dziecka. Przyczółek znalazł więc twórca w Paryżu, gdzie mieszkają jego bohaterowie: bajecznie bogaty Jean, jego żona Fanny i ten trzeci, literat Alain, który



„Wszystko gra”, humoru też tu znacznie mniej niż w pamiętnym „Zeligu”. To seans dla tych, którzy mają sentyment do reżysera.

Artur Zaborski

MIĘDZY OKŁADKAMI

Maciej Wilczek
**Deszczowe ślady
na chmurach
i inne opowiadania**

Dom Wydawniczy Margrafen,
Bydgoszcz 2023

Zbiór opowiadań Macieja Wilczka to literackie dopełnienie jego „chmurnej” trylogii („Na chmurze ujrzeć cień wędrowca”, „Za chmurą cień, za cieniem słońce” i „Na chmurze zjawia, za chmurą duch”). Bohater, być może alter ego autora, ponownie pojawia się we Wrocławiu oraz na Mazurach, gdzie bywał z dziadkiem, pisarzem Henrykiem Panasem; w drugiej części wraca zaś do różnych miejsc na



świecie, głównie w Azji, gdzie włączył się w poszukiwaniu istoty natury ludzkiej. W opowieściach przewijają się postacie historyczne i literackie, które autor wpisuje w brutalne życie pod różną szerokością geograficzną. „To nie są miłe obrazy z filmu nakręconego do oglądania przy niedzielnym obiedzie, gdzie przyjemni tubylcy wypłatają jakiegoś tyka, co ma nas wzruszyć, a jednocześnie pocieszyć”, pisał Michał Ogórek. Zbiór zamyka opowiadanie „Zwykli ludzie” Anny Wilczek-Dutczak, nieżyjącej już matki autora, co można uznać za hołd dla jednej z najważniejszych osób w jego życiu.

Marek Książek

KURTYNA W GÓRĘ

Prosta historia

Kameralny, rozpisany na troje postaci spektakl w reżyserii Zofii Gustowskiej jest próbą ukazania życia codziennego osób w spektrum autyzmu. Tytułowy Niko (Wojciech Niemczyk) mieszka w bloku z bratem Maksem (Andrzej Plata). Żyje w sposób uporządkowany, pomiędzy dobrze znanymi punktami. Choć ma problem z wyrażaniem emocji czy nawiązywaniem relacji, jak każdy z nas potrzebuje kontaktu z drugim człowiekiem, zrozumienia, bliskości. Udaje mu się je odnaleźć w relacji z bratem i nową sąsiadką Niną (Anna Antoniewicz). Całość rozgrywa się w skromnej scenografii, ukazującej istotne dla bohatera miejsca – mieszkanie czy przystanek autobusowy, na którym lubi spędzać czas. Z jednej strony, przedstawienie z Teatru Żeromskiego w Kielcach ma w sobie coś ostentacyjnie nieteatralnego – aktorzy wychodzą z ról, pomagając w ten sposób odnaleźć się tu odbiorcom neuroatypowym – z drugiej zaś, z pomocą teatralnych środków pozwala lepiej zrozumieć sposób postrzegania świata przez osoby takie jak Niko. Bez kliki, zadęcia czy nachalnej dydaktyki.

Michał Centkiewicz



Joanna Mueller,
„Niko, czyli prosta
zwyczajna historia”,
reżyseria Zofia
Gustowska, Teatr
im. Stefana Żeromskiego
w Kielcach, premiera
28 października 2023



„Królowa Śniegu”,
choreografia Robert Bondara,
muzyka Przemysław Zych,
Teatr Wielki w Poznaniu,
premiera 27 października 2023

Piękne zło

Nowy tytuł w repertuarze poznańskiego zespołu, do muzyki Przemysława Zycha napisanej na zamówienie teatru. Świetny wybór kompozytora, który czuje balet, kreuje wyraziste charaktery i porywające motywy przewodnie, sprawia, że widz może usłyszeć taniec. Robert Bondara podążył za baśnią Andersena, lecz zmienił miejsce akcji, która dzieje się we współczesnym mieście, nadal jednak urzekającym baśniowym wdziękiem, także dzięki znakomitej scenografii Martyny Kander. Stworzył zapadające w pamięć sceny zbiorowe, ustawiony po diagonalu zmysłowy taniec śnieżynki jest jednym z atrakcyjniejszych obrazów. Dobrze skomponował duety. Natomiast temat dobra i zła został tańcem jedynie delikatnie zarysowany. To pozostawia niedosyt, zwłaszcza po monologu trolla, filozoficznie podejmującym „dorosłe” tematy.

Joanna Brych

Kolumnę przygotowała
Agata Gogółkiewicz

Śpiewanie to dla mnie konieczność

Mój plan artystyczny jest taki, żeby cudownie zakończyć życie

Rozmawia Andrzej Dryszel

Rozmawiamy tuż po pani prawie dwugodzinnym recitalu, podczas którego był śpiew, taniec, rozmowy z publicznością. Słowem, nie oszczędza się pani. Czemu przypisać pani niezwykłą kondycję, temperament sceniczny, wciąż wspaniały głos? Czy to kwestia jakiegoś specjalnego treningu, diety, wymyślnych ćwiczeń? Gdzie tkwi tajemnica?

– Żadnej tajemnicy tu nie ma. Czasem sama siebie pytam, dlaczego jeszcze śpiewam, i odpowiadam sobie, że to dla mnie wspaniała odskocznia od przykrych czasami codzienności. Nie chciałabym się zwierzać tu ze swoich kłopotów, ale nie mam łatwego życia. Jestem już osobą samotną, cierpię na bezsenność – a jak się człowiek nie wyśpi, to brakuje mu oddechu, żeby śpiewać. Śpiewanie daje mi jednak siłę życiową, traktuję je jako imperatyw. Śpiewałam zawsze, było to dla mnie wręcz koniecznością życiową.

Czy odziedziczyła pani talent po rodzicach?

– Jestem z Podlasia, wszyscy u nas śpiewali. Podlasie jest w ogóle



SŁAWA PRZYBYLSKA

– piosenkarka. Debiutowała w 1956 r. w STS. Jej pierwszy wielki przebój to „Pamiętasz, była jesień” z 1958 r.

rozśpiewane, zielone, pełne ptaków, które też pięknie śpiewają. Moja mama czerpała siłę z przyrody, to był swoisty panteizm, doświadczanie Boga w tym, co nas otacza. Mama,

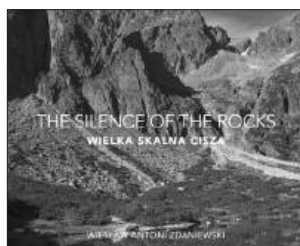
cudowny człowiek, była prostą kobietą ze wsi, ale miała w sobie poczucie piękna, które chyba po niej odziedziczyłam. Mówiła mi: zobacz, jaki piękny zachód słońca, jakie wspaniałe kwiaty! Wszystko, co mama robiła, było dla mnie przykładem. Przekazywała mi miłość, życzliwość do ludzi. Nigdy nie narzekała, nigdy nie uderzyła dziecka. Moja mama jest we mnie i daje mi swoją siłę.

Jestem z Podlasia, wszyscy u nas śpiewali.

Mam nadzieję, że także dzięki tej sile nie zamierza pani kończyć kariery – i ma plany artystyczne na przyszłość?

– Ja codziennie zamierzam ją kończyć, a mój plan artystyczny jest taki, żeby także cudownie zakończyć życie. Mam już tyle lat, że w tym wieku nie powinno się śpiewać. Biorę jednak przykład z Charles’a Aznavoura i zamierzam śpiewać do późnej... młodości. Nagrałam właśnie singiel z nową piosenką. Cóż, jak nie będę śpiewać na estradzie, to będę śpiewać w domu, dopóki żyję. ■

KSIĄŻKI



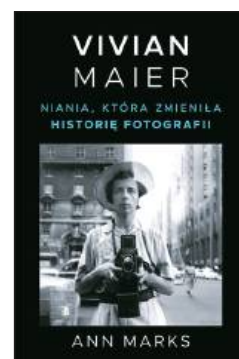
Wiesław Antoni Zdaniewski
Wielka skalna cisza
SPEKTRUM, Kraków 2022

„Wielka skalna cisza” to tytuł wystawy Wiesława Antoniego Zdaniewskiego, którą można było oglądać w kilku ośrodkach wystaw

wienniczych w latach 2007-2018. Jej dopełnieniem i podsumowaniem jest wspaniały album polskich i słowackich Tatr – efekt kilkunastoletniej pracy. Na Międzynarodowych Targach Książki w Krakowie w 2022 r. publikacja zdobyła pierwsze miejsce w kategorii albumy, jako najlepsze wydawnictwo o górach. Książka zawiera ok. 180 czarno-białych fotografii drukowanych techniką duotonu, teksty są w języku polskim i angielskim.

Ann Marks
Vivian Maier
Niania, która zmieniła historię fotografii
tłum. Tomasz Macios
Znak Literanova, Kraków 2023

Szanse na to, że jej wyjątkowe dzieła kiedykolwiek ujrzą światło dzienne, były niemal bliskie zera. Gdyby nie splot nieprawdopodobnych zdarzeń, nigdy nie zostałyby uratowane, a świat nie poznałby niesamowitej historii ekscentrycznej niani fotografki. Jak z francuskiej prowincji trafiła do Nowego Jorku? Co znajdziemy w jej fotografiach? Na czym tak naprawdę polega wyjątkowość jej talentu? Książkę uzupełnia niemal 400 zdjęć.



NEAPOL

– rozkwit kulturowy mafijnego miasta

Do popularności miasta przyczyniły się filmy i seriale

Tomasz Skowronek

W hiszpańskiej dzielnicy, enklawie klasy robotniczej w pobliżu portu w Neapolu, w miejscach, gdzie jeszcze kilka lat temu szerzyły się przemyt i handel narkotykami, ostatnio zaczęły pojawiać się tablice z napisami „Bed and Breakfast”.

Drinki w plastiku

47-letni Salvatore Visone pracuje jako fryzjer. Jak przyznaje w rozmowie z dziennikiem „Il Mattino”, kiedyś to miejsce było znane jako *parrucchiere* – salon fryzjerski, choć działały tu także pracownice seksualne. Teraz dzielnicę Quartieri Spagnoli, w której dorastał, wypełniają turyści. W tym samym czasie, gdy część sklepów zmieniała się w lokale ze street foodem albo aperolem na wynos, w dzielnicy zaczęły wyrastać apartamenty, restauracje i sklepiki z pamiątkami.

Visone rozumiał, że sytuacja naprawdę się zmienia, gdy w 2015 r. przybyli tu projektanci Domenico Dolce i Stefano Gabbana, by wraz z ówczesnym burmistrzem Luigim De Magistrisem świętować 30-lecie założenia ich domu mody. Trzydniowe obchody zapowiedziały we Włoszech i za granicą zmianę wizerunku Neapolu i jego historycznego centrum. Neapolitańczyk widział wówczas, jak na łuszczących się ścianach budynków sąsiedzi wieszali zdjęcia Sophie Loren oraz portrety Diega Armandy

Maradony z aureolą świętego, legendarnego argentyńskiego piłkarza, który dał neapolitańczykom pierwsze dwa mistrzostwa Włoch w 1987 i 1990 r. Teraz Visone obserwuje, jak ludzie wieszają tabliczki „Drinks Aperol” czy „Pizza” i przygląda się tłumom turystów, filmowców i artystów buszujących po jego dzielnicy.

Mężczyzna uznał w końcu, że warto podążyć za nowym trendem. Tuż obok swojego salonu fryzjerskiego otworzył więc bar, w którym można napić się kawy bądź jednego ze słynnych włoskich koktajli. „Najpierw się strzyżesz, potem pijesz – komentuje. – W ciągu ostatnich 20 lat nastąpiła zmiana, zarówno na poziomie gastronomicznym, jak i kulturalnym, i mam tu na myśli tych, którzy mieszkają w okolicy. Wszyscy mieszkańcy przyczynili się do tego rozwoju”, podkreśla.

„Chciałem, aby ta nazwa, Quartieri Spagnoli, była znana – kontynuuje Visone, który sprzedaje także koszulki z nazwą dzielnicy. – Podarowałem koszulki takim osobowościom telewizyjnym jak Eros Ramazzotti, Emma Marrone, Mara Venier i Giuliano dei Nigramaro”.

Neapol przeżywa bum turystyczny i kulturowy, a przyczyniły się do tego produkcje, które przynoszą mu światowy rozgłos. W ostatnim czasie miasto często bowiem gości na ekranach. Słynną zatokę z Wezuwiuszem w tle zobaczymy w autobiograficznym filmie Paola Sorrentina „To była ręka Boga”, pokazującym walczące frakcje neapolitańskich chuliganów,



w kultowym serialu RAI o ośrodku poprawczym Mare Fuori, jak i w „Składankach Erry’ego” – tegorocznym hicie Netflixa o przemysłach muzycznych z lat 80. Furorę robi również serial HBO „Genialna przyjaciółka”. Nie można oczywiście pominąć filmu, a następnie serialu „Gomorra” (odpowiednio 2008 i 2014 r.). We wszystkich wymienionych tytułach to Neapol jest bohaterem.

Jednocześnie z badania przeprowadzonego przez Netflix wynika, że 87% spośród 13 tys. ankietowanych z Australii, Wielkiej Brytanii, Stanów Zjednoczonych, Francji, Indii i Hiszpanii wyruszyło do Włoch po obejrzeniu filmów i seriali rozgrywających się w Neapolu.

„Większość wyborów dokonuje się poprzez oglądanie filmów lub seriali telewizyjnych, a dziesiątki tysięcy turystów wybiera to miejsce, kierując się zainteresowaniem, które zrodziło się po obejrzeniu dobrego filmu lub wciągającego serialu”, pisze dla portalu Napolike dziennikarka Fabiana Bianchi.



Mural z Maradoną w Quartieri Spagnoli.

Międzynarodowe badanie, o którym mowa, zostało przeprowadzone przez Basis na zlecenie Netflixa i zaprezentowane na targach Bit Fieramilano. Pokazało ono, że filmy i seriale telewizyjne są niezbędne dla rozwoju turystyki i stanowią istotny czynnik przyciągający turystów. Badanie wykazało jednoznacznie, że osoby, które oglądały włoskie treści w streamingu i nie tylko, z dużym prawdopodobieństwem wybiorą właśnie to miejsce na wakacje.

Sława rodzi sławę

Początków powrotu Neapolu do światowej sławy należy w dużej mierze upatrywać w działalności Roberta Saviana. To na podstawie jego powieści dokumentalnej „Gomorra” powstały bowiem film w reżyserii Mattea Garrone i pięcioletni serial emitowany w latach 2014–2021 oraz film „Nieśmiertelny” (2019).

Roberto Saviano w pełni wykorzystał swój sukces. Żyjąc pod ochroną, pilnowany przez 24 godziny na

dobę, nagłaśniał tajemnice camorry i nierzadko pojawiał się na pierwszych stronach włoskich gazet jako ekspert w sprawie mafii, faszyzmu i korupcji.

Także dzieła pisarki tworzącej pod pseudonimem Elena Ferrante rozsławiły miasto u stóp Wezuwiusza. Część medioznawców i dziennikarzy uważa, że tajemnica otaczająca prawdziwą tożsamość twórczyni zrobiła dla Neapolu to samo co Banksy dla Bristolu. Do tej pory neapolitańskie powieści Ferrante sprzedawały się na całym świecie w 15 mln egzemplarzy, zostały przetłumaczone na 45 języków i doczekały się adaptacji, które docenili krytycy. W Neapolu powstała nawet trasa turystyczna śladami bohaterów Ferrante. Oczywiście podobnie jak w przypadku „Gomorri”, adaptacje twórczości Ferrante powstawały błyskawicznie – jej cykl neapolitański doczekał się już trzech sezonów na HBO, a „Zakłamanie życia dorosłych” zaowocowało sześcioczęściowym serialem Netflixa.

Seriale, filmy, dokumenty oraz książki pokazują specyficzną kulturę i nietłącą historię miasta. „Ta nędza i bieda są w straszliwy sposób malownicze – mówi Marius Kociejowski, autor książki „The Serpent Coiled in Naples” (Wąż zwinięty w Neapolu). – W takim środowisku można zbudować znaczne napięcie: w tamtejszych ludziach można znaleźć ciepło, ale nigdy do końca nie wiadomo, czy nie rozmawia się z kimś związanym z camorrą”.

Neapol zawsze miał opinię miejsca „niebezpiecznego, chaotycznego i nieprzewidywalnego”. Zagrożenie nie ma przy tym związku wyłącznie z przestępczością. Strach wywołuje budzący się do życia Wezuwiusz. Jeszcze groźniejsze są leżące zaledwie kilka kilometrów dalej, bulgoczące, usiane kraterami Pola Flegrejskie. W ciągu ostatnich 18 lat grunt podniósł się tutaj o 110 cm. Również duża część terenu pod miastem jest pusta, a domy i drogi często zapadają się w pustkę. Dodatkowo w przeszłości, a konkretnie w 1778 r., w mieście panowała epidemia cholery.

Curzio Malaparte w powieści „Skóra”, wydanej w Polsce w latach 90., pisał: „Neapol to najbardziej tajemnicze z miast Europy. To Pompeje, które nigdy nie zostały pogrzebane. To nie miasto – to świat. Neapol to inna Europa, której kartezjański rozum nie zdoła przeniknąć. Nie można zrozumieć Neapolu. Nigdy go nie zrozumiecie”.

Sztuka uliczna i renesansowa

Połączenie przeszłości i przyszłości – specyfika tego miejsca – zawsze było pięknem Neapolu. Młodzi neapolitańczycy wymyślają je na nowo i otwierają galerie, w których obok arcydzieł renesansu wieszają prace współczesne. W mieście kwitnie sztuka uliczna, a mieszkańcy co rusz podejmują nowe inicjatywy. Można wręcz mieć wrażenie, jakby w Neapolu było więcej sztuki ulicznej niż gołych murów. Burmistrz Neapolu Gaetano Manfredi na swoim profilu na Facebooku zadeklarował nawet wsparcie, pisząc, że sztuka uliczna wpisuje się w „społeczny i polityczny rewolucyjny zapal miasta”.

► To właśnie w Neapolu możemy zobaczyć jedyny we Włoszech obraz Banksy'ego – na Piazza dei Girolami ni w historycznym centrum miasta wita nas wymalowana w niebiesko-szarych odcieniach, z wykorzystaniem szablonu, figura Madonny mająca pistolet w miejscu aureoli. Obraz jest zabezpieczony szkłem, a co ciekawe, sami mieszkańcy złożyli się na tę witrinę.

Zresztą takich inicjatyw w mieście jest dużo więcej. Miejscowy duet Cyop & Kaf stworzył ponad 220 murali w hiszpańskiej dzielnicy. Przedstawiają one surrealistyczne zjawiska i często postacie nawiązujące do lokalnego folkloru i obalające opresyjną władzę, najczęściej lokalnej mafii. Z kolei na obrzeżach miasta na ścianie 10-piętrowego bloku Jorit Agoch namalował ogromny portret Maradony, przypominający słynny wizerunek Che Guevary.

Kolektyw w katakumbach

Rozkwit kultury następuje także w dzielnicy Sanità, niegdyś jednej

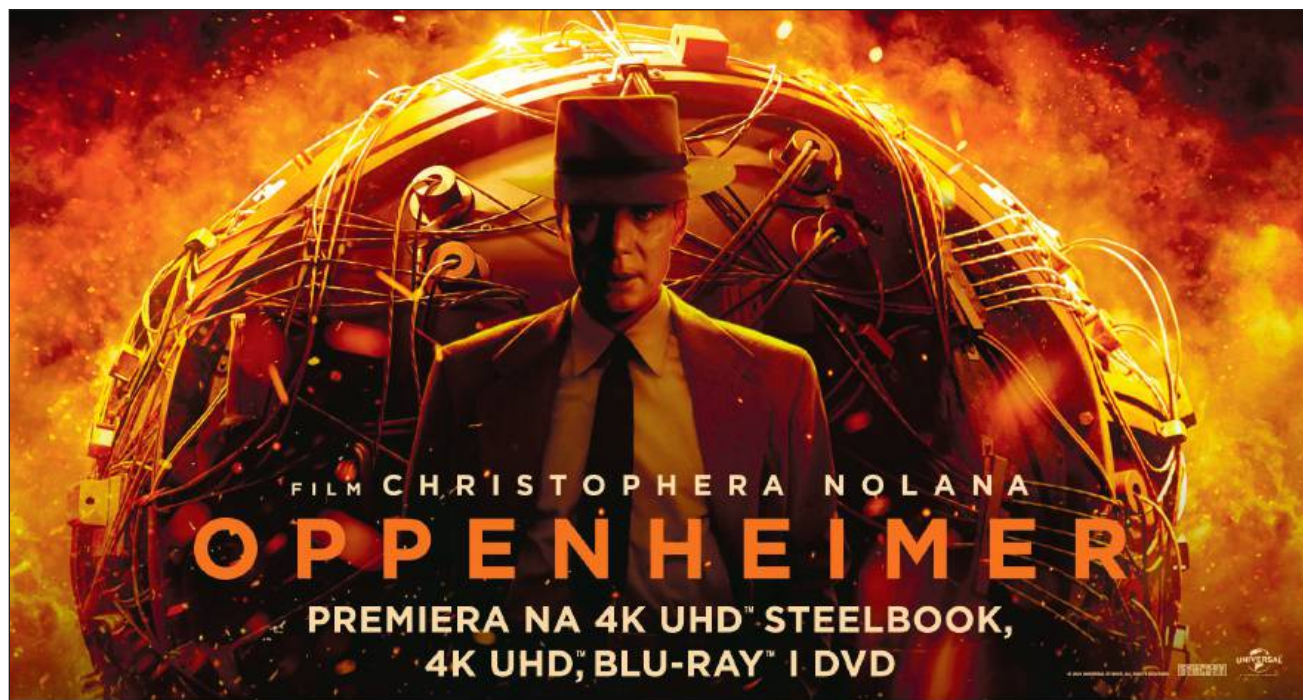
z najbiedniejszych, a dziś jednej z najbardziej popularnych. Jeszcze parę lat temu trwała tu wojna klanów camorry. W Sanicie natkniemy się teraz na rzymskie pozostałości archeologiczne, klasyczne renesansowe pałace, a także przejeżdżające między nimi motocykle – to zatem kolejne miejsce, w którym stare i nowe się przeplata. Nawet w kościele Santa Maria della Sanità sztuka nowoczesna sąsiaduje z dawną – w jego murach młodzież z kolektywu La Paranza oprowadza turystów po katakumbach San Gaudioso, ozdobionych XVII-wiecznymi freskami przedstawiającymi szkielety.

Na środku placu Piazza Sanità znajduje się natomiast współczesny, wykonany z brązu, pomnik młodego mężczyzny w dżinsach i T-shircie, z lewą ręką przewieszoną przez kolan i nieśmiałym spojrzeniem skierowanym w dół. To figura Genny'ego Cesarana, który w 2015 r. miał zaledwie 17 lat, kiedy został przypadkowo trafiony kulą w strzelaninie camorry. Jego śmierć wstrząsnęła całą dzielnicą.

„Neapol staje się w coraz większym stopniu głównym kierunkiem podróży w Europie”, stwierdziła była senator, a obecnie radna ds. turystyki Teresa Armato, publikując dane zebrane przez Obserwatorium Turystyki. Jeśli weźmiemy pod uwagę cały rok 2023, liczby te okażą się imponujące: od stycznia do października miasto odwiedziło bowiem aż 8 mln turystów. „I ten rekordowy lipiec – dodała Armato – kiedy między lotniskiem Capodichino, dworcem centralnym a dworcem morskim przewinęło się 1,5 mln osób, zamyka rok, w którym odnotowaliśmy rekordowy wzrost o 18,4% w porównaniu z już dodatnim rokiem 2022”.

Neapol to zatem doskonały dowód na to, że rozwój miasta nie zależy – tak jak kiedyś – tylko od liczby funkcjonujących w nim fabryk, ale także od rozwoju lokalnej kultury. Bo właśnie dzięki kulturze miasto biedy, kontrastów i mafii staje się dziś jedną z najważniejszych metropolii turystycznych w Europie.

Tomasz Skowronek



znajdziesz w **empik** salony / online / aplikacja



Cukrzyca to choroba cywilizacyjna, na którą cierpi ponad 400 mln ludzi na całym świecie. W Polsce choruje ok. 3 mln osób, przy czym według szacunków do 2030 r. liczba ta wzrośnie do 4,5 mln. Z punktu widzenia państwa to spore wyzwanie, cukrzyca generuje bowiem znaczne koszty bezpośrednie i pośrednie – te drugie wynikają m.in. z zasiłków chorobowych oraz świadczeń rentowych. Ekspertsi przekonują jednak, że z wyzwaniem tym o wiele łatwiej będzie się mierzyć, jeśli wsłuchamy się w głosy samych chorych.

Kosztowna choroba

Anna Jurkowiecka diagnozę otrzymała 25 lat temu, w szóstej klasie szkoły podstawowej. Od 17. roku życia pracuje zawodowo. – Czy cukrzyca kiedykolwiek przeszkadzała mi w życiu zawodowym? Nie, ale też zawsze wykonywałam pracę biurową, gdzie godziny są mniej więcej stałe. Cukrzyca nie ogranicza możliwości umysłowych, więc jeżeli ktoś chce zostać bankierem czy prawnikiem, choroba mu w tym nie przeszkodzi. Ale nie wyobrażam sobie pracy jako kierowca albo w fabryce – przyznaje.

To prawda, cukrzyca nie wyklucza z rynku pracy, o ile jest wyrównana, a więc według wytycznych Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego chory ma właściwy poziom stężenia glukozy we krwi, prawidłowe ciśnienie tętnicze, gospodarkę lipidową oraz masę ciała. Diabetycy powinni jednak unikać pracy w dużym stresie, wymagającej poważnego wysiłku fizycznego, wykonywanej na wysokościach lub w odosobnieniu oraz polegającej na kierowaniu pojazdami. Zrezygnować powinni z zatrudnienia w takich branżach jak górnictwo, hutnictwo, ratownictwo i służby mundurowe.

Tyle teoria, a jak jest w praktyce? Na pierwszy rzut oka statystyki wyglądają dobrze: z najnowszego raportu Barometr Polskiej Diabetologii wynika, że 65% osób z cukrzycą jest aktywnych zawodowo, przy czym pozostałe 35% stanowią przede



DIABETYCY na rynku pracy

Pracodawcy są otwarci,
ale nieprzygotowani na zatrudnianie
pracowników z cukrzycą

wszystkim emeryci i studenci, nie pracuje zaledwie 9%. Co więcej, 70% nigdy nie wzięło L4 z jej powodu. To dobra wiadomość, jednak niepozbawiona nuty gorzkości, bo nie zawsze dobre samopoczucie jest tego przyczyną. – Cukrzyca to kosztowna choroba. Bardzo często diabetycy wolą skorzystać z urlopu, nie odpoczywają, ale nie biorą L4, żeby nie stracić wynagrodzenia. Często te osoby mogą być też jedynymi żywicielami rodziny, więc boją się utraty pracy. Z drugiej strony, gdy 26-letni, czynny zawodowo człowiek dowiaduje się, że właśnie kończy mu się refundacja na terapię pompą, to co, kończy się w tym momencie cukrzyca? Nie. To ogromny stres i ta sytuacja powoduje, że on szuka jeszcze dodatkowej pracy, żeby móc zapewnić płynność finansową swojej

rodziny – zwracała uwagę dr Beata Stepanow, prezeska Stowarzyszenia Edukacji Diabetologicznej, na konferencji prezentującej raport.

Ile kosztuje życie z cukrzycą? – Miesięcznie wydaję minimum 300 zł, a zarabiam tyle samo, co inni. Na pytanie, czego potrzebują ludzie z cukrzycą, odpowiadam więc: dużych pieniędzy – mówi Anna Jurkowiecka. Gdy Polskie Towarzystwo Diabetyków sprawdzało rzeczywiste koszty leczenia cukrzycy, okazało się, że ponad 57% ankietowanych na same leki wydaje miesięcznie od 100 do 300 zł, natomiast 22% – powyżej 300 zł.

Pracownik zmotywowany

Diabetycy chcą pracować, a pracodawcy deklarują, że chętnie ich

zatrudniają. 56% przedsiębiorców zapytanych przez twórców Barometru nie widzi przeszkód w zatrudnieniu osoby z chorobą przewlekłą, taką jak cukrzyca. Czerpią z tego korzyści: te bardziej wymierne w postaci dofinansowania z PFRON, urzędów pracy czy budżetów samorządów dla zakładów pracy zatrudniających osoby z niepełnosprawnością, oraz bardziej pośrednie, przyczyniające się do dobrego funkcjonowania firmy. – U nas ok. 15% pracowników to osoby z cukrzycą. Są niezwykle zmotywowani i zaangażowani w pracę. Poza tym, jeśli ktoś panuje nad swoją chorobą przewlekłą, odpowiednio nią zarządza, jest to również sygnał dla pracodawców, że te kompetencje przeniesie na grunt zawodowy: taki pracownik będzie świetnie zorganizowany i zmotywowany – tłumaczy Marta Rosińska, dyrektor generalna Roche Diabetes Care, firmy będącej inicjatorem raportu.

Otwartość na zatrudnienie diabetyka nie idzie jednak w parze z ułatwieniem mu pracy. Tylko 17% pracodawców ankietowanych przez twórców raportu wprowadziło realne udogodnienia dla pracowników z cukrzycą. Oczywiście diabetykom z orzeczoną niepełnosprawnością przysługują ulgi określone przez ustawodawców, a więc siedmiodzinny dzień pracy, dłuższy o 10 dni urlop wypoczynkowy, prawo do zwolnienia z pracy w wymiarze 21 dni oraz dodatkowa 15-minutowa przerwa w ciągu dnia pracy. Problem w tym, że nie wszyscy z przysługujących im praw korzystają, bojąc się zwolnienia.

– Przedłużanie orzeczenia o niepełnosprawności wymaga wizyt u kilku lekarzy, wielu badań, muszę wziąć na to dzień wolny. Tym bardziej że wiele gabinetów jest czynnych do godz. 16. Nie jest więc tak, że na tym dodatkowym urlopie leżymy do góry brzuchem – wskazuje Anna Jurkowiecka.

A wspomniane udogodnienia? – To nie są rewolucyjne zmiany, nie wymagają przeorganizowania całego zakładu pracy, zmiany struktury budynku. Nie generują dodatkowych kosztów. Chodzi przede wszystkim o dłuższą przerwę obiadową, bo pacjent z cukrzycą potrzebuje trochę

bardziej skomplikowanego i wymagającego posiłku. Miejsce, gdzie może np. przyrządzić ciepły posiłek, to także ważna rzecz. Kolejna sprawa to budowanie świadomości na temat cukrzycy wśród pracowników. Ułożenie dodatkowego tematu do szkoleń BHP bądź zorganizowanie spotkania z dietetykiem albo z edukatorem diabetologicznym, który opowie, jak powinniśmy się zachować, gdy kolega będzie miał spadek cukru – uważa Marta Rosińska.

Mówić czy nie mówić

Coraz więcej Polaków umie udzielić pierwszej pomocy osobom poszkodowanym w wypadku – według CBOS takie umiejętności deklaruje 67%. Gorzej, gdy pomocy potrzebuje diabetyk – spośród respondentów Barometru aż 60% stwierdziło, że nie wie, jak udzielić pomocy osobie z hipoglikemią, czyli nagłym spadkiem cukru. Nie znają nawet objawów

W Polsce na cukrzycę choruje ok. 3 mln osób, według szacunków do 2030 r. liczba ta wzrośnie do 4,5 mln.

tego stanu. I tu pojawia się słowo edukacja. Tylko edukacja zapewnia bowiem bezpieczeństwo diabetyka oraz komfort jego współpracowników. Wiedza pozwoli pomóc osobie z hipoglikemią, ale też zapobiegnie nieporozumieniom, bo w momencie spadku poziomu cukru diabetycy mogą przejawiać nienaturalne dla nich zachowania, łącznie z bełkotliwą mową, a nawet agresją.

– Gdy zaczynam szybko, nerwowo oddychać, moja szefowa od razu mówi: „Ania, weź cukier”. Koleżanka, która zawsze ma przy sobie coś słodkiego, wie, że gdy wbiegam do jej pokoju w panice, to znaczy, że przybiegam po cukierka. Kiedyś uczestniczyłam w spotkaniu, które bardzo się przeciągnęło, i pani burmistrz zwróciła się do mnie: „Aniu, idź coś zjeść”. Czuję się w pracy wspaniale zaopiekowana, nic nie muszę tłumaczyć. Powiedzenie o swojej chorobie budzi w ludziach mnóstwo dobra – podkreśla Anna Jurkowiecka.

Z Anną zgadza się 68% ankietowanych przez twórców Barometru, którzy przyznali się kolegom z pracy, że chorują na cukrzycę. Co ciekawe, jak wynika z raportu, 64% współpracowników tych osób nie zmieniło postawy wobec chorego, natomiast 27% wykazało się większą wyrozumiałością lub wrażliwością na jego potrzeby. – Mam przykłady pacjentów, którzy wcześniej w zakładzie pracy powiedzieli, że chorują na cukrzycę, ale nie spotkali wyrozumiałych współpracowników, nie mieli też warunków do tego, żeby się rozwijać ani po prostu pracować. Dlatego w kolejnym miejscu pracy zastanawiają się, czy faktycznie dobrze jest powiedzieć, że są chorzy – opowiadała z kolei dr Beata Stepanow.

22% respondentów Barometru odczuło, że diagnoza miała wpływ na ich życie zawodowe – musieli zmienić pracę albo zostali z niej zwolnieni. Nie zawsze jest to wina pracodawcy, zdarza się bowiem, że liczba

dni wolnych na skutek choroby pracownika destabilizuje pracę zespołu bądź pracownik, zatajając swoją chorobę, naraził się na niebezpieczeństwo, wykonując zadania dla niego nieodpowiednie. Dr Stepanow: – Troszkę będę bronić pracodawców, bo zdarza się, że osoba z cukrzycą nie zna swojego organizmu. Nie wie, czego może się spodziewać na danym stanowisku pracy. To może przecież prowadzić do wręcz groźnych sytuacji. Mam pacjentów, którzy mówią wprost: doszło u mnie do utraty przytomności na stanowisku pracy.

Czy da się zmienić tę sytuację? Jak najbardziej. Kluczem do sukcesu jest wspomniana edukacja oraz – jak to ujął na konferencji prezentującej raport Andrzej Mądrala z Rady Pracodawców RP – postawienie kwestii zdrowia pracowników nie na głowie, lecz na nogach. Pracę do wykonania mają zatem pracodawcy, jak i pracownicy – nie tylko ci chorzy na cukrzycę.

Blanka Dżugaj

JACEK PAŁKIEWICZ

Wyprawy w poszukiwaniu
osobliwości ginących cywilizacji,
niezwykłych krain i ludzi osiadłych
w odległych regionach

PÓŁ WIEKU

REPORTERSKICH PODRÓŻY

1

SYBERIA

Syberia to nie tylko katorga i martyrologia. Dobrowolnie za chlebem udały się tam tysiące kresowych polskich rodzin, które nie miały odwagi emigrować do Ameryki Północnej czy Brazylii. Za Ural wyjeżdżali kupcy, rzemieślnicy i inteligencja, która pod zaborem nie mogła liczyć na żadne stanowiska urzędnicze. Wykształceni w Sankt Petersburgu czy w Moskwie inżynierowie kolonizowali i zagospodarowywali te odległe tereny. Przyczyniali się do rozwoju oświaty i rzadkich tam rzemiosł. Wielu pełniło ważne funkcje publiczne i było cenionymi prawnikami czy wziętymi lekarzami albo odnoszącymi sukcesy przedsiębiorcami. Był okres, że przybysze znad Wisły, razem z przesiedleńcami z Rosji europejskiej, tworzyli Irkuck i Tobolsk, archipelagi polskości.

Byłem na zauralskich rubieżach mnóstwo razy, poznałem najdalsze zakątki. A że więcej już tam nie pojadę, postanowiłem zebrać doświadczenia w książce „Syberia” (400 ilustracji), którą wkrótce będzie można nabyć na: swiatksiazki.pl lub ksiazki.pl. Będzie także możliwość zamówienia jej z osobistą dedykacją autora.



JACEK PAŁKIEWICZ
– reporter, eksplorator,
odkrywca źródła Amazonki,
twórca survivalu w Europie;
www.palkiewicz.com





4



8



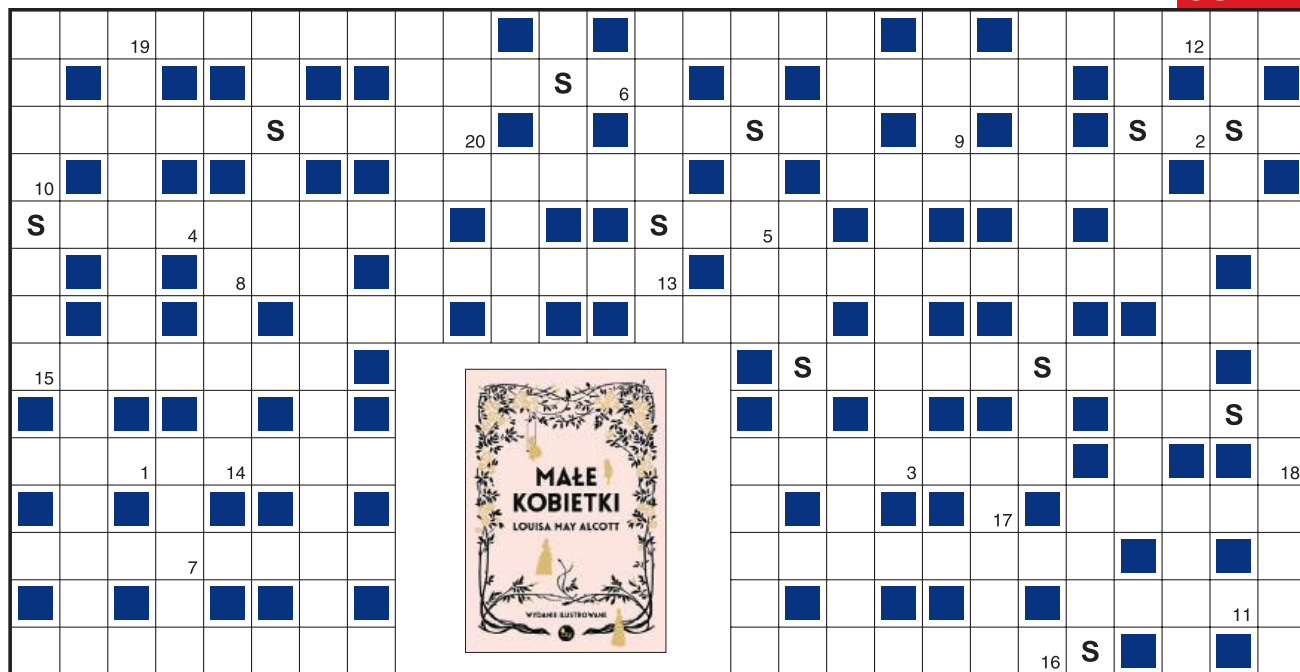
9



10

1. Kolej Transsyberyjska ma ponad 9 tys. km.
2. Równouprawienie.
3. Hartowanie młodego pokolenia.
4. W gościnie u Czukczów.
5. Daleko od cywilizacji.
6. Ostatni syberyjscy szamani.
7. Lodołamacz w Cieśninie Beringa.
8. Tu żyje się bez lodówki.
9. Zameć, minus 40 st., a szkoła czeka.
10. Purga, zameć śnieżna.

FOT. ARCHIWUM AUTORA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20
---	---	---	---	---	---	---	---	---	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----	----

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów.
Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery S ujawniono.
Litery z pól ponumerowanych od 1 do 20 utworzą końcowe hasło.

- bywa czasowo niedostępny, gdy dzwonisz
- ateński zespół zabytków
- najprostszą aminą aromatyczną
- grupa wysp
- twórczyni, mistrzyni
- dawny producent konsol i komputerów
- w jego jądrze nukleony
- Gąbka więziony przez Deszczowców
- i pływalnia, i zbiór dorzeczy
- dzidzius, maluszek
- gardła, głowy, fantomowy
- krawędź, skraj ładu
- marka zegarków, kalkulatorów

- smalić je to zalecać się
- Możesz z niego wyprowadzić Izraelitów
- samolubstwo
- wystawiana jako dowód transakcji
- ojciec Aleksandra Wielkiego
- Marcela – grający, Olsena – grany
- wyprawa skóry
- w Kioto spotkasz ją w dzielnicy Gion
- planszowa lub w kulki
- opad z lodowych kulek
- miasto nad Dniestrem, od 1144 r. stolica księstwa
- wspinacz w najwyższych górach

- studio filmowe Kawalerowicza
- ...związkowy – w Austrii, Niemczech
- Odrzańskie lub tkackie
- tu ptasi ogon się zaczyna
- piękniejsza połowa lorda
- bałwana lub pierogów
- wykwit skórny, ślad rdzy, pleśni
- i biały piesek, i joannita
- szkodnik w szafie
- nabożeństwo, liturgia
- kiedyś kondotier, dziś np. wagnerowiec
- pertraktacje, rokowania
- słynny wodospad
- śmiałość, męstwo
- warszawska dzielnica z portem lotniczym
- do niej służy pług
- wskazującym można też grozić
- sytuacja pozornie niemożliwa

- duszpasterz w zborze
- mieszkaniec dawnego Iranu
- współdecyduje o sprawach miasta
- kapelusza, a w Poznaniu Kaponiera
- ...Parks walcząca z segregacją rasową
- mgła z dymem i spalini
- schemat myślowy, uproszczone przeświadczenie
- wisi na szyi lekarza
- z niego kompot wigilijny
- pojemniczek na tytoń
- strefa ...30 w miastach
- warstwa atmosfery najbliższa Ziemi
- z Wyrwidębem
- coś, co łączy, spaja ludzi
- portiera lub dymna

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło:

imię i nazwisko:

adres:

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość

czytelny podpis

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1145”. Do rozlosowania książki „Małe kobiety” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 3 grudnia 2023 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1142” z nr. 45: *Losu koniem nie przeskoczysz.* Nagrody otrzymują: Danuta Kawińska z Łodzi, Jerzy T. Kruk z Wrocławia, Krystyna Wiśniewska z Belchatowa.

Kalendarz, który nie sprzyja

W sprawach unijnych kalendarz nam nie sprzyja. Przynajmniej w dwóch kwestiach: posiedzenia Rady Europejskiej, czyli przywódców 27 państw członkowskich, oraz prezydencji.

Zacznijmy od prezydencji. Polska będzie ją sprawować w Unii w pierwszej połowie 2025 r., czyli jeszcze za kadencji Andrzeja Dudy. Akurat w trakcie kampanii prezydenckiej i samych wyborów (odbędzie się najpewniej w maju 2025 r. i to one de facto zadecydują, kto będzie miał władzę w Polsce). Wyobrażacie sobie państwo, jaka to będzie walka? Jakie podstawianie nóg?

Tak czy inaczej, nasza unijna placówka już do prezydencji się szykuje. Jednym z działań będzie wprowadzenie ze wspólnego budynku ambasady RP w Brukseli, żeby było miejsce dla zwiększonej grupy urzędników.

Tak było zresztą podczas poprzedniej prezydencji, w drugiej połowie 2011 r. – by obsługiwać tamto wydarzenie, Polska zakupiła obecny budynek przedstawicielstwa, gdyż ten pierwszy niczego by nie pomieścił. Problem pojawił się po zakończonej prezydencji, kiedy urzędnicy skierowani do jej obsługi wrócili do Warszawy. Nagle w wielkiej kamienicy zaczął hulać wiatr. Zdecydowano się więc ściągnąć na ostatnie piętro naszą ambasadę w Belgii. I w ten sposób pod jednym dachem mamy dwie „firmy”. Aczkolwiek tylko ze wspólną windą.

Ale zanim dotrzemy do prezydencji, czeka nas ciekawe posiedzenie Rady Europejskiej, wyznaczone na 14 grudnia. Bo jest pytanie, kto na nie pojedzie. Ponieważ ostatnim terminem, w którym Mateusz Morawiecki może prosić Sejm o wotum zaufania, jest

11 grudnia, wiadomo, że on raczej do Brukseli nie zawita. Ale nie wiadomo, czy prezydent Duda zdąży do tego czasu zaprzysiąc Donalda Tuska.

Jeżeli zdąży, to możemy się spodziewać, że nowy premier nie tylko spotka się z ambasadorem Polski przy Unii Andrzejem Sadosiem, ale także odwiedzi budynek ambasady. Zna go dobrze, gdyż to za jego czasów został on przez Polskę kupiony, dzień jego wejścia do służby upamiętniała zresztą słynna tablica, która wisi w holu. Napisane jest na niej, że 23 maja 2011 r. otwarcia Stałego Przedstawicielstwa RP przy Unii dokonali ówczesny premier Donald Tusk, ówczesny przewodniczący Parlamentu Europejskiego Jerzy Buzek, przewodniczący Rady Europejskiej Herman Van Rompuy oraz przewodniczący Komisji Europejskiej José Manuel Barroso.

W 2018 r., kiedy Brukselę wizytował Mateusz Morawiecki, tablica została odkryta przez ambasadora Sadosia. Wybuchła awantura, Sadoś się tłumaczył, że odkręcił tablicę, bo przeprowadzano remont.

Efekt jest taki, że tablica wróciła na swoje miejsce. Ale załamania ją, i to dokładnie, rozstawiona drewniana gablota z informacjami o różnych imprezach organizowanych przez ambasadę. Tablica zatem jest, a jakby jej nie było. Tak oto Sadoś się zabezpieczył.

Cóż, to chyba już nie ma znaczenia. I z powodu nowej polityki unijnej przyszłego rządu, i z powodu prezydencji, i z powodu kadencji, która i tak została przedłużona, Sadoś jest na liście ambasadorów, których trzeba wymienić. On sam chyba o tym wie. Andrzej Duda również.

Attaché

Nazywają siebie szczęśliwymi babciami i spotykają się w domu kultury, by tkąć szyrdaki, tradycyjne wełniane dywaniki. Kadamdżaj w obwodzie batkeńskim, Kirgistan.



MATEUSZ MORAWIECKI PROWADZĄCY ROZMOWY



DOTYCZĄCE SFORMOWANIA NOWEGO RZĄDU



PENETRACJE

Press **ANDRZEJ SKWORZ,**
REDAKTOR NACZELNY

Jeśli po 15 października mamy w Polsce więcej wolności, to nie dzięki dziennikarzom, lecz wbrew ich działalności. Rafał Kubiak, znany użytkownik Twittera, właściciel drukarni, w której od lat drukowany jest „Press”, napisał jako czytelnik do „Gazety Wyborczej”: „Zawiedliście, drodzy dziennikarze. Zawiedliście jako całe środowisko. Jest wśród was wielu, którzy nie dali się kupić. Którzy wykazali się prawdziwym bohaterstwem w walce z PiS, ale niestety jako grupa zawodowa zawiedliście. (...) Media muszą się oczyścić. Problem w tym, że same w tym kierunku nic nie robią”.

ANGORA

PROF. KRYSZTOF MARKIEWICZ,
PREZES STOWARZYSZENIA
SĘDZIÓW POLSKICH IUSTITIA

Osobiście wstydzę się za grupę ponad tysiąca sędziów. Pod ogromnym znakiem zapytania postawili zdolność do tego, by wykonywać ten zawód. Jednocześnie podkreślę z dumą, że tysiące sędziów przez osiem trudnych lat pokazało, że są godni tego urzędu. W najtrudniejszych latach polskiej demokracji to była jedyna władza utrzymująca przymiotnik demokratyczne państwo prawa. Na tych ludziach opierała się przyzwoitość państwa i dzięki nim Polska była podziwiana na całym świecie. Oni poświęcali swoje kariery, prywatne życie, byli oczerniani, hejtowani, stawiano ich przed sądami, wszczynano postępowania dyscyplinarne.

KRAKÓW

DOROTA POMYKAŁA,
AKTORKA

Do Krakowa, do szkoły teatralnej, przyjechałam z Bytomia. Byłam zszokowana. Czułam, że nie bardzo pasuję. Ludzie wyglądali inaczej niż na Śląsku. Byli wyzwoleni, mówili głośnie. Ja miałam wtedy ubrania na tydzień i białą bluzkę na niedzielę, do kościoła. Patrzyłam na ten świat szeroko otwartymi oczami. Wszystko wydawało mi się dziwne, trudne i skomplikowane. Byłam grzeczną dziewczynką ze śląskiego domu i bardzo się tego Krakowa bałam. Nie znałam takiego życia wcześniej. Wiele miesięcy mi zajęło, żeby się do Krakowa przyzwyczaić, do ludzi, do tych kolorów.

VIVA!

LESZEK LICHOTA,
AKTOR

Moje aktorstwo nie jest analityczne, przepracowane. Jest bardziej intuicyjne. Lubię miejsce na interpretację, otwartość na to, co się zdarzy na planie, i elastyczność. Trzeba mieć świadomość, że jest się trybikiem w maszynie i ważna jest uważność na innych, a przede wszystkim na uwagi reżysera. Film to jest naprawdę wielka machina, którą ktoś musi dowieźć do celu. I jako aktor, mimo że każdy z nas ma swoje ego, muszę się podporządkować.

BRAKUJĄCE LITERY

W każdym rzędzie wstaw po 6 liter, tak aby odczytać trzy hasła – rozwiązania.

BEZAHODNIMAIDU

ORUNARZUMOIPZĘCY

BOATMUIYKŚĘCILI

ROZWIĄZANIA: BEZ ZACHODU NIE MA MIODU, FORTUNA ROZUMOWI PRZĘCY, BOGATEMU I BYK SIĘ OCIELI



ADRES REDAKCJI

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przegląd@tygodnikprzegląd.pl

tygodnikprzegląd.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzegląd.pl

Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz

Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak

Sekretarz redakcji: Agata Gogółkiewicz

Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko

ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY: Julian Bartosz, Tomasz Borejza, Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Paweł Drag, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ożimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Lech Miodek, Jan Ordyński, Rafał Pikuta, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Konrad Szelest,

Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Artur Zaborski, Beata Znamirska-Socząwa

Stali felietoniści: Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczek, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Władcki, Agnieszka Wolny-Hamkało

Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May

Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak,

Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska

Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyszner

Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski

Dział wydawnictwa i reklamy:

Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzegląd.pl

Wicedyrektor: Agata Mierzejewska a.mierzejewska@tygodnikprzegląd.pl

Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120

e-mail: kolportaz@tygodnikprzegląd.pl

Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111

e-mail: sklep@tygodnikprzegląd.pl

Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzegląd.pl

Aby język giętki...

PROF. JAROSŁAW FLIS

O JAROSŁAWIE KACZYŃSKIM

Jest świetnym intrygantem, ale to w zasadzie wszystko.

MATEUSZ MORAWIECKI

W RESTAURACJI SOWA I PRZYJACIELE

Trzeba słuchać ludu, obiecać im, czego oczekują, a potem wygaszać ich oczekiwania. Mają zapierdalać za miskę ryżu.

ANDRZEJ LEDER O PRL-u

Stworzył ogromną, nową grupę społeczną. W 1956 r. prawie połowa Polaków mieszkała w miastach. Ci ludzie na nowo budowali swój świat.

STANISŁAW TYM O SKARGACH

Mieszkańcy Białowieży skarżą się, że wojsko rządzi się tam jak okupant na podbitym terenie.

WŁODZIMIERZ LUBAŃSKI

O REPREZENTACJI

Trener bramki nie strzeli. Nie ma zawodnika, który kiedyś wypełni lukę po Lewandowskiem.

KATARZYNA ŻAK O MĘŻU CEZARYM

Gotuje wybornie. Ja zaś jestem specjalistką od konfitur. Niestety, co roku są przypalone.

CEZARY ŻAK O ŻONIE KATARZYNIE

Ja pragmatyk, ona kosmitka; ja domator, ona kolorowy motyl.

MICHAŁ LEW-STAROWICZ O OKSYTOCYNIE

Bliskość i czułość są doskonałą odżywką dla naszego mózgu.

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie” bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy. Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: Quad/Graphics Europe Sp. z o.o.
07-200 Wyszaków, ul. Pułtowska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta

03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7

NIP: 951-19-67-251, REGON: 016275090

KOD SWIFT: WBKPLPP, IBAN: PL

Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821





Uczennice jednej z pensji warszawskich, 1863-1864.



Artur Grottger, „Wieść o powstańcach”, 1963.

patronat PRZEGLĄDU

Muzeum Niepodległości w Warszawie pod hasłem „Listopad miesiącem niepodległości” zaprasza we wtorek, 28 listopada, na godz. 17.30 do siedziby głównej, pałacu Przebendowskich/Radziwiłłów, na wernisaż nowej wystawy plenerowej, „Entuzjastki, siłaczki, bojowniczk. Kobiety Mazowsza 1863-1918”. Jest ona nawiązaniem do 105. rocznicy nadania kobietom w Polsce praw wyborczych. Przedstawia pasjonujące postacie kobiet, które na terenie Mazowsza w latach 1863-1918 walczyły z bronią w rękę o niepodległą Polskę i swoje prawa. Drugim bardzo ważnym nurtem ich działalności była edukacja. Jedną z pierwszych grup polskich feministek były Entuzjastki kierowane przez Narcyzę Żmichowską. Zwraca uwagę wszechstronny charakter ich działalności, od edukacji po konspirację polityczną. Wernisażowi będzie towarzyszył film dokumentalny.

FOT. ZBIORY MUZEUM NIEPODLEGŁOŚCI W WARSZAWIE

ENTUZJASTKI, SIŁACZKI, BOJOWNICZKI KOBIECY MAZOWSZA 1863-1918



Postowie warszawscy na Sejm, wśród nich Gabriela Balicka; pocztówka, 1919.

NAGRODA ZA NAJLEPSZĄ ROLĘ KOBIECĄ
NA SUNDANCE FILM FESTIVAL 2023



KIEDY STOPI SIĘ LÓD

REŻYSERIA
VEERLE
BAETENS



w kinach
od 1 grudnia

Jesteś gotowa
stawić czoła
demonom
przeszłości?



MAGDALENA WIECZOREK

JACEK BELER



W NICH CAŁA NADZIEJA

TO MOŻE BYĆ OPARTE
NA PRAWDZIWEJ HISTORII

K&K FILM SELEKT PRODUKOWAŁ FILM POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ „W NICH CAŁA NADZIEJA” W GŁÓWNEJ MAGDALENA WIECZOREK JACEK BELER MUZYKA ŁUKASZ PIEPRZYK MONTAŻ MARCELI MAJER GMP
DŹWIĘK BARTOSZ PUTKIEWICZ NAFALIA SIKORSKA SCENOGRAFIA MAREK ZAWIERUCHA KOSTYUMY DZWIŃKA KUKUL MAGDALENA TARKA ZDJĘCIA TOMASZ WOJCIK
PRODUKENT BEATA PISULA SCENARIUSZ PIOTR BIEDRON REŻYSERIA PIOTR BIEDRON



W KINACH OD 24 LISTOPADA



stowarzyszenie kin
studyjnych

eprasa.pl 691be831df